



www.rtmpilecki.pl

rtm. Witold Pilecki - "Raport Witolda"

Więc mam opisać możliwie suche fakty, jak tego chcą moi koledzy. Mówiono: "Im bardziej pan się będzie trzymał samych faktów, podając je bez komentarzy, tym będzie to wartościowsze". Spróbuję więc... lecz człowiek przecież nie był z drewna - już nie mówię z kamienia (choć wydawało się, że i kamień nieraz musiałby się spocić). Czasami więc, wśród podawanych faktów będę jednak wstawiał myśl, wyrażającą to co się czuło. Nie wiem, czy koniecznie ma to obniżać wartość napisanego. Nie było się z kamienia - często mu zazdrościłem - miało się jeszcze ciągle bijące, czasem w gardle, serce, kołaczącą gdzieś - chyba w głowie - myśl, czasami łapałem ją z trudem... O nich - dorzucając od czasu do czasu parę odczuć - sędzę, że dopiero odda się obraz prawdziwy.

Dnia 19 września 1940 roku - druga łapanka w Warszawie. Jeszcze żyje kilku ludzi, którzy widzieli, jak o godzinie 6.00 rano szedłem sam i na rogu Alei Wojska i Felińskiego stanąłem w "piątce" ustawiane przez esesmanów z łapanych mężczyzn. Potem załadowano nas na Placu Wilsona do aut ciężarowych i zawieziono do koszar Szwoleżerów. Po spisaniu danych personalnych w zorganizowanym tam prowizorycznie biurze i odebraniu ostrych przedmiotów (pod groźbą zastrzelenia, jeśli się potem u kogoś bodaj żyłeczka znajdzie) wprowadzono nas na ujeżdżalnię, gdzie pozostawaliśmy przez 19 i 20 września.

W ciągu tych paru dni niektórzy zdążyli już zapoznać się z pałką gumową spadającą na ich głowy. Mieściło się to jednak w ramach możliwych do przyjęcia, dla ludzi przyzwyczajonych do tego rodzaju sposobów utrzymywania ładu przez stróżów porządku. W tym czasie niektóre rodziny wykupywały swych najbliższych, płacąc ogromne sumy esesmanom. W nocy spaliliśmy wszyscy pokotem na ziemi. Ujeżdżalnię oświetlał ogromny reflektor, stojący przy wejściu. Po czterech stronach umieszczeni byli esesmani z bronią maszynową.

Było nas tysiąc osiemset kilkudziesięciu. Mnie osobiście najbardziej denerwowała bierność masy Polaków. Wszyscy złapani nasiąkli już jakąś psychozą tłumu, która wtedy wyrażała się w tym, że cały ten tłum upodobił się do stada baranów.

Nęciła mnie myśl prosta: wzburzyć umysły, poderwać do czynu tę masę. Współtowarzyszowi memu - Sławkowi Szpakowskiemu (wiem, że żył do czasu Powstania w Warszawie) proponowałem nawet wspólną akcję w nocy: opanowanie tłumu, napad na posterunki, przy czym miałem - przechodząc do ubikacji - "zawadzić" o reflektor i zniszczyć go. Lecz ja przecież w innym celu znalazłem się w tym środowisku, a to byłoby to pójściem na rzecz znacznie mniejszą... On w ogóle uważał to za pomysł z dziedziny fantazji.

21. września rano wsadzono nas do aut ciężarowych i w towarzystwie eskortujących motocykli z bronią maszynową, odwieziono na dworzec zachodni i załadowano do wagonów towarowych. W wagonach tych przedtem widocznie musieli wieźć wapno, gdyż cała podłoga była nim wysypana. Wagony zamknięto. Wieziono dzień cały. Pić ani jeść nie dali. Zresztą jeść nikt nie chciał. Mieliśmy, wydany dnia poprzedniego, chleb którego wtedy ani jeść ani cenić nie umieliśmy. Chciało się nam tylko bardzo pić. Wapno pod wpływem wstrząsów rozdrabniało się w pył. Unosiło się w powietrzu, drażniło nozdrza i gardło. Pić nie dali. Przez szczeliny desek, którymi zabite były okna, widzieliśmy, że wiozą nas gdzieś na Częstochowę. Około 10 wieczór (godzina 22.00) pociąg się zatrzymał w jakimś miejscu i dalej już nie jechał. Słychać było krzyki, wrzask, otwieranie wagonów, ujadanie psów.

To miejsce we wspomnieniach moich nazwałbym momentem, w którym kończyłem ze wszystkim, co było dotychczas na ziemi i zacząłem coś, co było chyba gdzieś poza nią. Nie jest to silenie się na jakieś dziwne słowa, określenia. Przeciwnie - uważam, że na żadne słówko ładnie brzmiące, a nieistotne, wysilać się nie potrzebuję. Tak było. W głowy nasze uderzały nie tylko kolby

esesmanów - uderzało coś więcej. Brutalnie kopnięto we wszystkie nasze pojęcia, do których myśmy się na ziemi przyzwyczaili (do jakiegoś porządku rzeczy - prawa). To wszystko wzięło w łeb. Usiłowano uderzyć możliwie radykalnie. Załamać nas psychicznie jak najszybciej.

Zgiełk i jazgot głosów zbliżał się stopniowo. Nareszcie gwałtownie otwarto drzwi naszego wagonu. Oślepiły nas reflektory skierowane we wnętrze.

- Heraus! rrraus! rrraus! - padały wrzaski, a kolby esesmanów spadały na ramiona, plecy i głowy kolegów.

Należało szybko znaleźć się na zewnątrz. Skoczyłem i wyjątkowo nie dostałem kolbą; stając w piątce trafiłem w środek kolumny. Zgraja esesmanów biła, kopała i robiła niesamowity wrzask: "zu Fünfe!" Na stojących na skrzydłach piątek, rzucały się psy, szczute przez żołdaków. Oślepieni reflektorami, pchani, bici, kopani, szczuci psami, raptownie znaleźliśmy się w warunkach, w jakich wątpię, by ktoś z nas był kiedykolwiek. Słabsi byli oszołomieni do tego stopnia, że naprawdę tworzyli bezmyślną grupę.

Pędzono nas przed siebie, ku większej ilości skupionych świateł. W drodze kazano jednemu z nas biec do słupa w bok od drogi i zaraz w ślad za nim puszczonego serię z peema. Zabito. Wyciągnięto z szeregu dziesięciu przygodnych kolegów i zastrzelono w marszu z pistoletów, w ramach "odpowiedzialności solidarnej" za "ucieczkę", którą zaaranżowali sami esesmani. Wszystkich jedenastu ciągnięto na rzemieniach uwiązanych do jednej nogi. Drażniono psy skrwawionymi trupami i szczuto je na nich. Wszystko to robiono przy akompaniamencie śmiechu i kpin.

Zbliżaliśmy się do bramy, umieszczonej w ogrodzeniu z drutów, na której widniał napis: "Arbeit macht frei". Później dopiero nauczyliśmy się go dobrze rozumieć. Za ogrodzeniem, rzędami ustawione były murowane budynki, wśród których widniał rozległy plac. Stojąc wśród szpaleru esesmanów, przed samą bramą, doznaliśmy na moment większego spokoju. Odpędzono psy, kazano nam wyrównać piątki. Tutaj liczone nas skrupulatnie - na końcu doliczając ciągnione trupy. Wysoki, wtedy jeszcze pojedynczy płot z drutu kolczastego i brama pełna esesmanów nasunęły mi mimowolnie, czytany kiedyś aforyzm chiński: "Wchodząc, pomyśl o odwrocie, a wychodząc będziesz cało..." Uśmiech ironiczny zrodził się gdzieś we mnie i przygasł... na co to tutaj się przyda...

Za drutami, na wielkim placu, uderzył nas inny widok. W nieco fantastycznym, pełzającym po nas ze wszystkich stron świetle reflektorów, widoczni byli jacyś niby - ludzie. Z zachowania podobni raczej do dzikich zwierząt (bezwzględnie obrażam tu zwierzęta - nie ma jeszcze w naszym języku określenia na takie stwory). W dziwnych ubraniach w pasy, jakie się widziało na filmach o Sing-Sing, z orderami na kolorowych wstążkach (tak mi się wtedy w migającym świetle wydawało), z drągami w ręku, rzucili się z dzikim śmiechem na pojedynczych naszych kolegów. Bijąc ich po głowach, kopiąc leżących już na ziemi w nerki i w inne czułe miejsca, wskakując butami na piersi, brzuch - zadawali śmierć z niesamowitym jakimś entuzjazmem.

"Ach! Więc zamknęli nas w zakładzie dla obłąkanych!..." - przemknęła mi myśl. - Co za podłość! - rozumowałem jeszcze kategoriami ziemi. Ludzie z łapanki - a więc nawet w pojęciu Niemców nie obciążeni żadną winą wobec Trzeciej Rzeszy. W głowie zabłysły mi słowa Janka W., wyrzeczone do mnie po pierwszej łapance (sierpień) w Warszawie: "Oł, widzisz, nie skorzystałeś z tak dobrej okazji - ludziom złapanym na ulicy nie zarzucą żadnej sprawy politycznej - w ten sposób najbezpieczniej można się dostać do obozu." Jakże naiwnie, hen tam w Warszawie podchodziliśmy do sprawy Polaków wywożonych do obozów. Tu nie potrzeba było mieć żadnej sprawy politycznej, żeby zginąć. Zabijano pierwszego lepszego z brzegu.

Zaczynało się od pytania rzuconego przez pasiastego człeka z drągiem: "Was bist du von zivil?" Odpowiedź: ksiądz, sędzia, adwokat wówczas powodowała bicie i śmierć.

Przede mną w piątce stał jakiś kolega, który na to pytanie, rzucone mu z równoczesnym ujęciem go garścią za ubranie pod gardłem, odpowiedział: "Richter". Fatalny pomysł! Po chwili był na ziemi bity i kopany.

Więc wykańczano specjalnie inteligencję. Po tym spostrzeżeniu zmieniłem nieco zdanie. To nie obłąkańcy, to jakieś potworne narzędzie do wymordowania Polaków, rozpoczynające swe dzieło od inteligencji.

Pić chciało się okropnie. Przywieziono właśnie kotły z jakimś napojem. Ci sami zabijający nas obnosili kubki z napojem wśród szeregów, pytając: "Was bist du von zivil?" Dostawaliśmy upragniony bo mokry - napój, wymieniając jakiś zawód robotnika czy rzemieślnika. A ci niby - ludzie, bijąc nas i kopiąc wykrzykiwali: ... "hier ist KL Auschwitz - mein lieber Mann!"

Pytaliśmy siebie nawzajem, co by to miało znaczyć? Niektórzy wiedzieli, że to Oświęcim, lecz dla nas była to tylko nazwa jednego z polskich miasteczek - potworna opinia o tym obozie nie zdążyła jeszcze przeniknąć do Warszawy, nie była też znana w świecie. Nieco później dopiero jedno to słowo mroziło krew w żyłach ludziom na wolności, spędzało sen z powiek więźniom Pawiaka, Montelupich, Wiśnicza, Lublina. Jeden z kolegów objaśnił nas, że jesteśmy w koszarach piątego D.A.K. - tuż koło miasteczka Oświęcim.

Dowiedzieliśmy się, że stanowimy "zugang" bandytów polskich, którzy rzucali się na spokojną ludność niemiecką, a których za to spotyka tu odpowiednia kara. "Zugangiem" nazywano wszystko, co do obozu przyszło, każdy nowy transport.

Tymczasem sprawdzano obecność, wykrzykując nazwiska podane przez nas w Warszawie, na które trzeba było szybko i głośno odpowiedzieć: "Hier!" Przy tym było wiele powodów do szykan i bicia. Po sprawdzeniu, setkami odsyłano nas do szumnie zwanej "kąpieli". Tak przyjmowano transporty ludzi, łapanych na ulicach Warszawy, niby to na pracę do Niemiec, tak przyjmowano każdy transport w pierwszych miesiącach, po założeniu obozu w Oświęcimiu (14.6.1940 r.).

Z ciemności, gdzieś z góry (z nad kuchni), odezwał się kat, Seidler: "Niech nikt z was nie sądzi, że kiedykolwiek wyjdzie stąd żywy... porcja jest tak obliczona, że żyć tu będziecie 6 tygodni; kto będzie żył dłużej... znaczy, że kradnie, kto kradnie - znajdzie się w SK - gdzie żyje się krótko!", co przetłumaczył na polski Władysław Baworowski - tłumacz obozowy. Chodziło o jak najszybsze załamanie psychiczne.

W przywiezione na plac taczki i "rolwęgę" złożyliśmy cały chleb jaki posiadaliśmy. Nikt wtedy go nie żałował - nikt nie myślał o jedzeniu. Jakże często potem, na samo wspomnienie tego momentu ślinka ciekła i diabli brali. Kilka taczek i rolwaga pełne chleba! - jaka szkoda, że nie można się było najeść na zapas...

Razem z setką innych znalazłem się wreszcie przed łaźnią (Baderaum, blok 18, numeracja stara). Tu oddaliśmy wszystko do worków, do których przywiązano odpowiednie numery. Tu ostrzyżono nam włosy na głowie i ciele, skropiono trochę prawie zimną wodą. Tu wybito mi pierwsze dwa zęby, za to, że numer ewidencyjny napisany na tabliczce niosłem w ręku, a nie w zębach, jak właśnie w tym dniu chciał tego łaźnienny (Bademeister). Dostałem w szczękę ciężkim drągiem. Wypłułem dwa zęby. Pocięła krew...

Od tej chwili staliśmy się tylko numerami. Urzędowa nazwa brzmiała: Schutzhäftling kr...xy... Ja miałem numer 4859. Dwie trzynastki (z środkowych i skrajnych cyfr), utwierdzały kolegów w przekonaniu, że zginę; mnie - cieszyły.

Dano nam ubranie w białe - niebieskie pasy, drelichy, takie same jak te, co nas tak bardzo raziły

w nocy. Był już ranek (22.9.1940 r.). Teraz wiele się wyjaśniło. Niby - ludzie mieli na lewym ramieniu żółte opaski z czarnym napisem: "CAPO", i zamiast barwnych wstążek z medalami, jak mi się w nocy wydawało, mieli na piersi z lewej strony kolorowy trójkąt, "winkiel", pod nim, jak pod wstążką, mały czarny numer na białej łacie.

Winkle były w pięciu kolorach. Przestępcy polityczni nosili czerwony, kryminaliści - zielony, gardzący pracą w Trzeciej Rzeszy - czarny, badacze Pisma świętego - fioletowy, a homoseksualiści - różowy. Polacy złapani na ulicy w Warszawie, na roboty do Niemiec dostali jakoby winkle czerwone, jako przestępcy polityczni. Przyznam się, że ze wszystkich innych kolorów - ten odpowiadał mi najbardziej.

Przebranych w drelichy - pasiaki, bez czapek i skarpetek (skarpetki dostałem 8, a czapkę - 15 grudnia), w spadających z nóg drewniakach, wyprowadzono nas na plac zwany apelowym i podzielono na połowę. Jedni poszli na blok 10, drudzy (my) na blok 17, na piętro. Tak na parterze, jak i na piętrze poszczególnych bloków, umieszczeni byli więźniowie (Häftlinge). Mieli oni odrębną gospodarkę i obsadę administracyjną, tworząc samodzielny "blok". Dla odróżnienia - wszystkie bloki na piętrze miały do numeru dodaną literę "a".

Oddano więc nas na blok 17a, w ręce blokowego Alojza zwanego później "krwawym Alojzem". Był to Niemiec - komunista z czerwonym winklem - zwyrodnialec, siedzący w obozach około sześciu lat; bił, katował, znęcał się, uśmiercając codziennie kilka osób. Lubował się w porządku i dyscyplinie wojskowej, wyrównywał szeregi bijąc drągiem. "Nasz blok" ustawiony na placu w 10 szeregów, równany przez przebiegającego między szeregami z wielkim drągiem Alojza, mógł być w przyszłości wzorem wyrównywania.

Teraz, rano, przebiegał pomiędzy szeregami po raz pierwszy. Tworzył z nas - zугangów - nowy blok. Szukał wśród nieznanym ludzi nadających się do utrzymywania porządku na bloku. Los chciał, że wybrał mnie, wybrał Karola Świątorzeckiego (oficer rezerwy 13. pułku ułanów), Witolda Różyckiego (nie Różycki o smutnej opinii; ten był porządny chłop, z ul. Władysława z Warszawy) i paru innych. Szybko wprowadził nas na blok, na piętro, kazał ustawić się rzędem pod ścianą, zrobić w tył zwrot i nachylić się. "Włał" drągiem z całej siły każdemu po pięć uderzeń, w miejsce na ten cel podobno przeznaczone. Trzeba było mocno zęby zacisnąć, by się nie wydarł jęk... Egzamin wypadł - zdaje mi się - dobrze. "Żebyście wiedzieli jak to smakuje i żebyście w ten sposób kijem machali, dbając o czystość i porządek na bloku."

Tak stałem się sztubowym (Stubendienst), lecz nie na długo. Chociaż na bloku utrzymywaliśmy wzorowy porządek i czystość, Alojzowi nie odpowiadały metody, jakimi usiłowaliśmy to osiągnąć. Uprzedzał nas parokrotnie sam i przez Kazika (zaufany Alojza), a gdy nic nie pomogło, wściekł się i wyrzucił kilku z nas na obóz, na trzy dni, mówiąc: "Żebyście spróbowali, jak smakuje praca w obozie i ocenili lepiej dach i spokój, jaki macie na bloku". Widziałem, że codziennie wraca z pracy mniej ludzi - wiedziałem, że "wykańczano" ich przy tej lub innej robocie, lecz teraz dopiero, na własnej skórze miałem się przekonać, jak wyglądał dzień pracy zwykłego więźnia w obozie. A pracować musieli wszyscy. Na bloku mogli zostać tylko sztubowi.

Spaliśmy wszyscy pokotem na podłodze na rozesłanych siennikach. Łóżek w pierwszym okresie nie mieliśmy wcale. Dzień dla wszystkich zaczynał się gongiem, latem o 4.20, w zimie o 3.20. Na dźwięk ten, który odzywał się nieubłaganym nakazem - zrywało się na nogi. Szybko składało się koc, wyrównując dokładnie brzegi. Siennik zanosilo się w jeden koniec sali, gdzie go chwyтали "siennikowi" celem ułożenia w budowaną przyzmię. Koc przy wyjściu z sali oddawało się "kocowemu". Ubierać kończyło się już na korytarzu. Wszystko w biegu, w pośpiechu, bo i Krwawy Alojz z okrzykiem: "Fenster auf!" wpadał z kijem do sali, no i trzeba się było spieszyć, by zająć kolejkę w długim szeregu przed ubikacją. W pierwszym okresie nie mieliśmy ubikacji na blokach. Biegło się rano do kilku latryn, gdzie ustawiało się w ogonku czasami dwustu ludzi. Miejsce było mało. Wewnątrz stał kapo z drągiem i liczył do pięciu - kto się opóźniał ze wstaniem, tego walił

dragiem po głowie. Nie jeden z więźniów wpadał do dołu. Z latryn pędziło się po d pompy, których było parę na placu (łaźni nie było w pierwszym okresie na blokach). Pod pompami kilka tysięcy ludzi musiało się umyć. Ma się rozumieć, było to niemożliwe. Przebijano się siłą do pompy, łapało trochę wody w menażkę. Nogi jednak na wieczór musiały być czyste. Blokowi robiący obchód sal wieczorem, gdy "sztubowy" składał raport ze stanu (ilości) leżących na siennikach więźniów, sprawdzali czystość nóg, które musiały być wystawione spod koców w górę tak, by widoczna była "podeszwa". Jeśli noga była niedostatecznie czysta, lub za takową blokowy chciał ją uważać - bito delikwenta na stołku. Otrzymywał od 10 do 20 razów kijem.

Był to jeden ze sposobów wykańczania nas, uskuteczniany pod płaszczykiem higieny. Tak, jak i wykańczaniem było niszczenie organizmu w latrynach przez czynności w tempie i na rozkaz, jak szarpiący nerwy rwetes przy pompach, jak też wieczny pośpiech i "Laufschritt", stosowany wszędzie w pierwszym okresie lagru.

Od pompy biegli wszyscy na bok po tak zwaną kawę lub herbatę. Ciecz wprawdzie gorąca przynoszona w kotłach na sale, lecz napoje te imitowała nieudolnie. Cukru zwykły, szary więzień nie widział wcale. Zauważyłem, że niektórzy z kolegów siedzących tu od paru miesięcy, mają obrzęknięte twarze i nogi. Pytani przeze mnie medycy oświadczyli, że powodem tego jest nadmiar płynów. Nawalają nerki lub serce - ogromny wysiłek organizmu przy pracy fizycznej, przy jednoczesnym spożywaniu prawie wszystkiego w płynach: kawa, herbata, "awo" i zupa! Postanowiłem wyrzec się płynów nie przynoszących korzyści, pozostać jedynie przy awo i zupach.

W ogóle należało panować nad zachciankami. Niektórzy ze względu na zimno nie chcieli zrezygnować z gorących płynów. Gorzej jeszcze było z paleniem, gdyż w pierwszym okresie pobytu w obozie więzień nie miał pieniędzy, bo nie tak od razu pozwalano mu napisać list. Na to czekał długo, a zanim nadeszła odpowiedź upływało około trzech miesięcy. Kto nie mógł się opanować i zamieniał chleb na papierosy, ten już "kopał sobie grób". Znałem takich wielu - wszyscy się wykończyli.

Grobów nie było. Wszystkie trupy spalano w nowo wybudowanym krematorium.

Więc po gorącą lurę na bloku nie spieszyłem, inni przepychali się, dając i tu powód do bicia ich i kopania.

Jeśli więzień z obrzękniętymi nogami dorwał się do lepszej pracy i wyżywienia - wracał do sił, obrzęk mijał, lecz na nogach tworzyły się ropiejące wrzody, wydzielające cuchnącą ciecz, a czasami flegmonę, którą widziałem dopiero tu po raz pierwszy. Unikając płynów uchroniłem się od tego szczęśliwie.

Jeszcze nie wszyscy zdążyli pobrać gorącej lury, a już sztubowy kijem opróżniał salę, która przed apelem musiała być sprzątnięta. W międzyczasie sienniki i koce były ułożone, według mody, która panowała na tym bloku, a bloki konkurowały między sobą w układaniu tej naszej "pościeli". Teraz jeszcze musiała być zmyta podłoga.

Gong na apel poranny uderzał o godzinie 5.45. O godzinie 6.00 stali wszyscy w wyrównanych szeregach (każdy blok ustawiał się w dziesięć szeregów, co ułatwiało liczenie). Na apelu musieli być wszyscy. Jeśli zdarzały się wypadki, że kogoś brakowało - nie dlatego, że uciekł, ale np. jakiś nowicjusz naiwnie się schował, lub wprost zaspał - i apel się nie zgadzał ze stanem liczbowym lagru - wtedy szukano, znajdowano, wyciągano na plac i prawie zawsze zabijano publicznie. Czasami nieobecnym był więzień, który gdzieś się powiesił na strychu, lub właśnie w czasie apelu "szedł na druty" - wtedy rozlegały się strzały wartownika na wieżyczce i więzień padał przeszyty kulami. "Na druty" szli więźniowie przeważnie rano - przed nowym dniem męki. Przed nocą, będącą kilkugodzinną przerwą w udręczeniach, zdarzało się to rzadziej. Był oficjalny rozkaz zabraniający przeszkadzania kolegom w odbieraniu sobie życia. Złapany na takim "przeszkadzaniu"

więzień szedł za karę do "bunkra".

Wszystkie władze wewnątrz lagru rekrutowały się wyłącznie z więźniów. Początkowo Niemców, później zaczęły windować się na te stanowiska więźniowie innych narodowości. Blokowy (czerwona opaska z białym napisem "Blockältester", na prawym ramieniu) wykańczał więźnia na blokach rygiem i kijem. Był odpowiedzialny za blok, lecz nie miał nic wspólnego z pracą więźnia. Natomiast kapo pracą i kijem wykańczał więźnia w "komandzie" i był odpowiedzialny za pracę danego komanda.

Największą władzą w lagrze był starszy obozu (Lagerältester). Z początku byli tacy dwaj: "Bruno" i "Leo" - więźniowie. Dwaj dranie, przed którymi trzęśli się wszyscy ze strachu. Mordujący na oczach wszystkich, czasem jednym uderzeniem kija lub pięści. Prawdziwe nazwisko pierwszego - Bronisław Brodniewicz, drugiego - Leon Wieczorek, dwóch eks-Polaków na służbie niemieckiej... Ubrani inaczej niż wszyscy, w długich butach, granatowych spodniach, kurtkach i beretach, na lewym ramieniu czarna opaska z białym napisem, stanowili ciemną parę, często chodzącą razem.

Jednak wszystkie te władze wewnątrz obozu, rekrutujące się z "ludzi za drutami" zamiatały proch przed każdym esesmanem, na jego pytanie odpowiadali dopiero po zdjęciu czapki, stojąc na baczność. Jakże niczym był sam szary więzień... Władze z nadludzi w mundurach żołnierskich, esesmani - mieszkali na zewnątrz drutów, w koszarach i miasteczku.

Wracam do porządku dnia w obozie.

Apel. Staliśmy wyrównani kijem w szeregach prostych jak ściana (zresztą tęskniłem do dobrze wyrównanych szeregów polskich od czasu wojny 1939 roku). Naprzeciw nas makabryczny obraz: stojące szeregi bloku nr 13 (stara numeracja) - SK (Straf-Kompanie), które wyrównywał blokowy Ernst Krankemann stosując radykalny środek - wprost nożem. Do SK w tamtym okresie szli wszyscy Żydzi, księża i niektórzy Polacy za sprawy dowiedzione. Krankemann miał obowiązek wykańczać możliwie prędko przydzielanych mu prawie codziennie więźniów; ten obowiązek ten odpowiadał charakterowi tego człowieka. Jeśli się ktoś nieopatrznie wysunął parę centymetrów wprzód, to Krankemann wbijał mu noszony w prawym rękawie nóż. Ten zaś, kto przez zbyt ostrożność cofnął się trochę za wiele, otrzymywał od przebiegającego szeregi kata - cios nożem w nerki. Widok padającego człowieka, kopiącego nogami czy wydającego jęki, rozwścieczał Krankemanna. Wskakiwał wtedy na jego klatkę piersiową, kopał w nerki, w narządy płciowe, wykańczał jak najprędzej. Nas ten widok przenikał prądem.

Wtedy, wśród stojących ramię przy ramieniu Polaków, czuło się jedną myśl - zjednoczeni byliśmy wszyscy wściekłością, chęcią odwetu. Czułem się teraz w środowisku doskonale nadającym do rozpoczęcia pracy, i odkryłem w sobie namiastkę radości... Za chwilę przeraziłem się, czy jestem przy zdrowych zmysłach - tu radość - to chyba nienormalne... A jednak poczułem radość - przede wszystkim z tego powodu, że chcę zacząć pracę, a więc się nie załamałem. Był to moment zasadniczego zwrotu w mojej psychice. W chorobie nazywałoby się to: kryzys minął szczęśliwie.

Na razie jednak trzeba było z wielkim wysiłkiem walczyć o utrzymanie się przy życiu.

Po apelu gong oznaczał: "Arbeitskommando formieren!" Na to hasło wszyscy rzucali się do komand - oddziałów pracy, które im się wydawały lepsze. Wtedy jeszcze był chaos z przydziałami (nie tak jak później, gdy każdy spokojnie szedł do komanda, gdzie był zapisany jako numer). Więźniowie biegali w najrozmaitszych kierunkach, krzyżując sobie nawzajem drogi, z czego korzystali kapowie, blokowi i esesmani bijąc kijami biegnących lub przewracających się, podstawiając nogi, popychając, kopiąc zawsze w najbardziej czułe miejsca.

Za karę wyrzucony na obóz przez Alojza, pracowałem przy taczkach, wożąc żwir. Po prostu nie wiedząc gdzie stanąć i nie mając upatrzonych komanda, stanąłem w jednej z piątek setki, którą

wzięto do tej pracy. Pracowali tu przeważnie koledzy z Warszawy. Starsze od nas "numery", to znaczy ci, co tu dłużej od nas siedzieli, ci, którzy uchronili się dotychczas - zajęli już jakieś wygodniejsze "posady". Nas - z Warszawy - wykańczano masowo przy najrozmaitszych pracach, czasami przy przewożeniu żwiru z jednej wrytej jamy do zasypywanej drugiej i z powrotem. Ja znalazłem się wśród tych, co wozili żwir potrzebny przy wykańczaniu budowy krematorium.

Krematorium budowaliśmy dla siebie. Rusztowanie wokół komina wznosiło się coraz wyżej. Z taczka napelnioną przez "vorarbeiterów", lizusów nieubłaganych dla nas, trzeba było szybko się posuwać, a i po deskach ułożonych dalej - pchać taczka biegiem. Co 15-20 kroków stał kapo z kijem i waląc przesuujących się więźniów, krzyczał: "Laufschritt!" Na górę taczka pchało się wolno. Z pustą taczka - "Laufschritt" obowiązywał na całej długości trasy. Tu konkurowały z sobą w walce o życie mięśnie, spryt i oczy. Trzeba było mieć dużo siły, aby pchać taczka, trzeba było umieć utrzymać ją na desce, trzeba było widzieć i wybrać odpowiedni moment "na wstrzymanie" w pracy, aby złapać oddech w zmęczone płuca. Tu właśnie widziałem jak wielu z nas, inteligentów, nie daje sobie rady w ciężkich, bezwzględnych warunkach. Tak - wtedy przechodziliśmy twardą selekcję.

Sport, gimnastyka uprawiane kiedyś, oddały mi tu wielkie przysługi. Inteligent oglądający się bezradnie i szukający względów lub pomocy u kogoś, tak jakby prawie żądał jej z tego powodu, że był adwokatem lub inżynierem, spotykał się zawsze z twardym kijem. Tu jakiś mecenas z brzuszkiem lub ziemianin nieudolnie pchał taczka, że spadła z deski w piach i nie mógł już jej z powrotem wydzwignąć. Tam znów bezradny profesor w okularach lub pan w starszym wieku, inny żaloszny widok przedstawiał. Wszyscy, którzy się do pracy nie nadawali lub nie mieli już sił biegać z taczka, byli bici, a przy upadku - zabijani drągiem lub butem. W takich właśnie chwilach zabijania innego więźnia człowiek jak prawdziwe zwierzę, stał parę minut, łapał oddech w szybko pracujące płuca, wyrównywał nieco tempo łopoczącego serca...

Gong na obiad witany z radością przez wszystkich, w obozie rozlegał się wtedy o godz. 11.20. Pomiędzy godziną 11.30 a 12.00 odbywał się apel południowy - przeważnie dość szybko. Od 12.00 do 13.00 był czas przewidziany na obiad. Po obiedzie gong zwoływał znowu do "Arbeitskommando" i następowała dalsza męczarnia aż do gongu na apel wieczorny.

Trzeciego dnia pracy w "taczkach", po obiedzie wydawało mi się, że gongu się nie doczekam. Byłem już bardzo zmęczony i rozumiałem, że gdy zabraknie do zabijania słabszych ode mnie, wtedy przyjdzie kolej na mnie. Krwawy Alojz, któremu nasza praca na blokach, pod względem porządku i czystości odpowiadała, po trzech dniach karnych na lagrze, łaskawie przyjął nas na blok z powrotem, mówiąc: "Teraz już wiecie, co znaczy robota na lagrze - "Paßt auf!" - z pracą na bloku, żebym nie wyrzucił was na lagre na zawsze."

W stosunku do mnie groźbę swoją szybko wprowadził w życie. Nie stosowałem względem kolegów wymaganych przez niego, a zalecanych przez Kazika metod i wyleciałem z bloku z trzaskiem, co opiszę niżej.

Teraz chciałbym napisać o początku montowanej tam pracy. W tym czasie zasadniczym zadaniem było założenie organizacji wojskowej, w celu: podtrzymywania kolegów na duchu przez dostarczanie i rozpowszechnianie wiadomości z zewnątrz, zorganizowanie w miarę możliwości dożywiania i rozdzielania bielizny wśród zorganizowanych, przekazywanie wiadomości na zewnątrz, oraz jako uwieńczenie wszystkiego przygotowywanie oddziałów własnych do opanowania obozu, gdy nadejdzie nakaz chwili w postaci rozkazu zrzucenia tu broni lub desantu.

Zacząłem pracę tak jak w 1939 r. w Warszawie, nawet z niektórymi ludźmi, których sam niegdyś wciągałem do TAP w Warszawie. Zorganizowałem tu pierwszą "piątkę", w skład której zaprzysiągłem płk.1, kpt. dr 2, rtm.3, ppor.4, oraz kolegę 5 (klucz z nazwiskami odpowiadającymi tym liczbom napiszę osobno). Dowódcą piątki został płk.1. Dr.2. dostał rozkaz opanowania sytuacji

w szpitalu więziarskim (Häftlingskrankenbau - HKB), gdzie już pracował jako "fleger" (Polacy oficjalnie nie mieli prawa być lekarzami, mogli być tylko pielęgniarzami).

W listopadzie posłałem pierwszy meldunek do Komendy Głównej w Warszawie, przez ppor.6. (mieszkał on do Powstania w Warszawie, przy ul. Raszyńskiej nr 58), pracownika naszego wywiadu, wykupionego z Oświęcimia.

Płk.1 przeniósł działanie na teren biura budowlanego (Baubüro).

W przyszłości zorganizowałem jeszcze cztery piątki. Każda z tych piątek nie wiedziała o istnieniu innych piątek, sądziła, że jest szczytem organizacji i rozwijała się tak szeroko, jak suma zdolności i energii jej członków na to pozwalały. Robiłem to przez ostrożność, żeby ewentualna wpadka jednej piątki, nie pociągnęła za sobą piątki sąsiedniej. W przyszłości piątki w szerokiej rozbudowie zaczęły się stykać i wzajemnie się wyczuwać. Wtedy nieraz przychodzili do mnie koledzy z meldunkiem: "Wiesz, tu się kryje jeszcze jakaś organizacja". Uspokajałem, że to nie powinno ich obchodzić.

Ale to czas przyszedł. Na razie piątka była jedna.

Tymczasem na bloku któregoś dnia, rano po apelu, poszedłem zameldować Alojzowi, że na sali jest trzech chorych, którzy nie mogą iść do pracy (byli prawie na wykończeniu). Krwawy Alojz się wściekł. "Co, u mnie na bloku chory?!... nie ma chorych!...wszyscy muszą pracować i ty też! Dostyc tego!..." i wpadł za mną z kijem na salę. "Gdzie są?!..."

Dwóch leżało pod ścianą ciężko dysząc, trzeci klęczał w rogu sali i modlił się.

- Was macht er?! - krzyknął do mnie.

- Er betet.

- Betet?!... Kto go tego nauczył?!...

- Das weiß ich nicht - odrzekłem.

Przyskoczył do modlącego się i zaczął mu wymyślać nad głową i krzyczeć, że jest idiotą, że Boga żadnego nie ma, że on mu chleb daje, a nie Bóg... - ale go nie uderzył. Potem podbiegł do dwóch leżących pod ścianą i zaczął ich kopać w nerki, i inne miejsca, krzycząc: "auf!!!...auf!!!...", aż tamci, widząc śmierć przed oczami, ostatnimi siłami podnieśli się. Wtedy zaczął krzyczeć do mnie: "Widzisz! mówiłem, że nie są chorzy! Chodzą, mogą pracować! Weg! Marsz do pracy! I ty z nimi też!" I tak wyrzucił mnie wtedy do pracy na obóz. A tego co się modlił odprowadził sam do szpitala. Dziwny to był człowiek - ten komunista.

Na placu znalazłem się w niewyraźnej sytuacji. Wszyscy już stali w komandach pracy, czekając na wymarsz. Biec, żeby stanąć w szeregach jako spóźniony więzień znaczyło poddać się biciu i kopaniu przez kapów i esesmanów. Zobaczyłem, że na placu stał oddział więźniów, którzy byli poza objętymi pracą w komandach. W tym okresie ta część, która była zbędna przy pracy (komand było mało, obóz dopiero się rozbudowywał) "robiła" gimnastykę na placu. Na razie koło nich nie widać było kapów ani esesmanów zajętych ustawianiem grup roboczych. Pobiegłem do nich i stanąłem w kole "do gimnastyki".

Kiedyś gimnastykę lubiłem, lecz od czasów Oświęcimia z sympatią do niej jest jakoś gorzej. Od godziny 6.00 rano, nieraz przez kilka godzin staliśmy i marzliśmy okropnie. Bez czapek i skarpetek, w cienkich drelichach, w tym podgórskim klimacie jesienią 1940 roku, rano prawie zawsze we mgle, trzęśliśmy się z zimna. Granatowały nogi i ręce wystające często z przykrótkich nogawek i

rękawów. Nie ruszono nas. Musieliśmy stać i marznąć. Wykańczanie skuteczniał chłód. A przechodzący kapowie i blokowi (często Alojz) stawali, śmiali się i ze znaczącym ruchem rąk imitującym ulatnianie się, mówili: "...und das Leben fliiiiieegt...Ha! Ha!"

Gdy się już mgły rozwiewały, błysnęło słońce i robiło się trochę cieplej, a do obiadu zostawało, zdawałoby się, już niewiele czasu, wtedy zgraja kapów rozpoczynała z nami "gimnastykę" - można by to było z powodzeniem nazwać: ciężkie ćwiczenie karne. Na tego typu gimnastykę czasu do obiadu było jeszcze za wiele.

- Hüpfen!

- Rollen!

- Tanzen!

- Kniebeugen!"

Do wykończenia wystarczało jednego - "hüpfen". Niemożliwością było zrobić "żabkę" dookoła wielkiego placu - już nie dlatego, że w drewniakach, bo się je brało wtedy w ręce i nie dlatego, że boso po żwirze zdzierało się skórę ze stóp do krwi; lecz dlatego, że żadne mięśnie na taki wyczyn nie wystarczały. Tu znowu ratowała mnie zaprawa sportowa z lat przeszłych. Tu znowu wykańczano słabych inteligentów z brzuszkiem, dla których niemożliwa była żabka nawet na krótkiej przestrzeni. Tu znowu kij spadał na głowy tych, co się co parę kroków przewracali. Znowu niemiłosierne kończenie ludzi. I znowu, jak zwierzę, człowiek korzystał z chwili wytchnienia i łapał oddech w momencie, gdy zgraja z kijami obskakiwała jakąś nową ofiarę.

Po obiedzie - ciąg dalszy. Do wieczora wyciągano wiele trupów i półtrupów, którzy się szybko kończyli w szpitalu.

Tuż obok, koło nas, na placu "pracowały" dwa walec. Chodziło niby o równanie terenu. Pracowały one jednak na wykańczanie ludzi, którzy je ciągnęli. W jeden, mniejszy, wprężnięci byli księża z dodaniem kilku innych więźniów - Polaków, do liczby 20-25. W drugi, większy, wprężniętych było około 50 Żydów. Na jednym i drugim dyszlu stał Krankemann i inny jakiś kapo, którzy wagą swego ciała zwiększali ciężar dyszla, wgniatając go w karki i ramiona więźniów ciągnących walec. Od czasu do czasu kapo lub blokowy Krankemann z filozoficznym spokojem opuszczał kij na czyjąś głowę, uderzał to lub inne pociągowe zwierzę - więźnia z taką siłą, że nieraz kładł go trupem od razu, lub omdlałego wtrącał pod walec, bijąc resztę więźniów, by się nie zatrzymywała. Z tej fabryczki trupów w ciągu dnia wielu wyciągano za nogi i układano rzędem - do przeliczenia w czasie apelu.

Pod wieczór Krankemann, przechadzając się po placu z rękami w tył założonymi, przyglądał się z uśmiechem zadowolenia byłym więźniom leżącym już spokojnie.

"Gimnastykę" zwaną "kołem śmierci" ćwiczyłem przez dwa dni. Trzeciego dnia rano, stojąc w kole, zastanawiałem się nad tym, jaki procent z pozostałych ćwiczących jest słabszy fizycznie i mniej wysportowany ode mnie i obliczałem, jak długo jeszcze mogę liczyć na własne siły, gdy nagle położenie moje raptownie się zmieniło.

Komanda wymaszerowywały do pracy. Część do pracy wewnątrz drutów, a część maszerowała na zewnątrz (do pracy za bramą, za ogrodzeniem).

W pobliżu bramy stał kierownik obozu (Lagerführer) z grupą esesmanów przed pulpitem. Robił przegląd wychodzących komand, sprawdzał ilość z podaną w rejestrze. Tuż obok stał "Arbeitsdienst" - Otto (Niemiec, który nigdy Polaka nie uderzył). Z tytułu swego urzędu on to

przydział do pracy poszczególnych więźniów. On był odpowiedzialny za obsadzanie poszczególnych komand pracownikami.

Stojąc na łuku koła zbliżonym do bramy, spostrzegłem, że Otto pędzi biegiem wprost na nas. Instynktownie podsunąłem się jeszcze bliżej. "Arbeitsdienst" wpadł zakłopotany wprost na mnie:

- Vielleicht bist du ein Ofensetzer?

- Jawohl! Ich bin ein Ofensetzer. - odparłem bez namysłu.

- Aber ein guter Meister?

- Gewiß, ein guter Meister.

- Also, schnell...

Kazał mi wziąć jeszcze czterech z koła i galopem pędzić za nim do bramy pod blokiem 9 (stara numeracja); dali nam wiadra, kielnie, młotki murarskie, wapno i cała nasza piątka stanęła wyrównana przed pulpitem kierownika obozu, którym wtedy był Karl Fritzsch. Spojrzałem po twarzach przygodnych moich towarzyszy. Żadnego z nich nie znałem.

- Fünf Ofensetzer - meldował głośno zadyszany Otto.

Dali dwóch żołnierzy postów i wymaszerowaliśmy za bramę w kierunku miasteczka. Okazało się, że Otto miał przygotować paru majstrów do przestawienia pieców w mieszkaniu jakiegoś esesmana, zapomniał o tym i w ostatniej chwili ratując sytuację, w czasie gdy przy bramie liczone poprzednie komando, zmontował zespół z naszej piątki na placu. Teraz właśnie postowie prowadzili nas do mieszkania esesmana.

W jednym z domków w miasteczku, właściciel mieszkania, jakiś esesman przemówił po niemiecku, lecz ludzkim tonem, co mi się wydawało dziwne. Zapytał, kto jest głównym majstrem i wyjaśnił właśnie mnie, że likwiduje kuchnię, że przyjedzie jego żona, więc on chce przenieść płytę kafłową tu, a tamten piecyk do tego pokoju. Uważa, iż jest nas zbyt wielu, ale chodzi o to przede wszystkim, żeby robota była dobrze wykonana, więc możemy tu wszyscy pracować, a w razie, gdyby paru nie miało co robić, to niech sprzątają na strychu. Będzie przychodzić tu codziennie aby robotę obejrzyć. I poszedł.

Sprawdziłem, czy któryś z kolegów zna się na piecach; gdy okazało się, że nikt, odprawiłem całą czwórkę do noszenia wody, kopania gliny, rozrabiania, itp. Dwóch esesmanów pilnowało nas na zewnątrz domu. Zostałem sam. Co robiłem z piecem? - mniejsza. Człowiek w walce o życie może więcej, niż sam przedtem sądził. Rozbierałem ostrożnie, by nie połamać kafli, przyglądałem się bacznie, jak idą lufty, gdzie i jak są sklezione. Później postawiłem piec, następnie kuchenkę w miejscach mi wskazanych.

Budowałem wszystko przez cztery dni. Gdy jednak piątego dnia należało pójść i na próbę zapalić w piecu, zawiruszyłem się w obozie tak szczęśliwie, że chociaż słyszałem, jak szukano ofensetзера - majstra, mnie nie znaleziono. Nikt się nie domyślił, aby szukać wśród ogrodników w ogrodzie komendanta... A numerów naszej piątki też nigdzie nie zapisano. To były jeszcze czasy, kiedy nawet kapowie w komandach nie zawsze notowali numery. Nigdy też się nie dowiedziałem, czy piece paliły, czy też dymiły...

Wracam do momentu, gdy znalazłem się po raz pierwszy w miasteczku w mieszkaniu esesmana. Mam pisać co prawda o suchych faktach... Widziałem już w Oświęcimiu straszne obrazy - nic mnie nie potrafiło złamać. A tu, gdy mi nie groził żaden kij i żadne kopnięcia, poczułem jak serce nagle

podeszło mi do gardła i było mi ciężko, jak nigdy dotąd...

Podaję tu to, co faktem było bezwzględnie. Jest to jednak fakt z głębi mego wnętrza i może dlatego nie jest tak suchy.

Zostałem sam przed "zadaniem z piecami", lecz nie o piece chodziło... Jak to - więc jest nadal świat i ludzie żyją, jak żyli? Tu domki, ogródki, kwiaty i dzieci. Radosne głosy. Zabawy. Tam piekło - mordowanie, przekreślanie wszystkiego, co ludzkie, co dobre... Tam esesman jest katem, oprawcą, tutaj - udaje człowieka.

Gdzież więc jest prawda? Tam? Czy tu?

W domu zakłada swe gniazdo. Przyjedzie żona, a więc i uczucia jakieś w nim mieszka. Dzwony w kościele - ludzie się modlą, kochają, rodzą, a tuż obok - katują, mordują...

Powstał we mnie wtedy jakiś bunt. Były to chwile ciężkiego zmagania. Potem przez cztery dni, chodząc do pracy przy piecach widziałem na przemian to piekło, to ziemię. Czuję się tak jakbym był raz po raz wpychany to do ognia, to do wody. Tak! Hartowano mnie wtedy.

Tymczasem pierwsza "piątka" zrobiła już "parę kroków" naprzód, zaprzysiężono kilku nowych członków. Jednym z nich był kpt. "Y". Na imię miał Michał. Kapitan Michał podchodził do sprawy w ten sposób, że pomagał rano przy ustawianiu piątek do pracy. Przy kapach wymyślał kolegom i zrzędził, równając szeregi oszczędził niejednemu więźniowi kapowego kija, robił sam wiele ruchu i hałasu, a mrugał znacząco do współtowarzyszy, gdy kapo stał do nich plecami. Kapowie zdecydowali, że nadaje się na "dwudziestkowego" i powierzyli mu cztery piątki, robiąc z niego "Vorarbeitera". Ten właśnie Michał uratował mnie w dzień krytyczny, gdy musiałem gdzieś zniknąć z oczu kapów. Wpakował mnie do dwudziestki zaprzyjaźnionego już "unterkapa", w jednym z komand wychodzących przez bramę do pracy.

Trafiłem do oddziału pracującego w polu, tuż koło willi komendanta lagru. Tymczasem w obozie szukano "Offensetzera", aż Otto znalazł innego więźnia i piątka wyszła do pieców jak zawsze. Przez cały dzień padał deszcz i dał wiatr. Pracując w polu, z którego robiliśmy w przyspieszonym tempie ogród dla komendanta, mokliśmy wszyscy - zdawało się - do głębi ciała; zdawało się nam również, że wiatr przeszywa nas na wylot. Suche nitki nie było. Wiatr obracał nami długo (nie można było stać do wiatru jedną stroną), mroził nam krew w żyłach i tylko robota - szybka praca łopata - wydobywała jeszcze z zapasów własnej energii trochę tego ciepła. A energią trzeba było gospodarować oszczędnie, gdyż zregenerowanie jej było bardzo wątpliwe... Drelichy kazano nam zrzucić. W koszulach, boso, w grzęznących w glinie drewniakach, bez czapek, z ociekającymi wodą głowami, gdy deszcz przestawał padać, parowaliśmy jak konie po biegu.

Rok 1940, szczególnie jesień, dał się we znaki więźniom Oświęcimia ciągłymi deszczami, szczególnie w czasie apeli. Apel z deszczem stał się chronicznym zjawiskiem, nawet w dzień, który można by zaliczyć do pogodnych. Mokli na apelu wszyscy - ci, którzy pracowali przez cały dzień w polu, jak i ci, co pracowali cały dzień pod dachem. Do pracy pod dachem przede wszystkim dostawały się "stare numery", to znaczy ci, którzy przyjechali dwa, lub najwyżej trzy miesiące przed nami. Te miesiące to była ogromna różnica i "w posadach" (bo wszystkie pod dachem były poobsadzone) i w przeżyciach. W ogóle więzień, który przyjechał o miesiąc później, nie tym się różnił od kolegów, że siedział tu krócej, lecz tym, że nie zaznawał już takich udręczeń, jakie stosowano jeszcze przed miesiącem. Metody jednak stałe się zmieniały i zawsze było ich dość u całej plejady dozorców, naganiaczy i innych ciemnych typów, którzy chcieli się w ten ohydny sposób przypodobać władzy.

Tak było i w następnych latach. Lecz na razie nikt o latach nie myślał. "Kazik" (na 17 bloku) powiedział nam kiedyś, że najgorzej to przetrwać pierwszy rok. Niektórzy śmiali się serdecznie.

Rok? Na Gwiazdkę już będziemy w domu! Niemcy nie wytrzymają. Anglia, itp. (Sławek Szpakowski). Innych ogarniała zgroza. Rok? Któż tu wytrzyma rok, kiedy codziennie człowiek bawi się w ciuciubabkę ze śmiercią... może dziś... może jutro... I dzień czasem wydawał się rokiem. I dziwnie dzień włókł się w nieskończoność. Czasami, gdy sił brakowało do pracy, którą jednak wykonać trzeba było - godzina wydawała się wiekiem, tygodnie natomiast mijały szybko. Dziwne, ale tak było - zdawało się niekiedy, że coś albo z czasem, albo ze zmysłami już nie jest w porządku...

A że ze zmysłami nie było już tak, jak u ludzi... jak u ludzi, hen, tam daleko. To pewne...

...Oto - gdy po ciężkich przejściach zżyliśmy się już trochę ze sobą, a przeżycia zacieśniły więzy przyjaźni mocniej niż tam na ziemi... gdy się miało swą "paczkę", w której nawzajem się wspomagano i ratowano, ryzykując nieraz własnym życiem... gdy nagle na twoich oczach, bracie, zabijano ci przyjaciela, mordując go w najpotworniejszy sposób - zdawało się jedno! Rzucić się na oprawcę i zginać razem... Tak też parę razy było, lecz zawsze przynosiło to tylko jeszcze jedną śmierć... Nie, to nie jest wyjście! W ten sposób zginęlibyśmy zbyt szybko...

Więc widziało się powolną śmierć przyjaciela i niejako konało się z nim razem... przestawało się istnieć razem z nim... a jednak człowiek odżywał, odradzał się, przeradzał. I jeśli tak dzieje się nie raz, a powiedzmy dziewięćdziesiąt - to trudno, staje się kimś innym, niż było się na ziemi... A ginęły nas tam tysiące... dziesiątki tysięcy... a potem już - setki tysięcy... Śmieszna więc wydawała się ziemia i ludzie na niej, zajęci jakże błahymi już w naszych oczach sprawami. Tak przekuwaliśmy się wewnętrznie.

Nie wszyscy jednak. Obóz był probierzem, gdzie się sprawdzały charaktery. Jedni staczali się w moralne bagno. Inni szlifowali swe w charaktery jak kryształ. Rżnięto nas ostrymi narzędziami. Ciosy boleśnie wrzynały się w ciała, lecz w duszy znajdowały pole do przeorania... To przeradzanie się przechodzili wszyscy. Jak pługiem przeorana ziemia odkłada się na prawo w skibę urodzajną - po lewej zostawała do przeorania dopiero w następnym cięciu. Czasami tylko pług wyskakiwał na jakimś kamieniu i zostawał kawał roli nie przerobiony, jałowy... nieużytek...

Opadły z nas wszystkie tytuły, dystynkcje, dyplomy - zostały tam daleko, na ziemi... Patrząc jak gdyby z zaświatów na sylwetki ubrane w te ziemskie naleciałości, widziało się całą naszą paczkę w przeszłości: jednego z takim, drugiego z innym tytułem, lecz nie mogło się patrzeć inaczej, jak z uśmiechem pobłażliwym... Byliśmy już wszyscy z sobą "na ty". Przez "pan" zwracano się tylko do "zulangów", bo oni jeszcze tego nie rozumieli. Wśród nas był to z reguły zwrot obrażający. Pułkownik R., do którego zwróciłem się przez zapomnienie "Panie pułkowniku", zachnął się na mnie ze słowami: "Może byś już przestał..."

Jakże inaczej to wygląda na ziemi. Jakiś Munio czy Funio będzie się chwalił wśród kolegów zaszczytem, że z kimś o dwa stopnie starszym mówią sobie "ty". Tu wszystko znikło bez śladu. Staliśmy się tylko nagą wartością. Tyle człowiek mógł i znaczył, ile był wart...

W ogrodzie komendanta pracowałem dwa dni. Niwelowaliśmy teren, wytyczaliśmy gazony, dróżki. Z głęboko wyciętych drózek wywoziliśmy ziemię. Wypełnialiśmy wgłębienia grubo sypaną, tłuczoną cegłą. Rozbieraliśmy w pobliżu kilka domków. W ogóle wszystkie domy koło lagru, a szczególnie w pasie "kleine Postenkette" (mały łańcuch wart), czyli w pierścieniu o promieniu paru kilometrów, musiały być rozebrane. Ze specjalnym zacięciem i jakąś wściekłością rzucali się niemieccy dozorczy na te budowle, postawione tu przez ludność polską. Bogate wille i skromne, lecz schludne domki, na postawienie których jakiś robotnik polski pracował może całe życie, znikwały z powierzchni rozbierane rękami więźniów - Polaków, pędzonych drągami, bitych, kopanych i lżonych różnymi "verfluchtami". Do takiego znęcania się tak w ogrodzie jak i przy rozbiorce domków była przez cały czas tych robót nieprzerwana okazja.

Po zdarciu dachów, rozebraniu ścian takiego domku, najtrudniejsza praca była przy rozbieraniu fundamentów, które zniknąć musiały bez śladu. Doły zasypywano i gospodarz, jeśli wróci, będzie musiał długo ustalać miejsce, gdzie kiedyś było jego rodzinne gniazdo. Wykopywaliśmy bowiem również nawet niektóre drzewa. Z całego obejścia nie zostawało nic.

Podczas gdy niszczone jedno z takich domostw, spostrzegłem zawieszony na krzaku obraz Matki Boskiej, który, wydawało mi się, z jakimś spokojem samotnie tu tkwił i pozostał cały wśród tego chaosu i zniszczenia. Nasi nie chcieli go zdjąć. W pojęciu kapów, wystawiony na deszcz, śnieg i mróz właśnie tu najbardziej narazony będzie na poniewierkę. Toteż znacznie później, na ośnieżonym krzaku można było widzieć szronem pokryty obrazek, połyskujący złoceniami, ukazujący przez zapotniałą szybkę tylko twarz i oczy, który dla więźniów pędzonych tędy zimą do pracy wśród dzikich krzyków i kopniaków, był miłym zjawiskiem, kierującym ich myśli do domów rodzinnych, jednego do żony, innego - do matki.

Przemoczeni w czasie pracy, przemoczeni na apelach, na noc składaliśmy mokre drelichy pod głowę zamiast poduszek. Rano wkładało się takie ubranie i szło się bosą nogą w spadających drewniakach, bez czapek, znowu na deszcz lub przenikliwy wiatr. Był już listopad. Czasami prószył śnieg. Koledzy się wykańczali. Szli do szpitala i więcej już nie wracali. Dziwne - nie należałem do herkulesów, a jednak nawet kataru nie miałem.

Po paru dniach pracy w ogrodzie, Michał umieścił mnie w dwudziestce, którą sobie mógł dobrać. Toteż dobierał ją z kolegów, przeważnie już zaprzysiężonych lub takich, na których można było liczyć, że się znajdują w naszej organizacji - ludzi wartościowych, których należało ratować. Dwudziestka nasza należała do setki, która między kilkunastoma innymi setkami szła na "Industriehof II". Tam szaleli kapowie: "August Czarny", Sigrud, Bonitz, "August Biały" i inni. Było paru kilkunastoletnich "szczeniaków"-volksdeutschów na usługach niemieckich, którzy mieli radość w biciu więźniów po twarzy, biciu kijem, itp. Jeden z nich przeliczył się nieco i po paru dniach znaleziono go wiszącego w jednym z baraków; musiał się sam powiesić, nikt mu nie pomógł - taki był rozkaz wyraźny w lagrze.

Michał jako Vorarbeiter ze swoją dwudziestką dostał do rozbiórki jeden z domków w polu. Tam zaprowadził nas wszystkich i tam "pracowaliśmy pilnie" przez parę tygodni. Siedzieliśmy wśród załamów fundamentów domu i wypoczywaliśmy po pracy, uderzając od czasu do czasu kilofem, by słyhać było tu odgłos jakiejś pracy. Od czasu do czasu paru kolegów wynosiło na noszach gruz, w który zamieniały się ściany i fundamenty burzonego domku. Materiał w postaci gruzu używany był do budowy drogi odległej od nas o kilkaset metrów. Do domku tego, położonego daleko od terenów pracy reszty setek, nikt z władzy naszej nie raczył zaglądać. Kapowie mieli tak wiele pracy przy wykańczaniu kilkunastu setek "wściekłych psów polskich", że nie pamiętali o nas, lub nie chcieli się fatygować przez błotniste pole. Michał stał na straży i pilnie obserwował. Gdy jakiś esesman lub kapo był gdzieś w bliskiej odległości, wtedy natychmiast sunęła para kolegów z noszami, kilofy uderzały rażniej w cement fundamentów i w sklepienia piwnic.

Podczas pracy stałem obok Sławka Szpakowskiego. Rozmowa nasza toczyła się przeważnie na tematy kulinarne. Obaj byliśmy optymistami. Doszliśmy do wniosku, że co do potraw gusty mamy prawie identyczne. Sławek więc układał menu, jakim kiedyś przyjmie mnie u siebie, w Warszawie, po powrocie z lagru. Od czasu do czasu, gdy nam chłód dokuczał i deszcz lał za kołnierz, braliśmy się do pracy na serio, odłupując wielkie bryły betonu.

W pasiakach, z kilofami i młotkami, przedstawialiśmy obraz, do którego tylko można było dośpiewać zwrotkę: "...w minach kując kruszec młotem" i Sławek obiecywał namalować - po wyjściu z tego piekła - mój portret w pasiaku i z kilofem. Tylko optymizm podtrzymywał nas, bo reszta - cała rzeczywistość była bardzo czarna. Głód skręcał nam już kiszkę. Ach, gdyby teraz można było mieć tamten chleb, który złożyliśmy na placu do taczek, w dzień przyjazdu do obozu. Wtedy jeszcze nie potrafiliśmy cenić chleba.

W pobliżu miejsca naszej pracy, za drutami, umieszczonymi na granicy "wielkiego łańcucha wart" pasły się dwie kozy i krowa, które z apetytem zjadały liście kapuściane rosnące po tamtej stronie drutów. Po naszej stronie nie było już liści kapuścianych - wszystkie były zjedzone. Nie przez krowy, lecz przez stwory do ludzi podobne - przez więźniów - przez nas. Zjadaliśmy kapustę i buraki pastewne w surowym stanie. Zazdrościliśmy wtedy krowom - im buraki nie szkodziły. My w ogromnym procencie chorowaliśmy na żołądki. Wśród więźniów panował ogarniający coraz większe masy więźniów i panoszący się w tamtym okresie w obozie "Durchfall", czyli po polsku - biegunka, dyzenteria.

Na żołądek jakoś nie chorowałem. Sprawa prozaiczna - zdrowy żołądek, to ważna rzecz w obozie. Kto zachorował, musiał mieć wiele silnej woli, by powstrzymać się od jedzenia, na krótki chociażby okres, zupełnie. O diecie specjalnej mowy nie było. Mogła być stosowana w szpitalu, jednak tam początkowo trudno się było dostać i rzadko się wracało. Wychodziło się przeważnie z dymem przez komin krematorium. Siła woli, stanowiąca tak wiele, w tym wypadku nie wystarczała. Nawet, gdy więzień się opanował i oddawał obiad, a chleb suszył, na dzień następny, lub go spalał na węgiel i zjadał dla powstrzymania biegunki, to i tak był osłabiony ciągłym rozstrojem żołądka, a w pracy komanda, pod okiem kata z kijem, z braku sił do pracy "podpadał" jako "ein fauler Hund" i był kończony biciem.

Wracając do lagru na apel południowy i wieczorny, czyli dwa razy dziennie, musieliśmy wszyscy nieść cegły. Przez pierwsze dwa dni nosiliśmy po 7 cegieł każdy, później przez kilka dni - 6, a na koniec ustaliła się norma 5 cegieł. W obozie, gdy przyjechaliśmy, ogrodzonych było drutem sześć bloków piętrowych i czternaście parterowych. Na placu apelowym budowano osiem bloków nowych, piętrowych, a wszystkie parterowe podnoszono do piętrowych. Materiał (cegły, żelazo, wapno) nosiliśmy do obozu z odległości kilku kilometrów i zanim budowy zostały zakończone, zakończyło też swe życie wiele tysięcy więźniów.

Praca w dwudziestce Michała zaoszczędziła wiele sił kolegom. Poczciwy Michał, stojąc na straży naszego bezpieczeństwa - na zewnątrz domku - zaziębił się, dostał zapalenia płuc i dostał się do szpitala. Zmarł w grudniu. Kiedy odszedł od nas do HKB (był jeszcze koniec listopada) wzięto nas do galopu tak, jak wszystkie inne dwudziestki i setki.

Zaczęło się znowu mordowanie na całego. Wyładowywaliśmy wagony towarowe, wtaczane na bocznicę kolejową. Żelazo, szkło, cegła, rury, dreny. Przywożono wszelki materiał potrzebny do rozbudowy obozu. Wagony musiały być rozładowane szybko. Więc znowu pod kijem zwijało się, nosiło, potykało, upadało. Przygniatani byliśmy czasami ciężarem dwutonowej belki lub szyny. Ci nawet co nie upadali, wyczerpywali zapas swych sił, nagromadzony widocznie kiedyś w przeszłości. Dla nich było coraz większą z dnia na dzień niespodzianką, że jeszcze żyją, jeszcze chodzą, wtedy, gdy dawno przekroczyli granice tego, co najsilniejszy człowiek może znieść. Tak, tutaj rodziła się z jednej strony jakaś ogromna pogarda dla tych, których ze względu na ciało musiało się zaliczać do ludzi, lecz rodziło się też uznanie dla dziwnej natury ludzkiej, tak silnej duchem, iż - zdawało się - mającej w sobie coś z nieśmiertelności.

Przeczyły temu co prawda dziesiątki trupów. Wlekliśmy we czterech jednego, idąc na apel do lagru. Zimne nogi i ręce, za które trzymaliśmy ciała, kości obciążone siną skórą. Z sino -szaro -fioletowych twarzy ze śladami pobicia patrzyły nieraz obojętne już oczy. Niektóre ciała, jeszcze nie ostygłe, z rozwalonymi jakąś łopata głowami, huśtały się w takt marszu kolumny, która musiała trzymać krok.

Jedzenie możliwe dla wegetowania w beczynności, przy ciężkiej pracy było daleko niewystarczające, by zachować energię. Tym bardziej jeśli z tej energii trzeba było jeszcze ogrzewać ciało, zziębnięte przy pracy pod gołym niebem.

Na "Industriehof II", po stracie Michała, kombinowaliśmy tak ze Sławkiem, lawirując dość sprytnie pomiędzy kijami, by zawsze pracować w możliwej partii. Raz przy wyładowywaniu wagonów, to znowu w komandzie "Straßenbau" u "Augusta Białego".

Gdy do pracy z tym komandem, wypadło nam przejść koło magazynu, uderzył nasze powonienia silny zapach wędlin. Głodem wyostrzony ten zmysł był wtedy zadziwiająco czuły. W wyobraźni naszej przesunęły się żywo rzędy wiszących szynek, boczków wędzonych, polędwic. Lecz cóż - to nie dla nas! Zapasy są pewno dla "nadludzi". Zresztą - żartowaliśmy sobie - powonienie to świadczy, że nie jesteśmy już ludźmi. Do magazynów mieliśmy ze 40 metrów; był to więc raczej węch zwierzęcia, niż człowieka... Jedno nas ratowało zawsze - dobry humor.

A jednak warunki te wszystkie razem wzięte zaczęły wykańczać na dobre. Niosąc cegły do lagru, szczególnie wieczorem, szedłem - pozornie tylko - pewnym krokiem. Naprawdę zaś czasami traciłem świadomość i robiłem kilka kroków zupełnie mechanicznie, jakby we śnie, byłem gdzieś daleko od otoczenia... przed oczami robiło się zielono... Niewiele brakowało do tego, bym się potknął... Gdy myśl moja zaczynała znowu działać i rejestrować mój stan wewnętrzny - budziłem się... Przeszywał mnie nakaz: Nie! Nie możesz się poddać! I szedłem dalej pchany tylko wolą... Powoli mijał stan zapamiętania. Wchodziłem przez bramę do obozu. Tak, teraz rozumiałem napis na bramie: "Arbeit macht frei"! O tak, rzeczywiście... praca czyni wolnym... wyzwala z obozu... ze świadomości, jak to przeżywałem przed chwilą. Wyzwala ducha z ciała kierując to ciało do krematorium... A jednak należało coś wymyślić... coś zrobić, by jakoś ukrócić ten proces utraty sił.

Gdy się spotkałem z Władkami (płk. 1 i dr. 2), Władek 2 pytał zawsze: "No, Tomasz, jak się czujesz?" Odpowiadałem z wesołą miną, że czuję się doskonale. Początkowo dziwiono się, później się przyzwyczajono i wreszcie uwierzono, że się czuję doskonale. Nie mogłem odpowiadać inaczej. Chcąc prowadzić "pracę" - mimo, że koledzy zabrali się do tego szczerze i jeden zdołał umocnić swe stanowisko w szpitalu, gdzie zaczął coś znaczyć, a drugi rozbudowywał piątkę w biurze budowlanym - musiałem jeszcze stale sugerować, że i tutaj praca jest zupełnie możliwa i zwalczać psychozę, której już zaczął ulegać Nr 3. Co by było, gdybym się choć raz poskarżył, że jest mi źle, lub że jestem słaby i że właściwie przyparto mnie pracą tak, iż sam, dla ratowania swego życia, szukam wyjścia... Jasne, że wtedy nie mógłbym ani sugerować niczego innym, ani czegokolwiek od kogoś wymagać... Więc było mi dobrze - na razie tylko dla innych - a potem, o czym napiszę niżej, powoli doszło do tego, że pomimo ciągłych zagrożeń i napiętych nerwów stało mi się naprawdę dobrze, nie tylko w słowach kierowanych do innych.

Nastąpiło niejako rozdwojenie. Wtedy, gdy ciało było stale udręczone, duchowo człowiek czuł się czasami - nie przesadzając - wspaniale. Zadowolenie zaczęło się gnieździć gdzieś w mózgu, tak z powodu przeżyć duchowych, jak i z powodu ciekawej gry, czysto intelektualnej, którą prowadziłem. Należało jednak przede wszystkim własne ciało jakoś uchronić od uśmiercenia. Dostać się jakoś pod dach, żeby uniknąć wykończenia się spowodowanego potwornymi warunkami atmosferycznymi pod gołym niebem.

Marzeniem Sławka było dostać się do rzeźbiarni w stolarni. Później miał się starać, by i mnie tam wciągnąć. Były w obozie już dwie stolarnie. Jedna, wielka, na "Industriehof I", druga - mała, w samym obozie na bloku 9 (stara numeracja). Do tej stolarni zdołał się już dostać mój kolega z pracy jeszcze w Warszawie, kpt.3, imieniem Fred. Pytany, poinformował mnie, że może i mnie by się udało tam dostać, gdybym potrafił przekonać czymś Vorarbeitera stolarni. Był nim volksdeutsch - Westrych Wilhelm - pochodzący z Pyr pod Warszawą. Siedział tu za handel walutą i czekał na rychłe zwolnienie. Westrych, jakkolwiek volksdeutsch, jednak na dwóch stołkach siedzący. Pracując dla Niemców, czasami ratował Polaków, jeśli czuł, że może to mieć dla niego jakąś korzyść w przyszłości. Chętnie ratował jakies byle znakomitości, by później, jeśli Niemcy przegrają - dla wybielenia tych lat pracy - powołać się na uratowane przez siebie osoby. Należało więc stać się jakąś byłą znakomitością. Wtedy zdecydowałem się pójść "na całego".

Kolega mój, kpt.8, obiecał nastawić odpowiednio Vorarbeitera i wieczorem wyciągnąć go przed blok 8 (stara numeracja), gdzie mieszkał. Tu też odbyła się nasza rozmowa. Powiedziałem krótko, że to nic dziwnego, że mnie nie pamięta, bo któż by mógł słyszeć o Tomaszu... Tu wymieniłem moje nazwisko "lagrowe".

"Otóż, panie, jasne: siedzę tu pod fałszywym nazwiskiem". Już Parki wzięły nić żywota mego w swe nożyce - pomyślałem za Sienkiewiczem. Ryzykowałem życiem. Wystarczyło, żeby Vorarbeiter zameldował lub zwierzył się komuś ze zgrai esesmanów czy kapów, w której się obracał, że jest tu ktoś pod fałszywym nazwiskiem, a byłbym skończony. Jak czarowałem w dalszej rozmowie z Westrychem, tego tu pisać nie będę. Udało mi się. Zwracał się do mnie przez "pan", co w ustach Vorarbeitera zwracającego się do szarego więźnia nie miało posmaku obraźliwego, a przeciwnie. Orzekł, że twarz moją musiał gdzieś widzieć... bodaj na jakichś ilustracjach z przyjęć na Zamku Warszawskim i - co najważniejsze - powiedział, iż zawsze ratuje porządnych Polaków, bo właściwie sam się nim czuje, i żebym przyszedł nazajutrz do stolarni (małej), bo on już to z kapem załatwi. Do stolarni na pewno będę przyjęty i przypuszcza, że będę mu wdzięczny w przyszłości... Rozmowa miała miejsce wieczorem 7 grudnia.

Nazajutrz, 8 grudnia, po apelu znalazłem się w stolarni. Dotychczas, gdy pracowałem na polu, chodziłem bez czapki i skarpetek. Tutaj, pod dachem, w ciepłe, o ironio, dostałem od Westrycha 8 grudnia skarpetki, a w tydzień po tym - czapkę. W stolarni przedstawił mnie kapowi jako dobrego stolarza (marnych w ogóle nie brano), którego trzeba przyjąć jednak na próbę. Kapo przyjrzał mi się i kiwnął głową na znak zgody.

Dzień pracy zszedł mi w zupełnie innych warunkach. Było ciepło, sucho, praca czysta. Karą tu było nie bicie, lecz sam fakt usunięcia z takiego miejsca - wyrzucenie ze stolarni znowu w koszmar lagru. Żeby jednak tu pracować, trzeba było coś umieć. Zdolności mi w życiu nie brakowało - lecz trudno - na stolarce nie znałem się wcale. Stałem przy warsztacie dobrego stolarza, późniejszego członka naszej organizacji, kaprała 9 (na imię miał Czesiek). Na nim się wzorowałem i pod jego kierunkiem układałem rękę do ruchów właściwych prawdziwemu stolarzowi. Kapo był w stolarni i znał się na robocie. Należało więc wszelkie ruchy naśladować fachowo.

Na razie nic ważnego nie robiłem. Heblowałem deski lub piłowałem z Czeskiem, który orzekł, że jak na pierwszy raz, to wcale nieźle. Nazajutrz kapo dał mi samodzielną pracę. Tu trzeba już było coś z siebie dać. Na szczęście nie było to nic trudnego, a przy pomocy Cześka udało mi się nieźle. Tego również dnia wkręciliśmy do stolarni Sławka, gdyż akurat kapo poszukiwał rzeźbiarza, a ja i jeden kolega podaliśmy jego. Po paru dniach Czesiek dostał nową robotę od kapo. Przydzielony do jego warsztatu, pomagałem mu w pracy podług jego wskazówek. Był ze mnie zupełnie zadowolony. Lecz niezadowolonym ze sposobu rozwiązania zadania stolarskiego przez Cześka był sam kapo i obaj z trzaskiem wylecieliśmy ze stolarni. Czesiek - majster i ja - jego pomocnik.

"...i trzebaż to było... taki dobry stolarz, a potknął się na cynkach" - omawiali nasz ciężki przypadek stolarze. Czesiek nie potknął się na "cynkach", tylko zrozumiał, że kapo ich w obstalowanym przedmiocie wcale nie chce mieć. Tak czy inaczej - wypadek nasz był ciężki. Za uchybienie w pracy wyrzucono nas na obóz do karnej roboty w taczkach, do dyspozycji starszego obozu.

Ciężkim porankiem rozpoczął się dla nas dzień w taczkach na lagrze. "Bruno" i Lagerkapo (kapo od porządku w lagrze) nie mieli dla nas względów. Był wielki mróz, lecz "Laufschritt" nie pozwalał nam odczuwać chłodu. Z siłami jednak było gorzej. Czesiek, pracując już dłuższy czas w stolarni, nabrał więcej sił. Mnie wspomogło tylko parę dni odpoczynku w ciepłe, przez co nabrałem nieco sił. Lecz przecież nie od dziś siedzieliśmy w lagrze. Cześkowi udało się urwać już przed południem, mnie - po południu i zadekowaliśmy się, każdy na innym bloku. Zaczynaliśmy mieć własne chody w lagrze, na co "Zugang" bez ryzyka bicia, nie mógłby się puścić. Dzień jakoś minął, lecz co dalej?

Czesiek nie wrócił do małej stolarni. Spotkałem go później gdzie indziej. Lecz Westrych zajął się

widocznie moją osobą na serio... Zawiadomił mnie przez Freda (kpt.8), że mam jutro rano po apelu przyjść do stolarni. Tam nazajutrz wytłumaczył kapowi, że ja wykonywałem tylko to, co Czesiek mi kazał, że ze mnie jest niezły stolarz i kapo się zgodził, bym pracował nadal. A żebym nie podpadł jeszcze raz kapowi, Westrych wymyślił pracę stolarską poza stolarnią. Tu kapo patrzył stolarzom na ręce i na ich ruchy, więc Westrych zaprowadził mnie na blok 5 (stara numeracja) i powierzył blokowemu Baltosińskiemu, mówiąc, że ja mogę mu zrobić dla bloku wycieraczki do nóg, skrzynię na węgiel, naprawić ramę okienną i tym podobne drobne prace, przy których nie potrzeba było być nadzwyczajnym stolarzem. Poza tym zapowiedział Baltosińskiemu (dowiedziałem się później od Jurka 10), żeby uważał na mnie i podkarmiał, bo to się może w przyszłości przydać, gdyż jestem nie byle kto.

Na bloku 5 pracowałem w sali nr 2, której gospodarzem był Stasiek Polkowski z Warszawy (fryzjer). Robiłem na tym bloku wymienione już przedtem przedmioty. Reperowałem lub robiłem z przynoszonych części starych szafek ze stolarni - nowe szafki dla sztubowych. Podkarmiano mnie na salach. Baltosiński przysyłał mi miskę zupy "repety" - zacząłem powracać do sił. Tak pracowałem przez grudzień i początek stycznia 1941 roku, aż do zajścia z Leo, które opiszę niżej.

Kończył się rok 1940. Zanim jednak przejdę do roku 1941 w Oświęcimiu, chciałbym dodać kilka obrazków lagrowych, które do czterdziestego roku jeszcze należą.

Bestialstwo oprawców niemieckich, które zwyrodniałczo podkreślało instynkty wyrostków, zbrodniarzy, niegdyś - kilkuletnich więźniów "kacetów" niemieckich, dziś - stanowiących naszą władzę w Oświęcimiu, przejawiało się tu i tam w najrozmaitszych odmianach. W SK oprawcy zabawiali się rozbijając jądra - przeważnie Żydom - drewnianym młotkiem na pieńku. Na "Industriehof II" esesman, "Perełką" przezwany, ćwiczył swego psa, wilka, w rzucaniu się na ludzi, używając do tego materiału ludzkiego, który nic tu nikogo nie obchodził. Wilk rzucał się na przebiegających podczas pracy więźniów, powalał osłabione ofiary, wgryzał się w ciała, rwał zębami, szarpał narządy płciowe, dusił za gardło.

Pierwszy więzień, który zwał z Oświęcimia przez pojedynczy wówczas płot z drutów, nie naładowanych jeszcze wtedy prądem elektrycznym, nazywał się - jakby na złość władcom lagru - właśnie Tadeusz Wiejowski. Władze się wściekły. Po ustaleniu na apelu braku jednego więźnia, za karę cały obóz przez 15 godzin trzymano na placu w postawie zasadniczej. Ma się rozumieć, nikt nie dał rady stać na baczność. Pod koniec stójki stan ludzi bez jedzenia, bez możliwości wyjścia do ubikacji był opłakany. Szeregi przebiegali esesmani i kapowie, bijąc kijami tych, co nie mogli stać. Niektórzy mdleli wprost ze zmęczenia. Na interwencję niemieckiego lekarza komendant lagru odpowiedział: "Niech zdychają. Jak połowa będzie zdychać - wtedy zwolnię!" Lekarz ten zaczął przechodzić szeregi i namawiał, żeby się kładli. Gdy ogromna masa ludzi leżała na ziemi, a kapowie nawet do bicia nie mieli ochoty, ogłoszono wreszcie koniec "stójki".

W następnych miesiącach pracowano nad ogrodzeniem. Postawiono drugi jeszcze płot z drutów wokół pierwszego, w odległości kilku metrów. Z dwóch stron za płotami z drutów zbudowano wysokie płoty z cementu, zabezpieczające obóz przed wglądem weń z zewnątrz. Znacznie później naładowano druciane płoty prądem wysokiego napięcia. Dookoła obozu pomiędzy płotem cementowym a płotem z drutów stały drewniane wieżyczki, panujące nad całym obozem położeniem i bronią maszynową, przy której esesmani pełnili baczność. Próbowano więc uciekać nie z obozu, a z pracy, do której wychodzono poza druty. Stopniowo represje za ucieczki złagodniały o tyle, że staliśmy na apelach tak długo, by później, jeśli to był apel wieczorny, zjeść jednak zimną strawę przed samym gongiem do snu. Reguły jednak w tym względzie nie było i czasami przepadała nam kolacja lub obiad.

Nie złagodniały tylko kary za próby ucieczek. Więzień taki zawsze przyplącał to życiem, zabijany od razu po złapaniu, czy wsadzony do bunkra, bądź też wieszany publicznie. Złapanego na nieudanej ucieczce więźnia ubierano jak na pośmiewisko w czapkę o osłich uszach i przyczepiano

mu inne fatalaszki. Zawieszano mu na szyi tablicę z napisem "to jest osioł... czynił wysiłek ucieczki...", itp. Przywiązywano mu też bęben w pasie i tak po komediancku ubrany niedoszły uciekinier, bijąc w bębenek, odbywał swój ostatni marsz na ziemi, wśród kolegów, stojących w szeregach na apelu - ku uciesze naigrawających się "piesków" lagru. Bloki, wyrównane na apelu, przyjmowały tę makabryczną komedię głuchym milczeniem.

Zanim jednak znaleziono takiego delikwenta, bloki stawały na "stójce". Kilka setek więźniów pod przewodnictwem zgrai kapów i zgrai psów szło na poszukiwanie zbiega (zbiegów), który krył się przeważnie gdzieś w rejonie pomiędzy małym a wielkim łańcuchem wart, jeśli wielkiego łańcucha wart nie zdołał przekroczyć. Posterunki stojące na wieżyczkach wielkiego łańcucha wart zdejmowane były dopiero wtedy, gdy stan więźniów na apelu wieczornym zgadzał się ze stanem więźniów w obozie na dzień bieżący.

Kiedyś na wieczornym apelu w dzień wyjątkowo zimny i dżdżysty, kiedy padał deszcz na przemian ze śniegiem, rozległa się przeraźliwa syrena - złowieszcza zapowiedź "stójki". Stwierdzono brak dwóch więźniów. Zarządzono karną "stójkę" do czasu odnalezienia zbiegów, którzy musieli ukryć się gdzieś na "Industriehof II". Kapów, psy i parę setek więźniów wysłano wtedy na poszukiwania, które trwały długo. Śnieg, deszcz, zmęczenie pracą, niedostateczne ubranie więźniów, wykańczały nas w tym dniu dotkliwie na stójce. Wreszcie gongiem ogłoszono znalezienie zbiegów. Do obozu wróciły już tylko bezwładne ciała tych nieszczęśliwców. Któryś z drabów, wściekły na przedłużenie dnia pracy, przebił od tyłu jednego z nich wąską, spiczastą deską na wylot przez nerki i żołądek, i tak omdłego, z siną, wykrzywioną twarzą przyniosło czterech drabów do lagru. Tak, tym zbiegom ucieczka nie opłacała się i była aktem wielkiego egoizmu, gdyż stójka tysięcy kolegów na zimnie przyniosła w skutkach ponad setkę trupów. Zginęli wprost z zimna, utracili swe siły do życia. Innych zabrano do szpitala, gdzie przez noc zmarli.

Czasami, choć nikt nie uciekł z obozu, a była wstrętna pogoda, trzymano nas na apelu długo - kilka godzin, nie mogąc się niby doliczyć stanu. Władze szły gdzieś pod dach, rzekomo robić zwykły rachunek - nas wykańczał chłód, deszcz, czy też śnieg i ten przymus stania w miejscu bez ruchu. Trzeba się było bronić całym organizmem, naprężyć mięśnie i zwalniać, a przez to wytworzyć trochę ciepła do ratowania życia.

Na apelach raport od blokowego przyjmował esesman-"Blockführer". Po odebraniu raportów z paru bloków, esesman szedł przed pulpit "Rapportführera", którym był SS-Obersturmführer Gerhard Palitzsch, którego sami esesmani bali się jak ognia. Za byle co karał ich bunkrem, na skutek też jego meldunku esesman szedł na front. Toteż był on postrachem wszystkich. Gdy Palitzsch się zjawiał, zalegała cisza.

Na stanowiska blokowych zaczęli windować się ludzie, których nigdy nie miałem za Polaków, lecz którzy tutaj w wielkim procesie zaparli się polskości - byli to Ślązacy. Mając poprzednio o nich jak najlepsze zdanie - tu się oczom wierzyć nie chciało. Kończyli Polaków, za swoich ich nie uważając; sami się mieli za szczep jakiś niemiecki. Kiedyś zwróciłem uwagę jednemu Vorarbeiterowi, pochodzącemu ze Śląska: "Po co go bijesz? Przecież to jest Polak". A on mi na to odpowiedział: "Ale ja Polakiem nie jest - jam jest Ślązak. Rodzice moi Polakiem mnie chcieli zrobić, ale Ślązak to Niemcy. Polak to w Warszawie mieszkać musi, a nie na Śląsku." I bił tamtego kijem w dalszym ciągu.

Było dwóch blokowych-Ślązaków: Skrzypek i Bednarek, którzy byli bodaj gorsi od najgorszego Niemca. Kończyli kijem tak wielką ilość więźniów, że i "Krwawy Alojz", który zresztą trochę już wziął na "wstrzymanie", nie mógł tym drabom dorównać. Codziennie, stojąc na wieczornym apelu, można było widzieć na lewym skrzydle bloków, u tych oprawców, stojące taczki ze zwłokami więźniów. Robotą swoją chwalili się esesmanom, u których składali raport ze stanu.

Uogólnić jednak tego nie można, bo jak wszędzie, tak i tutaj w tej regule były wyjątki. Rzadko był

tu Ślązak, który był dobrym Polakiem, lecz gdy już się taki zdarzył, mogłeś mu swoje życie spokojnie zawierzyć. Wierny to był przyjaciel. Był taki Ślązak - blokowy Alfred Włodarczyk i był Smyczek; byli też Ślązacy i w naszych piątkach, o czym napiszę później.

"Krwawy Alojz", o którym wspomniałem, przestał już być blokowym. Blok 17a (stara numeracja) zamieniono na skład worków z ubraniami więźniów. Transporty więźniów wciąż napływały, zwiększając numer bieżący - ewidencyjny; stan lagru natomiast nie zwiększał się wcale. Był odpływ przez komin krematorium. "Efekty" jednak - worki z naszym ziemskim dobytkiem - były skrupulatnie przechowywane. Zajęły już całe wolne miejsce na bloku 18. Rozszerzono więc "lokum" zajęte pod magazyn "Effektenkammer" o piętro na 17 (blok 17a); wszystkich więźniów przeniesiono na różne bloki.

Od 26 października mieszkałem na bloku 3a (na piętrze), gdzie blokowym był Koprowiak. Ktoś o nim - o jego przeszłości w jakimś więzieniu - mówił mi bardzo dobrze. Tu zaś widziałem, że czasem bił - może nawalały mu już nerwy. Przeważnie jednak bił wtedy, gdy patrzył jakiś Niemiec. Może chciał zadekować życie, może stanowisko. Na stanowisku blokowego dla więźniów-Polaków był jednym z lepszych blokowych. Na bloku 3a mieszkałem na pierwszej sali, której sztubowym był Drozd. Typ życzliwy, podchodził do kolegów z sali serdecznie - bez bicia. Blokowy pozostawiał pod tym względem wolną rękę.

Pewnego razu, z piętra tego bloku, widziałem przez okno scenę, która mi utkwiła na długo w pamięci. W dzień pracy zostałem w obozie. Poszedłem do ambulansu, wezwany stamtąd kartką. Po powrocie zostałem na bloku. Padał deszczyk, dzień był ponury. Na placu pracowała SK wożąc żwir, wyrzucany łopatami z dołu. Prócz tego, marznąc, stało jakieś komando ćwiczące gimnastykę. Koło dołu trzech esesmanów, nie mogąc odejść od komand w obawie przed Palitzsem lub komendantem, który kręcił się tego dnia po obozie, wymyśliło sobie rozrywkę. Zakładali się o coś ze sobą, każdy położył banknot na cegle. Następnie zakopywali jednego więźnia głową w piach, starannie zasypując dół. Patrząc na zegarki - liczyli, ile minut ruszać będzie nogami. Nowoczesny totalizator - pomyślałem sobie. Ten widocznie, który był najbliżej prawdy w określeniu, jak długo człowiek tak zasypany rusza się jeszcze zanim skona - ten zgarniał pieniądze.

Tak dobiegał końca rok 1940.

Zanim jeszcze dostałem się do stolarni i doznałem korzyści z niej płynących, a więc i dodatkowego jedzenia na bloku 5, głód skręcający wnętrzności wzmógł się tak bardzo, że zacząłem pożerać oczami chleb otrzymany wieczorem przez tych, co na dobrych już będąc "posadach", mogli zaoszczędzić część chleba na rano. Staczałem z sobą najcięższą walkę zdaje się w życiu. Cały problem był w tym, jak to zrobić, by i teraz zjeść, i na rano coś zostawić... Ale nie będę pisał o głodzie ludziom sytym... lub tym, co otrzymując paczki z domu, czy z Czerwonego Krzyża, żyjąc bez przymusu pracy, narzekali później, że bardzo byli głodni. Ach! Nasilenie głodu przechodzi całą skalę stopniowania. Czasami zdawało się, że zdolny byłby człowiek wykroić kawał ciała z leżącego pod szpitalem trupa. Wtedy właśnie, przed samym Bożym Narodzeniem, rozpoczęto wydawanie nam rano kaszy jęczmiennej zamiast "herbaty", co było wielkim dobrodziejstwem i nie wiem, komu to zawdzięczaliśmy. (Tak było do wiosny.)

Na Święta postawiono nam w obozie parę choinek pięknie iluminowanych. Kapowie wieczorem na stołkach pod choinką położyli dwóch więźniów i wtukli im w część ciała, zwaną na wolności miękką, po 25 kijów. Miał to być żart w duchu niemieckim.

Kary w Oświęcimiu stopniowano.

Najlżejszą karą było bicie na stołku. Odbywało się to publicznie, wobec wszystkich bloków stojących na apelu. Przygotowany był "mebel egzekucyjny" - stołek z uchwytem na nogi i ręce po obu stronach. Stawało dwóch drabów esesmanów (często bił sam Seidler, lub czasami

Lagerältester Bruno) i biło więźnia w obnażoną część ciała, by nie niszczyć ubrania. Bito bykowcami lub po prostu ciężką laską. Po kilkunastu uderzeniach przerzynało się ciało. Tryskała krew i dalsze razy uderzały już tak, jak w siekany kotlet. Byłem świadkiem tego nie raz. Czasami otrzymano 50 kijów, czasami - 75. Pewnego razu, przy wymiarze kary 100 kijów, około dziewięćdziesiątego uderzenia więzień - jakiś mizerak - zakończył życie. Jeśli delikwent żył, to musiał wstać, zrobić kilka przysiadów dla wyregulowania obiegu krwi i stojąc na baczność, podziękować za słuszny wymiar.

Drugą karą był bunkier w dwóch rodzajach. Bunkier zwykły - były to cele w piwnicach bloku 13 (stara numeracja), gdzie siedzieli przeważnie kapowie lub esesmani przed przesłuchaniem do dyspozycji wydziału politycznego lub za karę. Cele bunkrów zwykłych zajmowały 3 części piwnicy 13 bloku, w pozostałej, czwartej części, mieściła się cela podobna do tamtych, lecz pozbawiona światła - "ciemnią" zwana. W jednym końcu bloku korytarz piwnicy zawracał pod kątem prostym w prawo i zaraz się kończył. W tej odnodze korytarza mieściły się małe bunkry zupełnie innego rodzaju. Były to trzy tak zwane "cele do stania" (Stehbunker). Za czworokątnym otworem w ścianie, przez który mógł wejść tylko zgarbiony, mieściła się niby-szafa o wymiarach 80x80 cm, wysokości 2 metry, tak że stać tam można było swobodnie. Do takiej "szafy" jednak wciskano, pomagając kijem, czterech więźniów skazanych na karę "Stehbunkra" i zamykając ich sztabami, pozostawiano do rana (od godziny 19.00 do 6.00 rano). Zdawałoby się to niemożliwe, lecz żyją dziś jeszcze świadkowie, którzy odbywali karę "Stehbunkra" w towarzystwie kolegów, wciśnięci do takiej "szafy" w ilości ośmiu ludzi! Rano ich wypuszczano i brano do pracy, a na noc znowu wciskano, jak śledzie, zamykając sztabami żelaznymi do rana. Wymiar kary zazwyczaj sięgał 5 nocy, lecz bywał również i znacznie większy. Kto nie miał w pracy jakichś stosunków z władzą, ten po jednej lub paru takich nocach, w robocie, z braku sił, zazwyczaj kończył życie. Kto mógł za wiedzą kapa odpocząć w dzień w komandzie, ten jakoś tę karę szczęśliwie przetrzymał.

Trzecią karą był zwyczajny "słupek" zapożyczony z austriackich metod karnych. Z tym, że wiszących, uwiązanych za ręce z tyłu, od czasu do czasu bujał dla zabawy dozorujący esesman. Wtedy stawy trzeszczały, w ciało wrzynały się sznury. Dobrze było, gdy nie zjawiał się tu "Perełka" ze swym wilkiem. W ten sposób prowadzono czasami dochodzenia, pojąc wiszącego sokiem z sałatki - marynaty, krótko mówiąc - octem, by nie zemdlął przedwcześnie.

No i czwartą, najcięższą karą, było rozstrzelanie - śmierć zadana szybko, o ileż bardziej humanitarna i jak bardzo, przez długo męczonych, pożądana. "Rozstrzelanie" - to nie jest określenie właściwe; właściwym byłoby: zastrzelenie lub nawet - zabicie. Odbywało się to również na bloku 13 (stara numeracja). Był tam dziedziniec ograniczony blokami (pomiędzy 12 i 13). Od wschodu zamknięty murem, ścianą łączącą bloki, a nazywaną "ścianą płaczu". Od zachodu też stał mur, w którym była brama, przeważnie zamknięta, zasłaniająca widok. Otwierała swe podwoje przed ofiarą żywą lub dla wyrzucenia okrwawionych trupów. Przechodząc tamtędy, czuło się taki zapach, jaki panuje w rzeźni. Rynsztoczkiem płynęła czerwona struga. Bielono rynsztoczek, lecz prawie codziennie wśród białych brzegów czerwona rzeczka wiła się na nowo... Ach! Gdyby nie była to krew... nie krew ludzka... nie krew polska... i to ta najlepsza... wtedy, kto wie, czy nie można by było w samym zestawieniu barw się lubować... Tyle na zewnątrz. Wewnątrz natomiast działy się rzeczy bardzo ciężkie i straszne. Tam kat Palitzsch - przystojny chłopak, który w lagrze nikogo nie bił, bo to nie było w jego stylu - wewnątrz zamkniętego dziedzińca był głównym autorem scen makabrycznych. Skazani, w rzędzie, stawali nago przy "ścianie płaczu", on im kolejno przykładał małokalibrowy karabinek pod czaszkę z tyłu głowy i kończył im życie. Czasami do tego celu używał zwyczajnego bolca do zabijania bydła. Sprężynowy bolca wrzynał się w mózg, pod czaszkę i kończył życie. Czasami wprowadzano grupkę cywili, których dręczono w podziemiach zeznaniami, Palitzschowi dając ich do zabawy. Dziewczętom kazał się Palitzsch rozbierać i biegać w koło po zamkniętym dziedzińcu. Stojąc w środku, wybierał długo, po czym mierzył, strzelał, zabijał - kolejno wszystkie. Żadna nie wiedziała, która zginie zaraz, a która jeszcze pożyje chwilę, czy też może znowu wezmą na badania... On zaprawiał się w celnym mierzeniu i strzelaniu.

Sceny te widziane były z 12 bloku przez kilku sztabowych, stojących na straży, by w tym momencie żaden z więźniów nie podchodził do okien. Okna zabezpieczano "koszami", lecz nie dość szczelnie - więc widziano dokładnie. Innym razem widziano z 12 bloku przywiezioną jakąś rodzinę, stojącą na dziedzińcu przed "ścianą płaczu". Palitzsch strzelił najpierw w ojca rodziny i zabił go na oczach żony i dwojga dzieci. Po chwili zabił małą dziewczynkę, trzymającą się kurczowo ręki bladej matki. Później wyrwał matce malutkie dziecko, które nieszczęśliwa kobieta tuliła mocno do piersi. Chwytał za nogi - rozbił główkę o ścianę. Wreszcie zabił matkę wespół z bólu. Jest to scena powtarzana mi przez kilku kolegów - świadków, tak dokładnie i tak jednobrzmiąco, że nie mogę mieć żadnej wątpliwości, że tak właśnie było.

Na Boże Narodzenie 1940 roku więźniowie po raz pierwszy otrzymali paczki od rodzin. O nie! Nie żywnościowe! Żywnościowych nie wolno było wysyłać do nas, żeby nam nie było za dobrze. Niektórzy otrzymali więc pierwszą paczkę w Oświęcimiu - paczkę odzieżową, zawierającą rzeczy z góry określone: sweter, szalik, rękawice, nauszniki, skarpetki. Więcej przysyłać nie można było. Jeśli w paczce była bielizna - szła do worka w "Effektenkammer" pod numer więźnia i tam leżała. Tak było wtedy. Później zdołaliśmy wleźć wszędzie przez zorganizowanych kolegów. Paczka na Boże Narodzenie była jedną jedyną w roku, i choć nie zawierała jedzenia, była jednak potrzebna ze względu na ciepłe rzeczy i miła, bo z domu.

W święta Westrych z kapem stolarni wykombinowali dla stolarzy dodatkowe kotły z doskonałym gulaszem z kuchni esesmańskiej i w stolarni odbyła się libacja, częstowano kolejno zjawiających się tam stolarzy. Kotły takie przychodziły kilka razy, przywożone pod wielkim sekretem przez esesmanów, którzy otrzymywali pozbierane przez Westrycha od nas pieniądze.

Rok 1941 zaczął się dla mnie dalszą pracą stolarską na bloku 5, gdzie stale wymyślałem jakąś robotę. Blokowi nie wtrącał się do mojej pracy. Spotkałem tu kolegę Gierycha, syna moich znajomych, z których mieszkania korzystałem w Orle w latach 1916/17, do celów konspiracyjnych. Na blok 5 codziennie prawie przychodził starszy obozu Leo (nr więźnia - 30). Na wejście na salę, tak esesmana jak również i starszego obozu obowiązywało krzyknięcie "Achtung!" i złożenie raportu. Robiłem to bez zarzutu, dodając na końcu meldunku: "...ein Tischler bei der Arbeit". Leonowi (Leon Wieczorek) to odpowiadało. Nie interesował się wcale, co tu robię tak długo i jak paw wychodził z sali.

Blok 5 był blokiem młodocianych, mieszkali tu chłopcy 15-18-letni, których III Rzesza miała nadzieję jeszcze przekabacić. Mieli tu pewien rodzaj kursów. Leo przychodził tu co dzień, lubił młodzież, lecz lubił chłopców... zanadto... Był zbrojeńcem. Wybierał tu ofiary swego zwyrodnienia. Karmił, odżywiał, zmuszał do uległości dobrobytem albo strasząc SK, a gdy miał chłopca dosyć, jak też żeby nie mieć niewygodnego świadka zakazanego postępowania, wieszal swą ofiarę, przeważnie nocą w ustępie. Około 15 stycznia stałem przy oknie, gdy na salę wszedł Leo. Nie zauważyłem go i nie krzyknąłem: "Achtung!", gdyż uwagę moją pochłonął widok "Zugangu" przez szybę. Jednocześnie zauważyłem pułkownika 11 za oknem. Leo był wyraźnie niezadowolony. Podeszedł do mnie i powiedział: "Za długo już tu siedzisz na bloku. Żebyś mi jutro już tu nie przychodził."

Powiedziałem o tym Westrychowi, a on kazał mi jednak tam pójść. Więc dnia następnego poszedłem znowu na bok 5. Wkrótce za mną przyszedł Leo i wpadł we wściekłość. "Deine Nummer?" - krzyknął i dziwne tylko, że mnie nie uderzył. "Rraus mit dem alles!" - wskazał na narzędzia. Wynosiłem się dość szybko, a on notował mój numer, krzycząc w ślad za mną, że będę ze stolarni jeszcze dziś wyrzucony. W stolarni opowiedziałem o zajściu Westrychowi. Zaraz za mną wpadł Leo. Szczęśliwym trafem kapa nie było. Zastępował go Westrych, który pozwolił Leowi wykrzyczeć się do woli, po czym wyjaśnił, że stolarz ten wczoraj meldował mu o wszystkim, co zaszło, lecz on kazał mu dziś pójść na blok 5, pozabierać stamtąd wszystkie narzędzia. I Leo się uspokoił.

Zostałem jednak nadal stolarzem, pracując na wszelki wypadek w drugim pokoju, zajmowanym przez stolarnię na tymże bloku 9. Po paru dniach Westrych kazał mi zabrać narzędzia i iść za nim na obóz. Zaprowadził mnie na blok 15 (stara numeracja). Był to szpital więziński. Blokowy szpitala, choć na ogół trochę zwariowany Niemiec, chciał jednak mieć na bloku porządek. Westrych mu poradził już poprzedniego dnia, żeby obramować sienniki listwami. Łóżek tu nie było. Chorzy leżeli pokotem na podłodze, w straszliwych warunkach. Sienniki rzucone na podłogę (chorzy leżeli głowami do ściany), nie zawsze wyrównane, pogarszały jeszcze obraz. Zdecydowano więc dać listwy przy końcach sienników ułożonych pod ścianami w dwa rzędy. Listwy te biegnąc wzdłuż sali, tworzyłyby na środku podłogi obramowane równo przejście.

Blokowy mi się przyjrzał i zapytał, czy potrafię tę robotę dobrze wykonać. Za złą robotę czekał mnie kij na stołku, za dobrą - codziennie repeta. Zacząłem więc tu pracę i salę po sali zaopatrywałem w obramowania, a listwy przymocowywałem do podłogi za pomocą winkli. Dano mi do pomocy jakiegoś inżyniera z Warszawy przysłanego przez Westrycha. Jedliśmy repete codziennie obaj. Jedzenia było na bloku pod dostatkiem. Fasowano na wszystkich, a niektórzy chorzy już nic do ust wziąć nie chcieli. Inżynier z Warszawy zaraził się tu grypą. Przyjęty do szpitala na tym samym bloku, w warunkach, jakie były wtedy w HKB, w strasznych wszech, wkrótce zakończył życie. Robotę z listwami kończyłem już sam jeden.

Niebawem przyszła i na mnie kolej. Zaraziłem się jakąś grypą czy przemarzłem na apelu. Zima była dość ostra. Mieliśmy już co prawda wydane jeszcze przed Bożym Narodzeniem płaszcze, lecz z "Ersatzu", bez podszewki - bardzo słabo chroniły od mrozu. Walczyłem z chorobą przez kilka dni. Miałem gorączkę, która dochodziła wieczorami do 39 stopni, tak że zostałbym przyjęty do szpitala nawet bez żadnej protekcji. Jednakże pójść do szpitala nie chciałem. Były tego dwa powody - straszliwe wszy w szpitalu i koniec z pracą w stolarni.

Broniłem się więc, jak mogłem, lecz choroba uczepiła się mnie mocno i nie chciała ustąpić. Najgorsze było stanie na apelach z rozpaloną głową, gdy przesywany byłem wiatrem. Nie wiem, jakby się te zapasy skończyły. Zdecydowała o tym rzecz zupełnie inna. Na bloku, na pierwszej sali mieliśmy nadal możliwe stosunki. Po sztabowym Drożdżu, przyszedł inny - Antek Potocki. Niektórzy z nas pełnili różne funkcje sprzątających. Do mnie należały: okna, drzwi i lampy.

Wszystko by było na bloku możliwe, gdyby nie to, że byliśmy już wszyscy nieco zawszeni. Co wieczór polowano zawzięcie na wszy. Ja zabijałem ich codziennie około setki - myśląc, że przez noc nie nalezie więcej, lecz nazajutrz znowu była nowa setka. Wieczorem trudno było upolować więcej, bo gaszono światło o nakazanej porze. We dnie, w ciągu pracy, też zająć się tym nie można było. W nocy wszy przelaziły z koca do koszuli. Gdyby nawet z koca wybierać, to także by nie pomogło; kocy we dnie układano wszystkie razem - codziennie więc dostawaliśmy inny koc. Przy ciepłym piecu te stworzenia chętnie przewędrowywały do czystego koca.

Wreszcie zarządzono odwszawianie. Nastąpiło to jednak dla mnie bardzo nie w porę. Miałem większą gorączkę. Wieczorem kazano nam się rozebrać. Ubrania nanizane na drut oddaliśmy do parowania. Potem nago szliśmy pod prysznic na blok 18 (stara numeracja) i nago na blok 17 (stara numeracja). Tam znów całą noc siedzieliśmy nago w kilkuset na sali i było straszliwie duszno. Rano rozdano nam ubrania i pognano na wiatr i mróz przez plac do bloku 3a. Płaszcz swój oddałem choremu wtedy również Antkowi Potockiemu. Ta noc mnie wykończyła.

Prawie nieprzytomny poszedłem do szpitala. Po spryskaniu znowu wodą w łaźni, położono mnie na blok 15 (stara numeracja), na salę 7 (tam, gdzie przybijałem listwy do podłogi), w straszliwe wszy. Tych parę nocy w ciągłej walce z wszami było, zdaje mi się, najcięższe w lagrze. Nie mogłem się jednak poddać - wszom dać się zjadać? Lecz jak tu się bronić? Gdy się spojrzano na koc pod światło - cała powierzchnia była ruchliwa. Wszy bywały rozmaite - małe, większe, pękate, podługne, białe i szare lub czerwone od krwi, w prążki i w paski, pełzały wolno i po grzbietach innych. Ogarniał mnie wstręt i silne postanowienie nie dać się tej obrzydliwej masie. Zawiązałem mocno kalesony

koło kostek i w pasie, koszulę zapiąłem pod szyją i przy rękawach. O zabijaniu pojedynczo - mowy być nie mogło. Gniotłem insekty całą garścią, robiąc szybkie ruchy, zbierając rękami z szyi i z nóg przy stopach. Organizm osłabiony gorączką i ruchami bez przerwy, gwałtownie domagał się snu. Głowa opadała, lecz znowu się dźwigałem. Nie mogłem sobie pozwolić na sen w żadnym razie. Zasnąć - to przestać walczyć - to dać się pożerać. Po godzinie miałem już ciemne plamy na dłoniach od duszenia plugastwa - od posoki ich ciał.

Wybicie wszystkich było beznadziejne. Leżeliśmy ciasno, ciała obwinięte kocami, oparte plecami lub bokami o siebie. Nie wszyscy się bronili. Niektórzy byli przecież nieprzytomni, inni już rżęzili, nie mogli już walczyć... Obok mnie leżał nieprzytomny starszy więzień (jakiś góral). Twarzy jego nigdy nie zdołałem zapomnieć, była tuż obok mojej głowy - pokryta nieruchomą skorupą wżartych w skórę wszy różnych kalibrów. Z lewej strony leżał więzień, który skończył (Narkun); naciągnięto na jego głowę koc, czekano, aż przyjdą z noszami. Wszy na jego kocu zaczęły się żywiej ruszać i sunąć w moim kierunku. Aby wytluc wszy we własnym kocu, trzeba by było chyba na równej podłodze uderzać w koc obuchem - kamieniem raz przy razie. Lecz zabezpieczyć się było prawie tak niemożliwe, jak zatrzymać strumyk w biegu - ani ten ruch przerwać, ani zniszczyć.

Przyznam się tutaj, że wtedy po raz pierwszy wydało mi się, że mam zbyt małe siły, by toczyć walkę, by chcieć w ogóle walczyć. Stan mojej psychiki był niebezpieczny. Zważyć w sens walki, znaczy - załamać się. Gdy to spostrzegłem - odżywałem. Dusilem dalej wszy na szyi i nogach.

Na miejsce trupa położono nowego chorego, osiemnastoletniego chłopca. Nazywał się Edek Salwa. On, gdy zasypiałem, wyręczał mnie, zgarniając wszy czasami nożem, a czasem łyżką, szczególnie te dążące z prawej. Sam walczył też i u siebie, na własnym kocu - był więc sąsiadem, który z lewej strony mnie zabezpieczał, dając mi przez to więcej spokoju. Poza tym kupował mi chleb od chorych, którzy jeść już nie mogli. Ja wszystko zjadałem. Dziwną mam naturę - sam nieraz to stwierdzałem. W gorączce inni nie jedzą, ja właśnie jem za kilku. W ogóle, ten, kto to czytając wzrusza ramionami, proszony jest, by mnie poznał bliżej - wtedy się zorientuje, że u mnie całe życie jest na opak.

Na tej sali było paru zacnych ludzi, co tu chorym ostatnie dni życia ułatwiali. Był Janek Hrebenda i Tadeusz Burski, obaj zacni, dobrzy, pracowali przy chorych. Wiele zrobić nie mogli, lecz co było w ich mocy - czynili. Warunków jednak - to jasne - zmienić nie mogli. Latem na przykład okien nie pozwalano otwierać, żeby się chorzy nie zaziębili - dusili się wtedy wszyscy w gorączce i smrodzie. Teraz, gdy mróz był wielki, wszystkie okna otwierano szeroko dwa razy dziennie, wietrzono długo, a mroźne powietrze ciągnące po podłodze od okien, wstrząsało dreszczem od chłodu skulone postacie leżące pod cienkim, marnym kocikiem.

Ja walczyłem z wszami bardziej niż z chorobą, przez trzy dni i dwie noce. Trzeciego dnia, nie mając już sił, zdecydowałem odkryć swoją słabość przed Władkiem. Przez nowego przyjaciela, Tacka Burskiego, przesłałem kartkę do dr. 2. Każda kartka w lagrze była podejrzana. Mogli ją uważać za chęć porozumienia się dwóch więźniów działających na szkodę III Rzeszy. Napisałem: "Jeśli mnie natychmiast stąd nie zabierzesz, to stracę resztę sił na walce z wszami. W obecnym stanie zbliżam się w przyspieszonym tempie do komina krematorium." I podałem swoje m.p.

Po paru godzinach zjawił się dr. 2 w asyście dr. 12. Obaj oficjalnie nazywali się tylko pielęgniarzami (Pfleger). Polak lekarzem tu nie mógł być. Dr. 2 jednak tak opanował tu sytuację, że miał już jakiś wpływ na bieg wypadków w szpitalu. Teraz obchodził salę (nie był to jego dział). Udał, że mnie nie zna. Zwrócił się do dr. 12 ze słowami: "A co temu jest? Zbadajcie go, kolego." Okazało się, że mam zapalenie lewego płuca. Dr. 2 orzekł, że trzeba mnie wziąć na pewne doświadczenie i zastosować jeden z nowych zastrzyków.

Przemaszerowałem na blok 20 (stara numeracja). Położono mnie na łóżku w jednej z sal na piętrze. Byłem jak nowo narodzony. Tutaj wcale nie było wszy. To znaczy, że jak znalazłem ich 40-50

w nowo otrzymanej bieliźnie lub w kocu, to się wcale nie liczyło. Zabiłem je i koniec. Nowe po nóżkach łózek przecież nie wleżą. Tego się jeszcze nie nauczyły. Nic to nawet, że położyli mnie na łóżku przypartym do okna, które było stale otwarte i wiał wiatr, a wpadający prąd zimnego powietrza, zamieniał opary przy oknie w mgiełkę. Bok, w którym miałem zapalenie płuca, starałem się tak ulokować, żeby go jak najmniej wystawiać na chłód. Nazajutrz przeniesiono mnie na środek sali, dano cztery koce, zastosowano zastrzyk. Po dziesięciu dniach byłem już tak zdrow, że musiałem miejsce odstąpić choremu.

Przeniesiono mnie znowu na blok 15, gdzie leżałem przez pierwsze dni choroby, ale wszy już tam nie było. W międzyczasie odwszawianie, przechodząc kolejno bloki, doszło już do 15. Co za dziwna historia. Ta makabryczna, zawszona sala - odgazowana i wybielona zupełnie inaczej się prezentowała! Było to 1 lutego 1941 roku. Tutaj odpoczywałem po chorobie przez cały miesiąc, pomagając Tadekowi i Jankowi Hrebendzie. Zaglądał często na salę zacyjny "Pfleger" - Krzysztof Hofman. Czasami nawet sypiał na naszej sali. Leżał tu Heniek Florczyk - matematyk z Warszawy. Tadek Burski (Raszyńska 56) został zwolniony z obozu na skutek starań jego siostr. Przez niego posłałem wiadomości do Warszawy.

Pomimo zmian warunków więzionych na lepsze, na sali umierało codziennie paru chorych. Nie było czym leczyć, a zresztą nawet kombinowane przez Krzysia pigułki, były tylko pigułkami. Czasami ludzie po prostu nie chcieli już żyć. Nie chcieli walczyć, a kto zrezygnował, ten bardzo szybko umierał. Tutaj, będąc rekonwalescentem, zdobyłem przez znajomych pielęgniarzy możliwość wychodzenia na obóz (przyniesiono mi ubranie od Fredka 4). Wychodziłem czasami z sali, tak, by mnie władze nie zauważyły. Miałem więcej czasu na "wiązanie piątki".

Obóz był jak wielki młyn, co przerabiał ludzi żywych na popiół. Wykańczano nas, więźniów, dwoma drogami. Równoległe i niezależnie od siebie. Jedni pracowali nad wykańczaniem nas w pracy lub potwornymi warunkami obozu. Ginęli obok siebie tacy, co siedzieli tutaj za ciężkie sprawy i tacy, co spraw zarzucanych wcale nie mieli. Żadne zresztą sprawy więźniów na ziemi nie miały na to wpływu. Drudzy natomiast w odróżnieniu od pierwszych przeglądali sprawy w wydziale politycznym. I czasami, chociaż więzień już na dobre zaczepił się życia - wypłynął w pracy, dawał sobie radę, a nawet potrafił zorganizować dopływ jedzenia - pewnego dnia ginął. Numer jego wyczytywano na porannym apelu. Musiał iść do głównej izby pisarskiej (Hauptschreibstube), stamtąd przeważnie kierowano go z esesmanem do wydziału politycznego i bardzo często wykańczał go Palitzsch na bloku 13 - rozstrzeliwując. Był to rezultat grzebania w aktach drugiego kata - Maximiliana Grabnera. Za zastrzelenie ludzi Palitzsch brał honorarium "od główki". Często były to umowy robione pomiędzy tymi dwoma panami. Jeden wybierał sprawy, drugi strzelał w głowy. Pieniądze dzielono - interes szedł.

Śmierć tego czy innego z kolegów, trafiała często w węzeł sieci organizacyjnej - po dłuższej obserwacji zmuszanie tu związanej. Sieć więc stale tu i ówdzie się rwała - trzeba było wciąż wiązać odcinki od nowa. Koledzy, tworzący już pewien łańcuch, czuli się mocniejsi moralnie; mając za sobą szereg przyjaznych serc, gotowych się wesprzeć wzajemnie, zaczęli powoli z większą łatwością wypychać się do różnych komand.

Na temat tego, co każdy kiedyś - przed Oświęcimiem - nazwałby organizacją, nie wolno było absolutnie mówić i słowa tego zabroniłem używać. Podchwyciliśmy z radością nowe znaczenie tego słowa i "puszczaliśmy" szeroko po lagrze, żeby się przyjęło powszechnie. Było poniekąd naszym piorunochronem. Słowo "organizacja" w sensie skombinowania czegoś "na lewo". Gdy ktoś wyciągnął w nocy z magazynów margarynę w kostkach, lub bochenek chleba - nazywano to wtedy "organizacją margaryny lub chleba". Tamten zorganizował sobie buty, inny zorganizował tytoń. Słowo "organizacja" wykwiłało wszędzie głośno, powszechnie było znane. Nawet gdy wpadło w ucho komuś niepożądanemu, użyte niebacznie w znaczeniu konspiracji, nikt już tego słowa inaczej, jak wykradnięcie czegoś, skombinowanie, nie pojmował.

W samej naszej pracy przeciętne "ogniwo" nie powinno było wiedzieć wiele. Kolega znał "szkielet", parę własnych "kontaktów" i wiedział kto go prowadzi.

Jako organizacja powoli zaczęliśmy opanowywać poszczególne komanda i powiększać nasze możliwości. Zdecydowałem się wykorzystać możliwości niemieckich kapów, tych, co niechętnie bili (było takich kilku) - do nich trafiałem przez poszczególnych naszych członków.

W początkowej fazie istnienia obozu koncentracyjnego "Oświęcim", gdzie mordowanie rozpoczęło się z chwilą przywiezienia tu pierwszego transportu Polaków 14 czerwca 1940 roku, aparat pracujący nad wykańczaniem więźniów składał się z 30 Niemców lub takich, co za Niemców chcieli uchodzić, przywiezionych tu z Oranienburga w maju 1940 roku. Jakkolwiek sami byli więźniami, wybrano ich na naszych katów. Nosili oni pierwsze numery więźniów Oświęcimia. Pierwszy i ostatni z nich, czyli nr więźnia 1 - "Bruno" i nr więźnia 30 - "Leo" - dostali "bindy" starszych obozu, kilku innych miało "bindy" blokowych, reszta - kapów.

Wśród tej czeredy bandytów, pracujących z potworną brutalnością lub perfidią nad mordowaniem więźniów, było kilku takich, którzy bili niechętnie, raczej z konieczności, by nie podpaść reszcie tej zgrai i esesmanom. Więźniowie nasi bardzo szybko się w tym zorientowali. My, jako organizacja postanowiliśmy to wykorzystać. Wkrótce też Otto (nr więźnia 2) jako Arbeitsdienst, Balke (nr więźnia 3) jako "oberkapo" stolarni, "Mateczka" (nr więźnia 4), przezwany tak za jego stosunek do nas w kuchni, Bock - "Tata" (nr więźnia 5) w HKB, Konrad (nr więźnia 18), "Jonny" (nr więźnia 19) - zaczęli oddawać nam przysługi, absolutnie nic nie wiedząc i nie podejrzewając istnienia jakiegokolwiek sieci organizacyjnej. Zjawiali się u nich poszczególni nasi koledzy w sprawach niby wyłącznie własnych lub przyjaciół, a oni - jeśli mogli - szli nam na rękę. Otto - przez dawanie kartek przydziałowych do pracy w obranym komandzie, Balke - przez lokowanie w stolarni, pod dachem, możliwie większej ilości naszych kolegów, "Mateczka" - przez dawanie "repet" (zupy z kuchni) zbytnio wycieńczonym, Bock - ułatwiając pracę w szpitalu, "Jonny" - który jako kapo komanda Landwirtschaftu początkowo nie przeszkadzał, a potem nawet ułatwiał nam porozumiewanie się ze światem przez kontakt z organizacją na zewnątrz przy współudziale panny Zofii S. (Stare Stawy), z konieczności musiał trochę więcej się domyślać. Nie zdradził nas, a od chwili, gdy za dowiedzione mu przez władze lagru "przeoczenie" w podkarmianiu więźniów przez ludność cywilną (podrzucanie chleba) - coś więcej nie przyszło władzom do głowy - wziął porcję kijów na stołku, stał się całkowitym naszym przyjacielem.

Tak układałem i wiązałem, mając jak na warunki w tamtym okresie, wyjątkowo wiele czasu, będąc rekonwalescentem w ciągu lutego 1941 roku w szpitalu, 15 blok (stara numeracja). Tak było do 7 marca.

Nagle zbiegło się parę wypadków jednocześnie. 6 marca rano wezwano mnie do Erkennungsdienst, blok 18 (stara numeracja), gdzie wszyscy już poprzednio byli fotografowani. Pokazano mi moją fotografię i zapytano, czy znam fotografowanych przede mną i po mnie (numery więźniów sąsiadujące z moim). Odpowiedziałem, że nie znam. Esesman zrobił drwiącą minę i powiedział, że to bardzo podejrzane, żebym nie poznał tych, z którymi przyjechałem. Potem przyjrzał się mojej fotografii i stwierdził, że jestem bardzo mało podobny i że to też jest bardzo podejrzane. Rzeczywiście, starałem się w czasie fotografowania mieć nienaturalny wygląd, minę i wypchnięte policzki. Odpowiedziałem, że byłem chory na nerki, wskutek czego powstała opuchlizna.

Tegoż 6 marca Sławek zawiadomił mnie, że nazajutrz będzie zwolniony z obozu i że jedzie do Warszawy. Był zawsze optymistą - zapowiedział, że poczeka na mnie w Warszawie. Został zwolniony bez kwarantanny - wtedy tak było. Zwolniły go starania żony przez konsulat szwedzki.

Jednocześnie wieczorem przez dr. 2 dowiedziałem się, że będę wezwany nazajutrz rano do głównej izby pisarskiej, a powszechnie było wiadomo, jak to się przeważnie kończyło. Nie znałem powodów i głowiłem się nad tym, o co im chodzi. Sprawy żadnej nie miałem. Przychodziło mi do

głowy jedynie, że Westrych mógł tendencyjnie lub przez nieostrożność "wkopać" mnie, że siedzę tu pod fałszywym nazwiskiem. Westrych akurat był dwa tygodnie temu zwolniony z obozu. Może przed wyjazdem "wyspowiadał się" z tajemnicy. W takim wypadku los mój byłby przesądzony.

Dr 2 bardzo się przejął moją sprawą i uczył mnie, jak mam udawać chorobę częstą u nas w tym czasie na HKB - zapalenie opon mózgowych "meningitis", która by mnie uchroniła od dawania odpowiedzi. Przez jednego z esesmanów, który kiedyś był podoficerem w armii polskiej, starał się czegoś dowiedzieć, o co chodzi i prosił go, żeby jego kolegi (mnie), który jest chory, specjalnie nie bito. Dr 2 już wtedy powoli zdobywał sobie pozycję w szpitalu, był już ceniony jako dobry lekarz i miał jakieś znajomości wśród esesmanów, którym czasami udzielał porad.

Rano, 7 marca, na apelu wyczytano mój numer z poleceniem pójścia do głównej izby pisarskiej. Było nas kilku. Ustawili nas osobno. Cały blok spoglądał na nas, jak na takich, co już nie wrócą. Niewiele się myłono. Z chwilą uderzenia gongu, kiedy wszyscy biegli do oddziałów pracy, nas kilku maszerowało na blok 9 (stara numeracja). Na korytarzu przed główną izbą pisarską wywoływano wszystkich i sprawdzano numery sprowadzonych, a z różnych bloków było nas dwudziestu kilku.

Mnie jednego odstawiono na bok. Co za historia? - pomyślałem sobie. Dlaczego nie razem? Wskazano palcem na mnie i powiedziano coś esesmanowi, czego nie słyszałem. "Ładny ptaszek" widocznie jestem w ich pojęciu. Stało się jednak nieco inaczej, niż można było przypuszczać. Wszyscy inni pomaszerowali do wydziału politycznego, mnie poprowadzono do "Erkennungsdienst". To lepiej - pomyślałem.

Idąc, zaczynałem już rozumieć, dlaczego mnie wzywają i uspokajałem się z każdym krokiem. Wszyscy więźniowie musieli pisać listy do rodzin i to tylko pod adres, który podali od razu po przyjeździe. (Krótco po przywiezieniu nas do Oświęcimia zrobiono w nocy przesłuchanie. Każdego budzono, kazano mówić - blok 17a - przy tym z dziwnym uśmiechem pytano wtedy o adres, gdzie by trzeba było pisać w razie jakiegoś wypadku, który mógł więźnia spotkać - jakby tu się tylko przypadkiem umierało). Kazano pisać listy co dwa tygodnie, żeby mieć na wszelki wypadek drogę do rodziny więźnia. Ja podałem adres mojej szwagierki w Warszawie, przez którą miała mieć wiadomości moja rodzina, o czym władze lagru nie mogły wiedzieć. Adres szwagierki podany był jako adres jednej z moich znajomych; uchodziłem tu za kawalera, który nie ma nikogo z rodziny prócz matki. Pod podany adres napisałem tylko jeden raz, w listopadzie, donosząc, gdzie jestem. I więcej listów nie pisałem ze względu na to, żeby w przyszłości moja "znajoma" nie ponosiła odpowiedzialności za ewentualne moje wyczyny tutaj. Chciałem w ten sposób zerwać wszelką widoczną dla władz niemieckich nić wiążącą mnie z ludźmi na wolności.

Za bramą wszedłem eskortowany przez esesmana do drewnianego budynku, gdzie w jednym jego końcu (od bramy) mieściła się "Blockführerstuba", a w drugim - właściwe "Postzensurstelle". Tutaj za stolikami siedziało kilkunastu esesmanów. W momencie wprowadzenia mnie wszyscy podnieśli głowy i po chwili kontynuowali pracę cenzurowania listów. Esesman, idący za mną, zameldował przybycie. Na to inny odezwał się do mnie: "A! Mein lieber Mann... dlaczego nie piszesz listów?!"

Odpowiedziałem: - Ja piszę.

- A... Jeszcze kłamiesz! Jak to piszesz? Wszystkie listy wychodzące mamy zanotowane!

- Ja piszę, ale mi zwracają. Mam na to dowody.

- Zwracają? Ha! Ha! Dowody... Patrzcie, on ma dowody!

Okrzyknęło mnie kilku esesmanów, którzy wyśmiewali się ze mnie.

- Jakie masz dowody?!

- Mam listy, które pisałem regularnie i które, nie wiem dlaczego, zwrócono mi - mówiłem tak, jakbym ubolewał nad niesłusznym zwrot listów.

- Gdzie masz te listy?!

- Na bloku 15.

- Hans! Odprowadzisz go na blok, niech weźmie te listy, ale jeśli ich nie znajdzie... - tu zwrócił się do mnie: - Ich sehe schwarz für dich!

Listy te rzeczywiście miałem na bloku. W przewidywaniu jakichś tego rodzaju kontroli pisałem co dwa tygodnie "przepisowe" listy, zaczynające się stereotypowymi zdaniami: "Ich bin gesund und es geht mir gut...", bez których - jak ogłaszali blokowi - list by nie przeszedł przez cenzurę (nawet kiedy więzień konał, jeśli chciał jeszcze raz napisać do rodziny, musiał te słowa umieścić). Rodzina jednak mogła chyba z charakteru pisma zorientować się, jak mu się powodzi i jak jest z jego zdrowiem. Zasadniczo wszystkim zależało na pisaniu listów do drogich osób. Często ze względu na siebie i przesyłane pieniądze - ogólnie listy pisano. Zauważyłem jednak, że zwrócone więźniom listy, które z jakiegoś powodu przez cenzurę nie przeszły - nie podobały się esesmanom - na kopercie miały charakterystyczny zielony "ptaszek", lub czasami słowo: "zurück". Od kolegów zdobyłem takie dwie koperty i takim samym ołówkiem, dostarczonym mi przez rtm. 3, stawiałem znaki na moich kopertach, nie oddając ich, gdy w "niedziele listów e" zbierano listy na bloku. Listy te starannie przechowywałem.

Idąc na blok z esesmanem po te listy (7.III), spotkałem w bramie Sławka, odprowadzanego przez esesmana na wolność. Z sali nr 7, bloku 15 (stara numeracja) zabrałem listy. Koledzy na sali, widząc esesmana czekającego na mnie i jakieś papiery, byli pewni, że jest to sprawa wydziału politycznego i że już mnie nie zobaczą.

W "Postzensurstelle" przyjęto mnie już z zainteresowaniem. 6-7 moich listów podanych kierownikowi przez eskortującego mnie esesmana, zainteresowało kilku pozostałych esesmanów.

- Więc są listy.

Znaki zielonym ołówkiem musiałem zrobić widocznie nieźle. Zresztą nie przypuszczali, żeby więzień systematycznie pisał listy i nie wysyłał. Zaczęli studiować treść. Nic w nich nie było - były dość lakoniczne.

- Aha! Więc nie piszesz pod adres, który podałeś?!

Odparłem, że sądzę, iż listy są mi zwracane przez jakąś omyłkę, gdyż ja piszę pod tym adresem, który podałem. Sprawdzono. Musiało się zgadzać.

- No, a kto to jest, ta pani E.O., do której piszesz?

- Znajoma.

- Znajoma? - wycedzono z szyderczym uśmiechem - A dlaczego nie piszesz do matki? Tu podajesz, że masz matkę!

Tak podałem rzeczywiście, chociaż Matka moja nie żyła już od dwóch lat. Chciałem być możliwie jak najmniej podejrzany, ptakiem bez więzi z ziemią, sugerowałem, że mam kogoś drogiego mi na ziemi, lecz nie chciałem podać adresu żyjących osób. Zmuszony byłem zerwać wszelki kontakt z

ludźmi na wolności.

- O, tak - odpowiedziałem - mam Matkę, lecz Matka moja jest za granicą. Wilno przecież leży za granicą, więc nie wiem, czy mogę pisać tam listy.

Esesmani rozeszli się do swoich prac. Sprawa zaczęła powoli przygasać w swym zaognieniu.

- No, tak - zawyrokował salomonowo kierownik - listy ci zwracają dlatego, że nie piszesz do matki, chociaż ją masz, a piszesz do jakiejś znajomej. Musisz napisać podanie do Lagerkomendanta, żeby ci zezwolił na zmianę adresu i podać, że chcesz pisywać do pani E.O. Podanie przesłać należy drogą służbową przez blokowego.

Tak skończyła się moja sprawa w "Postzensurstelle".

Nazajutrz spieszyłem z podaniem na blok 3a, gdzie blokowy Koprowiak długo nie mógł zrozumieć, jak to jest, że dotychczas pisałem na adres pani E.O., a teraz uprzejmie proszę komendanta o zmianę adresu na adres tej samej pani E.O.

Zanim jednak nazajutrz znalazłem się na bloku 3a, tegoż jeszcze dnia (7.III) czekała mnie niespodzianka na bloku 15. Z grupki wyczytanych rano numerów na blok 15 wróciłem tylko ja jeden. Reszcie kolegów tę drogę życia wiodącą przez wydział polityczny i kończącą się na dziedzińcu bloku 13, przeciął kat Palitzsch.

Wróciłem z "Postzensurstelle" na blok 15 akurat w momencie, gdy na sali była komisja, robiąca przegląd chorych. Wszystkich co nie mieli gorączki wyrzucano na obóz, do pracy, na bloki, z których przyszli do szpitala. A tu raptem zjawia się "chory" i wchodzi w ubraniu "ze spaceru" po obozie. Dostałem kilka uderzeń w brzuch oraz w głowę i zostałem natychmiast wyrzucony ze szpitala.

Dlatego już nazajutrz pisałem podanie na bloku 3a. Lecz nie o podanie chodziło, a o to, by się znaleźć w jakimś komandzie pod dachem. Westrycha już nie było. Mała stolarnia na 9 bloku (stara numeracja) została zlikwidowana. Wielka stolarnia była na "Industriehof I", którą prowadził i rozbudowywał oberkapo Balke. Należało natychmiast wkręcić się pod dach. Rekonwalescencja moja się skończyła, lecz od razu po szpitalu praca na mrozie w polu byłaby dla mnie zbyt ciężka. Był to już okres, kiedy numery więźniów pracujących w każdym komandzie skrupulatnie notowano i teraz wpaść do jakiegoś nieodpowiedniego komanda, to znaczyło mieć kłopot z późniejszym "urwaniem się" jeśli się zechce zmienić oddział pracy na lepszy.

Tu przyszli mi z pomocą koledzy. W wielkiej stolarni na "Industriehofie I" pracowało już paru członków naszej organizacji, a jeden z nich, Antek (14) był tu nawet majstrem dozorującym pracę. Pracował tu również i Czesiek (9). Antek (14) zaprowadził mnie do kancelarii Balkego i przedstawił jako dobrego stolarza. Na pytanie, co umiem, odpowiedziałem zgodnie z pouczeniem Antka, że umiem pracować na maszynach. A właśnie sprowadzano i ustawiano maszyny w stolarni. Balke się zgodził.

Na razie zadekowano mnie przy warsztatach, które były pod kierownictwem Władka Kupca. Robota nie była uciążliwa. Władek Kupiec był to wyjątkowo porządny chłop i dobry kolega. Siedziało ich tu sześciu braci. Spotkałem tu też paru przyjaciół, jeden nazywał się Witold (15), drugi Pilecki (16).

Po kilku dniach pracy w stolarni zorganizowałem tu drugą "piątkę", do której weszli: Władek (17), Bolek (18), Witold (15), Tadek (19), Antek (14), Janek (20), Tadek (21), Antek (22).

Po paru tygodniach pracy posłyszałem, jak mówiono tu wśród kolegów, że płk. 23 i ppłk.24

projektują pewien zamach w obozie, przy tym pplk.24 ze zdrowymi więźniami pójdzie na Katowice, natomiast plk. 23 z chorymi pozostanie na razie na miejscu. Ze względu na naiwność planowania i dekonspirowanie podobnych projektów, wobec szerszego ogółu więźniów unikałem rozmów na tematy organizacyjne z tymi oficerami i w ogóle w pierwszym okresie unikałem wprowadzania do organizacji oficerów starszych stopniami, którzy tu siedzieli pod własnymi nazwiskami (prócz plk. 1, do którego miałem całkowite zaufanie), a to z tego powodu, że oficerowie, o których władze obozu oficjalnie wiedziały, w momencie wzbudzenia podejrzeń mogą być zamknięci w bunkrze i dręczeni, mogą być wystawieni na ciężką próbę milczenia.

Tak było w pierwszej fazie pracy organizacyjnej. Potem było inaczej. W kwietniu i maju 1941 roku przyszły wielkie transporty Polaków - więźniów z Pawiaka. Przyjechało wielu moich znajomych. Tworzę więc trzecią "piątkę", do której wciągam mego byłego zastępcę w pracy w Warszawie "Czesława III" (25), Staśka (26), Jurka (27), Szczepana (28), Włodka (29), Genka (30). Organizacja rozwija się już w szybkim tempie.

Aparat lagru jednak z wykańczaniem spieszy się również. Na "zęcie" lagru znalazły się transporty z Warszawy, które brały takie ciężki, jak my niegdyś, ginąc masowo, dziesiątkowani codziennie chłodem i biciem.

Nowością obozu od wiosny 1941 roku była orkiestra. Komendant obozu lubił muzykę - skutkiem tego powstała orkiestra z dobrych muzyków, których w obozie, tak jak żadnych fachowców, nie brakowało. Praca w orkiestrze była dobrą "posadą", toteż każdy, kto miał w domu instrument, sprowadzał szybko i wpisywał się do orkiestry, która pod batutą "Franza" (dobrego drania), który przedtem był w kuchni kapem, wygrywała najrozmaitsze utwory.

Orkiestra naprawdę była na poziomie. I była dumą komendanta obozu. Jeśli specja od jakiegoś instrumentu brakowało, to go bardzo łatwo znajdowano w "cywilu" i przywożono do lagru. Orkiestrą tą zachwycił się nie tylko komendant, lecz i wszelkie komisje, które czasami zaglądały do obozu.

Orkiestra grała nam dziennie cztery razy. Rano, gdy wychodziliśmy do pracy, gdy wracaliśmy na obiad, gdy szliśmy do pracy po obiedzie i przy powrocie na wieczorny apel. Miejsce dla wyczynów orkiestry było przed blokiem 9 (stara numeracja), w pobliżu bramy, kędy maszerowały wszystkie komanda. Całą makabrę odczuwało się szczególnie w czasie marszu powracających z pracy oddziałów. Sunące kolumny wlokły po ziemi zabitych przy pracy kolegów. Niektóre trupy zatrzażały. Przy dźwiękach skocznych marszów granych w szybkim tempie, które raczej polkę lub oberka przypominały, wracały pobite, ślaniające się postacie wyczerpanych pracą więźniów. Szeregi czyniły wysiłek, by iść w nogę, wlokąc po ziemi często półnagie trupy kolegów, gdyż grudy ziemi, błoto, kamienie zsunęły z nich części garderoby. Kolumny bezgranicznej fizycznej nędzy ludzkiej opasane pierścieniem naganiaczy, ćwiczone kijami, zmuszane były iść w takt wesołej muzyki. Kto nie szedł w nogę, dostawał drągiem po głowie i po chwili także jego wlekli koledzy.

Wszystko to eskortowane było przez dwa łańcuchy zbrojnych - w mundur niemieckiego żołnierza ubranych - "bohaterów". Przed bramą, dla zapewnienia bezpieczeństwa, prócz zbrojnych oddziałów stała grupa "nadmudzi" - same szarże lagru - podoficerowie (na których można by było ewentualnie w przyszłości zwalić winę - cóż chcieć od prostaków?). Wszyscy pyszni, z radośnie rozpromienionymi twarzami spoglądali dumnie na konającą, znieawidzoną rasę "untermenschów".

Tak wracały komanda tych, co pracowali w polu. Starych numerów było w nich mało. Albo już "poszli" przez "komin", albo zdołali się dostać pod dach. Przeważnie byli to "zugangi". Inaczej wracały setki tych, co pracowali w warsztatach - silni, zdrowi, szli sprężystym krokiem w wyrównanych piątkach. Ginał wtedy uśmiezek zadowolenia z twarzy zgrai pod bramą. Przeważnie temu niechętni odwracali się. Na razie jednak warsztatowcy byli im potrzebni. Niejeden esesman obstalowywał w tym lub innym warsztacie potrzebny mu przedmiot, który robiło się "na lewo", bez

wiedzy władz. Nawet ci najwyżej tu stojący obstalowywali robotę dla siebie, kryjąc się jeden przed drugim. W tym przedmiocie każdy z nich lękał się meldunku do władz wyższych. Co innego mordować ludzi - tego, im więcej miał na sumieniu, tym lepszą miał markę.

To właśnie były rzeczy, które określam, że się "nie działy na ziemi". Bo i jakże? Kultura... XX wiek... Któż to słyszał zabijać człowieka? W każdym razie na ziemi nie można tego przecież robić bezkarnie. Chociaż jest wiek XX i kultura na bardzo wysokim poziomie - wojnę "ludzie od wielkiej kultury" jakoś przemycają, tłumaczą nawet potrzebą. A w opinii niektórych kulturalnych ludzi wojna staje się "nieodzowna i konieczna". Zgoda, lecz dotychczas (uznając maskę przykrywającą potrzebę mordu jednych i interes drugich) głośno się mówiło tylko o wzajemnym mordowaniu jakiegoś odłamu społeczeństwa - uzbrojonego wojska. Tak było chyba kiedyś. To tylko piękna przeszłość.

Co może powiedzieć ludzkość dziś, ta ludzkość, która chce dowieść postępu kultury, a XX wiek postawić znacznie wyżej od wieków przeszłych. Czy w ogóle my, ludzie XX wieku, możemy spojrzeć w twarze tych, co żyli kiedyś i - śmieszna rzecz - dowodzić naszej wyższości, kiedy za naszych czasów zbrojna masa niszczy nie wrogie sobie wojsko, lecz całe narody, bezbronne społeczeństwa, stosując najnowsze zdobycze techniki. Postęp cywilizacji - tak! lecz postęp kultury? - śmieszne.

Zabrnęliśmy, kochani moi, straszliwie. Przerażająca rzecz, nie ma na to słów! Chciałem powiedzieć: zezwierzęcie... lecz nie! Jesteśmy od zwierząt o całe piekło gorsi!

Mam pełne prawo tak właśnie napisać, szczególnie po tym, co tu widziałem i co się zaczęło dziać w rok później w Oświęcimiu.

Jak wielka jest różnica pomiędzy "być" a "nie być", taka też jest w warunkach życia tych co pracowali pod dachem (w stajniach, magazynach lub warsztatach) od tych, którzy pod gołym niebem kończyli się w najrozmaitszy sposób. Ci pierwsi uznani tu byli za potrzebnych, ci drudzy opłacali życiem nakaz wykańczania w tym młynie możliwie jak największej ilości ludzi. Za wyróżnienie to trzeba było czymś płacić, czymś je usprawiedliwić. Płacono tutaj posiadanym fachem lub też sprytem, który każdy fach musiał zastąpić.

Obóz był samowystarczalny. Siano tu zboże, utrzymywano inwentarz żywy: konie, krowy i świnie. Była rzeźnia przetwarzająca mięso zwierząt na artykuły zdatne do spożycia. Niedaleko rzeźni stało krematorium, gdzie masy mięsa ludzkiego przetwarzano na popiół do użyźniania nim pól - jedyny pożytek, jaki można było mieć z tego mięsa.

Najlepsza posada pod dachem była w chlewie świń, których żarcie było o wiele obfitsze i lepsze niż w kotłach z kuchni dla więźniów. Świniom przywożono resztki obiadów nie dojezonych przez "nadludzi". Więźniowie, którym szczęśliwy los pozwolił być świniopasami, zjadali część doskonałej stawy, odbierając ją swoim wychowankom - świniom.

W stajniach, gdzie stały konie, więźniowie mieli inne możliwości. Kilka razy ze stolarni byłem zaproszony przez przyjaciela 31 do pobliskiej stajni, gdzie przychodziłem z narzędziami niby coś naprawiać, pozorując tę potrzebę wobec spotykanych esesmanów. Przyjaciel mój przyjmował mnie tu prawdziwą ucztą. Dawał mi menażkę pełną czarnego cukru, który po wymyciu w wodzie - spłukaniu soli - stawał się prawie biały. Dodawał do tego otręby pszenne. Po wymieszaniu jadłem to jak najsmaczniejszy tort. I wtedy nie wyobrażałem sobie, abym kiedykolwiek przedtem lub potem, nawet jeśli mi się uda wrócić do życia na wolności, jadł coś równie smacznego. Przyjaciel mój miał też mleko, które odlewał z porcji dostarczanych tu dla ogiera.

Trzeba było jednak dobrze uważać, by nie "podpaść". Samo przychodzenie tu bez określonego powodu, bez polecenia jakiejś reperacji przez kapa, było już zabronione.

Przyjaciel 31 stworzył tu zawiązek komórki naszej organizacji wśród obsługi stajni. 15 maja został jednak zwolniony na skutek starań matki i wyjechał do Warszawy, wioząc tam mój raport o pracy tutaj.

Znacznie później, ulokowany przeze mnie w stajniach przyjaciel 32, podtrzymywał wyczerpany swój organizm, dojąc żrebne klacze i pijąc kumys.

Była też garbarnia, gdzie koledzy, korzystając z warunków, obcinali skóry świńskie, oddane tu do wygarbowania - zmniejszając je z zachowaniem formy zasadniczej - i gotowali z obrzynków "doskonałą" zupę. Dostarczone kiedyś z garbarni przez przyjaciół mięso pieska zjadłem, nie wiedząc, jakie stworzenie zjadam (po raz pierwszy latem 1941 roku). Potem to samo robiłem już świadomie. Instynkt i konieczność zachowania sił czynił smacznym wszystko, co było możliwe do zjedzenia. Otręby, dostarczane mi po kryjomu przez przyjaciela 21, który pracował przy cielętach - w stanie surowym, tak źle oczyszczone, że kiedyś moje cielęta jeść by tego nie chciały - dosypywałem do zupy przywożonej nam do stolarni, zastanawiając się, czy wsypać dwie łyżki do menażki, czy tylko jedną (byliśmy "kommandiert", nie chodziliśmy na obiad i na apel południowy do obozu, liczono nas w stolarni). Gdy memu przyjacielowi 21 udało się czasami przynieść więcej otrąb, wtedy wsypywałem garść wprost do ust i tak, na sucho, powoli, małymi częściami, po rozdrobnieniu ich na zdatne do przełknięcia - łykałem razem z plewami. Okazuje się więc, że wszystko jest możliwe i wszystko może być smaczne. Nic mi nie szkodziło; może dlatego, że żołądek zawsze miałem niezwykle wytrzymały.

Fachowcem w pracy stolarskiej nie byłem, miałem więc nadrabiać sprytem. Z początku dekowany przez kolegów (na dłuższy czas to było niemożliwe), następnie musiałem się zmierzyć z zadaniami stolarskimi. Tu nauczyłem się dopiero ostrzyć narzędzia. Ma się rozumieć, w pojęciu ogółu stolarzy, musiałem to umieć już dawno. Prócz oberkapa Balkego było paru kapów i kilku majstrów, wobec których należało umiejętnie udawać stolarza. Pod kierunkiem Władka i paru innych przyjaciół nauczyłem się piłować, heblować, "spuszczać" kanty desek "rabanem" do sklejanja, sklejąc deski w blaty.

Najważniejszą pracą jednak wykonywały oczy. W Oświęcimiu na różnych stanowiskach i w różnych fachach zawsze najczęściej pracowały oczy i uszy. Trzeba było sięgać wzrokiem wszędzie, tak by odpoczynek mięśni wypadł w momencie, gdy nie widzi tego jakiś kapo-"naganiacz". Lecz wtedy, gdy wzrok dozorczy, przebiegając warsztaty lub postacie, spocznie na tobie lub znajdziesz się w polu jego widzenia nawet w kąciku jego oka - wtedy, bracie, musisz pracować lub umiejętnie udawać pracę. Nie możesz stać lub wypoczywać, choćbyś podczas nieobecności tego pana wcześniej pracował wiele. Jeśli naprawdę tak robiłeś, byłeś nierozważny. Uważaj! Arbeit macht frei! - czytasz to co dzień parę razy na bramie. Możesz stąd ulecieć kominem, gdy wyczerpiesz siły. Możesz dostać kijem, gdy będziesz wypoczywał w czasie, gdy patrzy na ciebie któryś z dozorujących.

Co innego, ma się rozumieć, fachowiec pierwszorzędny, który tu ma już dobrą markę. Ten nie potrzebował udawać. Inni, choćby byli naprawdę stolarzami, musieli się strzec. Miejsc w warsztacie było kilka setek - w obozie ginęły tysiące. Do warsztatu pchali się nowi, prawdziwi fachowcy. Niezdary usuwano - ginęli w polu. W ten sposób z konieczności, powoli stawałem się stolarzem. Robiłem już możliwie "cynki", polerowałem.

Przyjaciół moich, co przyjechali z Warszawy (kwiecień - maj 1941 r.), których wciągałem do roboty organizacyjnej, udało mi się ulokować pod dachem. Kolegów 25 i 26 ulokowałem w komandzie "Fahrbereitschaft" przez naszego członka 33, który rządził się w tym komandzie jak u siebie. Kolegę 27 przez dr. 2 - w szpitalu jako pielęgniarza. Kolegę 34 - w szpitalu jako sekretarza, przez ppor. 4, itd. Na bloki 11 i 12 (wiosna 1941 r., stara numeracja) "zugangów", gdzie przywożono nowych kolegów, chodziłem często szukać znajomych, wybierać kolegów do pracy, lokować pod

dach, ratować. Tu pewnego dnia spotkałem niespodzianie rodzinę Czetwertyńskich: Ludwika, właściciela Żołudka i dwóch jego synów, oraz brata jego z Suchowoli. Jednocześnie spotkałem mego przyjaciela z partyzantki 1939 r. - pdch. 35. W parę dni później spotkałem również dwóch kolegów z pracy w Warszawie - 36 i 37.

Wszystkim im przyglądałem się bacznie, bo nigdy nie było wiadomo, jak taki przyjaciel się zachowa po przejściu w Warszawie Alei Szucha i Pawiaka. Niektórzy byli wycieńczeni, niektórzy - załamani. Nie wszyscy tu nadawali się do pracy organizacyjnej, do nowej konspiracji. Mjr. 38, który pracował u nas w Warszawie pod pseudonimem "Sęp II", przy pierwszym spotkaniu na placu w Oświęcimiu (lato 1941 r.) rzucił się ku mnie z radością, głośno wołając: "Pan tutaj? A mnie w Warszawie gestapo d... w kratki posiekło, pytając: gdzie jest Witold? Dawno pan siedzi? Jaki numer pan ma... Jak pan to zrobił? Ja pana przecież przed dwoma miesiącami widziałem w Warszawie i tak twierdziłem na Alei Szucha. Nie ścisząc głosu gadał przy kilkunastu moich kolegach i rozkonspirował mnie, bo przecież tu byłem Tomaszem. Dobrze, że drani między nami nie było. A tego, "jak ja to zrobiłem, że byłem dwa miesiące temu w Warszawie", nie tłumaczyłem niczym innym, jak tylko tym, że on po biciu na Alei Szucha dostał już lekkiego obłędu. Okazało się znacznie później, że należało to tłumaczyć czym innym.

Z kilkunastu starych znajomych z pracy, którzy w tych miesiącach przyjechali, najbardziej mi się tu przydali 25 i 29, do których prawie takie miałem zaufanie, jakie do siebie samego.

W blokach "zugangów", stojąc w kącie sali i obserwując tych ludzi, którzy świeżo z ziemi przybyli i mieli - zdawałoby się - na sobie jeszcze kurz Warszawy, człowiek czuł się jakoś dziwnie. Tak jakby mieścił w sobie naraz kilku ludzi. Jeden chciałby czuć żal do losu i tęsknotę za ziemią, gdyby się nie wstydził tej reszty w sobie. Drugi jednak był silniejszy i ten czuł w sobie radość zwycięstwa nad zachciankami i drobiazgami zbędnymi tutaj, do których ludzie są przywiązani na ziemi. Trzeci z pewnego rodzaju politowaniem, nie w najgorszym tego słowa znaczeniu, lecz z jakimś rozsądkiem wewnętrznym, braterskim, pobłażliwie patrzył na tych przybyszów, co to jeszcze zwracali się do siebie nawzajem: panie mecenasie, panie inżynierze, panie pułkowniku, panie poruczniku.

Mój Boże, jak prędko to z was musi opaść... Im prędeziej, tym lepiej. Tu wykańczają przede wszystkim inteligencję dlatego, że taki jest nakaz dla władzy lagru, i dlatego, że inteligent nie nadawał się na rzemieślnika w warsztacie - jeśli nie trafił do rezerwatu inteligencji obozu: biura budowlanego, izby pisarskiej, szpitala, effektenkammeru i bekleidungskammeru, to ginął tu jako materiał nie przynoszący korzyści. Lecz i dlatego, że czasami, niestety, inteligent posiadający mądrość naukową, był życiowo zupełną niezdara. Poza tym miał organizm wydelikacowany, nie przystosowany do pracy fizycznej i byle jakiego odżywiania. Przykro mi, ale chcąc oddać prawdę o obozie, nie mogę pominąć tego momentu. I niesłusznie czytelnik zarzucałby mi chęć "obmalowania" inteligencji. Wydaje mi się, że sam mam prawo do jakiegoś tam miejsca wśród takowej, lecz nie znaczy to, żebym gorzkiej prawdy nie mógł napisać.

W wielkim procencie inteligenci przywiezieni do obozu byli fajtlapami życiowymi. Nie orientowali się, że inteligencję swoją naukową i dyplomowaną należało ukryć na razie jak najgłębiej pod inteligencją umysłu sprężystego, szukającego sposobu zaczepienia się na tej skalistej, trudnej do wegetowania glebie "koncentraku". Nie należało się tytułować, lecz brać się z warunkami za bary. Nie żądać pracy w biurze dlatego, że się jest inżynierem, a w szpitalu dlatego, że jest się doktorem, a zadowalać się każdą możliwą "dziurką", przez którą można by się wymknąć z bloku "zugangów" gdziekolwiek, byleby się znaleźć na miejscu pracy, która władzom obozu wydaje się potrzebna, a która jednak nie ubliża honorowi Polaka. Nie "nadać się" ważnie, że jest się mecenasem, bo tu zawód ten absolutnie nie popłacał. Być przede wszystkim koleżeńskim w stosunkach z każdym Polakiem, jeśli ten nie jest draniem i korzystać z każdej przysługi, przysługą odpłacając. Bo tu się żyło tylko wiążąc się wzajemnie przyjaźnią, pracą - wzajemnie się wspomagając. A iluż tego nie rozumiało... Iluż było takich egoistów, o których można powiedzieć: nie lgnie fala do niego ani on

do fali. Taki musiał ginąć. Zbyt mało mieliśmy miejsc, a wielu do ratowania. Poza tym był brak siły woli, by nie jeść wszystkiego, czego się nie strawić, a nie wszystkie żołądki naszych inteligentów były wytrzymałe. "Głupi, zasr... inteligent" - było to najpogardliwsze przezwisko w obozie.

Od wiosny 1941 roku obywatelstwo w lagrze zyskało słowo: "muzułman". Tak nazwali Niemcy, stojący u władzy, więźnia, który się wykańczał, osłabł, ledwo chodził. Określenie to przyjęło się powszechnie. W pewnym wierszu obozowym mówiliśmy: "...muzułmani - lekko wiatrem kołysani..." Był to stwór na pograniczu życia a komina krematorium. Bardzo trudno powracał do sił, przeważnie kończył w szpitalu lub na "Schonungsblock" (blok 14 stara numeracja, według nowej - 19), gdzie kilka setek tych cieni ludzkich doznawało łaski władz lagru: mogły tam stać cały dzień na korytarzach w szeregach i nic nie robić, lecz to stanie ich również kończyło. Śmiertelność na tym bloku była ogromna.

W lipcu 1941 r., gdy przechodziłem na placu koło grupki kilkunastu młodych chłopców (16-17 lat), przywiezionych tu z ławy szkolnej za to, że śpiewali piosenki patriotyczne, jeden z nich rzucił się do mnie z okrzykiem: "A! Wujek!" Nowa dekonspiracja... Ucieszyłem się jednak - nie tym, ma się rozumieć, że go przywieźli - wiadomościami od swoich. W parę tygodni później w maszynowni stolarni "werżnęły" się w moją twarz czyjeś oczy, bez mrugnienia przyglądające mi się uważnie. Wzrok wytrzymałem. Człowiek ten, niewysokiego wzrostu, więzień - Polak, podszedł do mnie i zapytał, czy jestem XY, wymieniając moje prawdziwe nazwisko. Powiedziałem, że to pomyłka. Lecz nie dał się zwieść, zapewniając, że jego nie potrzebuję się bać. Parę tygodni później był zaprzysiężony i pracował u nas jako 40. W stolarni miał pracę, w maszynowni.

W stolarni też powiększyłem nasze szeregi zaprzysięgając trzech dzielnych Polaków: 41, 42, 43. Wkrótce weszli do naszej pracy: 44, 45, 46.

W stolarni już jako - tako dawałem sobie radę. Praca moja i sylwetka niby - stolarza jakimś zrzędzeniem losu nie podpadała kapom. Raz tylko jeden, gdy - sam będąc przy warsztacie - pasowałem deski rabanem do sklejaniam, stanął za mną o kilka kroków oberkapo Balke i przyglądał mi się chwilę, o czym ja nie wiedziałem, po czym zawołał kapa Waltera i wskazując na mnie palcem, wolno cedząc słowa, powiedział: "Wer ist das?" Lecz poszli dalej, nie przerywając mi pracy. Mówili mi o tym koledzy, koło których stali owi kapowie. Widocznie się zorientował, że nie jestem stolarzem.

Balke był to w ogóle ciekawy człowiek. Wysoki, przystojny, o inteligentnym wyglądzie, dość sztywny i zimny. Niedzielami, gdy dręczono nas tak zwaną "blocksperą" do południa, zamykając na blokach, robiąc różne przeglądy umundurowania, przychodził Balke i kazał wszystkim stolarzom wychodzić na plac, gdzie robił zbiórkę: przestawiał, ustawiał dwudziestki, wyznaczał dwudziestowych i trzymał na placu, kiedy było słońce, grała orkiestra i zanim skończyła się "blockspera". Na koniec z uśmiechem żegnał nas wesoło, puszczając na blok.

Obóz nasz stale się powiększał. Nie stan liczbowy więźniów - tych było prawie zawsze wtedy 5-6 tysięcy. Numer bieżący sięgał już jednak ponad 20 tysięcy - kilkanaście tysięcy wchłonęło już krematorium. Obóz powiększał się inaczej - rozbudowywał się. Poza ośmioma blokami zbudowanymi na placu apelowym (co spowodowało zmianę numeracji w całym lagrze) i poza tym, że rozbudowywano obóz w kierunku na "Industriehof I", w samym obozie macierzystym (Stammlager) jeszcze budowano szybko filie. Pierwsza, to tak zwana Buna, osiem kilometrów na wschód od obozu, gdzie pracowano nad fabryką niby - gumy; druga filia obozu macierzystego, to nowo powstający obóz Birkenau (Brzezinka), od lasu brzoźowego tak nazwany. Obóz ten nosił też nazwę Rajsko, co nie miało nic wspólnego z wioską Rajsko (Birkenau leżało parę kilometrów na zachód, wieś Rajsko - na południe), a nazwa nadana była tylko dla ironii.

Na obu filiach, przy budowie, ginęło mnóstwo ludzi. Na Bunę codziennie wymaszerowywało przed

apelem porannym kilkanaście setek więźniów (wstawali znacznie wcześniej od nas, wracali w kilka godzin po zakończeniu dnia pracy przez nas). Na Birkenau budowano dopiero baraki: na razie drewniane, dziewiczo niewinne, nowe. Dopiero później w Brzezince - Rajsku działały się sceny piekielne. Do budowy tych baraków w polu potrzebni byli i cieśle, i stolarze, a w przypadku braku większej ilości cieśli, zastępowano ich od razu stolarzami. Pracowano w polu, na deszczu, w śniegu, pod kijem kapów spieszących z pracą, gdyż był wyraźny nakaz: zbudować to piekło w Rajsku jak najszybciej.

Mieli tam pójść stolarze od nas... By ginąć... Balke musiał dać tych stolarzy. Robił to niechętnie. Wybierał zawsze długo. Był to ciężki moment dla stolarzy, lecz - zdawało się - również i dla niego. Stolarze, którzy szli do pracy przy budowie baraków w szczerym polu (a ogółem poszło około trzeciej części wszystkich stolarzy), przeważnie tam ginęli: zaziębiali się lub wprost kończyli się w pracy. Balke dawał więc gorszych fachowców. Zazwyczaj patrzył badawczo na mnie, jakby myślał: dać go tam, czy nie dać? I jakoś szedł dalej wzdłuż szeregu stojących stolarzy, czekających na swą kolej losu, pozostawiając mnie w stolarni.

Zwolnionych z obozu w Oświęcimiu był minimalny procent. Byli to przeważnie koledzy z łapanek warszawskich, którzy spraw żadnych nie mieli, a których rodziny wykupywały za pieniądze, przez różnych pośredników trudniących się tym procederem, nieraz trafiając na szantażystów i szarlatanów. Lub też przez rodziny, które miały własne chody w konsulatach państw obcych, a nawet na Alei Szucha. W jesieni 1940 r. z warszawskich transportów zwolniono około 70-80 osób. W ciągu 1941 r. zwolnienia były bardzo rzadkie, dosłownie po kilku więźniów - razem do jesieni 41. Dopiero jesienią 1941 r. poszło około 200 więźniów na blok "wolnościowy" (specjalnie na ten cel przeznaczony), gdzie odbywali kwarantannę przed wyjściem z obozu. Karmiono ich lepiej, by doprowadzić do możliwego wyglądu, nie bito, a takich, co mieli ślady bicia przetrzymywano w szpitalu do zagojenia i wykurowania, by na świat nie wynieśli z sobą świadectwa potwornego obchodzenia się z więźniami w Oświęcimiu. Biorąc jednak pod uwagę, że w listopadzie 1941 roku przyjeżdżający do obozu otrzymywali już numer bieżący ponad 25000, cóż znaczyło te ponad trzy setki zwolnionych...

Każdy zwolniony więzień, po przebraniu go w jego cywilne ubranie wyjmowane z worków wiszących w "Effektenkammer", musiał przejść razem z grupą zwolnionych kolegów lub też sam przez drewniany barak za bramą (tu mieściła się także "Postzensurstelle"), gdzie żegnał ich esesman dobitnie wbijając w głowę, że na wolności trzeba absolutnie milczeć na temat obozu w Oświęcimiu. Że jeśli ktoś będzie pytał, jak tam w Oświęcimiu było, to należy odpowiedzieć: jedź sam i zobacz (naiwna sugestia). Że jeśli władze niemieckie się dowiedzą, że ktoś ze zwolnionych nie umiał utrzymać języka za zębami, to się bardzo szybko znajdzie znowu w Oświęcimiu (to było bardziej przekonujące i byli więźniowie tego obozu naprawdę milczeli na wolności jak zakłęci).

Gra, którą zacząłem prowadzić w Oświęcimiu, była niebezpieczna. Zdanie to nie oddaje rzeczywistości - właściwie daleko przekroczyłem to, co niebezpiecznym ludzie nazywają na ziemi - samo przekroczeniu drutów przy wejściu do obozu już było niebezpieczne. Toteż praca, którą tu rozpocząłem, frapowała mnie całego bez reszty, a że zaczęła rozwijać się coraz szybciej, zgodnie z planem, naprawdę zacząłem się obawiać, by rodzina nie wykupiła mnie jak innych kolegów, bo przecież również żadnej sprawy tu nie miałem i przyjechałem z łapanki. Toteż pisałem do rodziny, nie mogąc dekonspirować pracy, że jest mi tutaj naprawdę dobrze, żeby nie ruszali mojej sprawy, że chcę tu trwać do końca. Sam los rozstrzygnie, czy mi się uda wyjść, itd. Powrotną drogą otrzymałem odpowiedź, że Janek W., którego - gdy się dowiedział, gdzie jestem - sumienie niepokoiło, pytał wszystkich: "dlaczego poszedł?" Był jednak konsekwentny i rodzinie, która się zwróciła o pomoc w wykupieniu mnie, odpowiedział, że pieniędzy na to nie ma.

Znalazłem drogę, którą mogłem słać listy do rodziny, pisząc po polsku. Młodociany mój przyjaciel 47, chodząc do pracy w miasteczku, zdobył możliwości kontaktu z cywilami, przez których wysłałem dwa listy do rodziny. Listy moje były przekazywane do Komendy Głównej.

Z pierwszych współpracowników moich w Warszawie, tu w Oświęcimiu, prócz już wymienionych, spotkałem na początku 1941 roku Stacha - 48, którego wywieźli do kamieniołomów i latem 1941 roku Janka - 49, którego udało się jako chorego umieścić w transporcie do Dachau, które w porównaniu z Oświęcimiem było o wiele lepszym obozem.

Powtarzające się próby ucieczek spowodowały, że władze obozu zdobyły się na stosowanie odpowiedzialności solidarnej i za ucieczkę jednego rozstrzelivano dziesięciu więźniów (od wiosny 1941 r.). Wybranie dziesięciu na śmierć za jednego zbiega, było ciężkim przeżyciem dla obozu, a szczególnie dla bloku, z którego wybierano. Wtedy my jako organizacja ustosunkowaliśmy się do ucieczek wyraźnie negatywnie. Żadnych ucieczek nie organizowaliśmy i potępialiśmy wszelki odruch w tym kierunku jako przejaw krańcowego egoizmu aż do czasu, kiedy w tej dziedzinie nastąpiły zasadnicze zmiany. Na razie wszelkie ucieczki były czynem dzikim, nic z organizacją naszą nie mającym wspólnego.

"Wybiórka" na śmierć odbywała się zaraz po apelu, na którym stwierdzono nieobecność zbiega. Przed blokiem, stojącym w dziesięciu szeregach, a z którego uciekł więzień, zjawiał się komendant obozu ze świtą i przechodząc przed szeregiem, kiwał ręką na tego więźnia, który mu się podobał, lub może raczej: nie podobał. Szereg "przeładowany" robił pięć kroków "naprzód marsz" i świta szła przed szeregiem następnym. Były rzędy, z których wybierano paru, bądź nie wybierano nikogo. Najlepiej było, gdy ktoś odważnie patrzył w oczy śmierci - tego przeważnie nie brano. Nie wszyscy wytrzymywali nerwowo i czasami któryś za plecami komisji przebiegał naprzód, do szeregu już przejrzanego - tego przeważnie właśnie zauważali i brali na śmierć. Razu pewnego wydarzył się wypadek, że gdy wybrano młodego więźnia, z szeregu wystąpił starszy - ksiądz i prosił komendanta obozu, by wybrał jego, a zwolnił tamtego młodego od kary. Blok skamieniał z wrażenia. Komendant się zgodził. Ksiądz - bohater poszedł na śmierć, a tamten więzień wrócił do szeregu.

Wydział Polityczny pracował, czego rezultatem były rozstrzeliwania za sprawy na ziemi. Specjalną radość miały władze lagru, gdy zbierały większą grupę Polaków do rozstrzelania w dniu, które kiedyś były obchodzone jako święta narodowe, tam w Polsce, na ziemi. Z reguły mieliśmy większą "rozwałkę" w dniach 3 maja i 11 listopada, raz na dodatek grupę Polaków rozstrzelano 19 marca.

Kiedyś na ziemi, tęskniąc do pracy twórczej dłutem, do rzeźby, nieraz myślałem: cóż, kiedy nie mam nigdy na to czasu, musieliby mnie chyba zamknąć w więzieniu. Los dla mnie w życiu był zawsze łaskawy, musiał i to podsłuchać. Byłem zamknięty - należało więc tylko próbować rzeźbić - nie miałem jednak o tym żadnego pojęcia. Przy stolarni była rzeźbiarnia. Właściwie za wyjątkiem paru artystów - malarzy po akademii jak 44 i 45, pracowali tam sami snycerze, przeważnie górale. Przy pomocy 44 i 45 dostałem się do rzeźbiarni. Ułatwiał moje przejście fakt, że rzeźbiarnia była podkomandem stolarni, w której pracowałem kilka miesięcy.

Kierownikiem pracy w rzeźbiarni był swój chłop - 52. Zjawiłem się tam (1.XI.1941 r.), zrobiłem kilka rysunków - projektów noży do papieru. Powiedziano mi: "Na papierze to jest piękne, lecz proszę przenieść to w rzeźbie na drzewo". I tak zacząłem pracę, przenosząc się na stałe do rzeźbiarni. W ciągu pierwszego tygodnia wyrzeźbiłem trzy noże. Pierwszy nóż to było w ogóle moje zapoznanie się z trzymaniem w rękę i używaniem narzędzi; drugi był nieco lepszy, a trzeci pokazał rzeźbiarzom 52 ze słowami: "Tak należy rzeźbić noże".

Praca więc szła. Obok mnie z jednej strony siedział zawsze wesoły, pierwszorzędny kolega 42, z drugiej - przyjaciel 45. Rano 11 listopada 1941 r. podszedł do mnie 42 i powiedział: "Miałem dziwny sen, czuję, że dziś mnie "rozwałą". Może jest to błahostka, a jednak cieszy mnie chociaż to, że zginę 11 listopada." W pół godziny później na apelu porannym wyczytano jego numer wśród innych numerów. Pożegnał się ze mną serdecznie, prosząc, bym matce jego opowiedział, że umierał na wesoło. W kilka godzin później już nie żył.

Z podziału pracy wypadło, że wiadomości z zewnątrz regularnie otrzymywane przez nas ustaloną drogą, rozpowszechniała w obozie komórka złożona z trzech naszych członków. Jeden z nich, niezapomniany nasz "Wernyhora" - 50, na wszystkich skrzyżowaniach dróg otoczony gromadą więźniów wygłaszał stale optymistyczne przepowiednie. Był pożądanym i lubianym przez wszystkich.

Organizacja się rozrastała. W czasie mego pobytu w rzeźbiarni wciągnąłem do szeregów naszych paru przyjaciół - 53 i 54. Następnie 55, 56, 57, 58. Poza wciąganiem przeze mnie osobiście, każda piątka rozprzestrzeniała się, rozgałęziała wśród masy więźniów własnym przemysłem do różnych komand, budując odnogi w oparciu o znajomość sylwetki nowego kandydata. Tu wszystko funkcjonowało wyłącznie na wzajemnym zaufaniu. Toteż rozwiązując problem przewodzenia w poszczególnych grupach związanych z sobą, stanąłem na stanowisku oparcia się na poszczególnych dowódcach od mniejszych do większych, mając na względzie wyłącznie zalety osobiste danego przewodnika. Inaczej rozwiązać tego nie mogłem. Odrzucić należało wszelkie sugestie z ziemi. Nieważne było, kim kto był kiedyś w przeszłości, lecz ważnym było, by na każdym z dowódczych stanowisk był "chłop z ...", który by w momencie czynu nie swym tytułem chciał ująć masę, gdyż masy tej przed tym momentem nie można było uświadomić, lecz by potrafił wcześniej milczeć, kiedy trzeba - świadomie porwać masę za sobą. Więc przedtem już musiał mieć sylwetkę wyróżniającą się działalnością, być tym, za którym by koledzy chętnie szli. Nie tylko musiał być dzielny, lecz także odznaczać się siłą wewnętrzną i taktem.

Taki drobny fakt - gdy się urabiało i dobierało ludzi, często wciągało się tych, co byli tu na stanowiskach. Zaprzysiężony komendant sali szedł potem na rękę, wydając repety i podtrzymując siły przysyłanym mu potrzebującym podkarmienia naszym członkom, oszczędzając niektórych na swej sali. Lecz jeśli ktoś, kto przyszedł urabiać do pracy sztubowego, nie umiał się zachować, nie miał taktu lub siły woli, by się powstrzymać od odruchu zagarnięcia miski repety dla siebie, to tu robota nasza spalała na panewce.

Co innego, że zwykle po paru rozmowach ze sztubowym, jeśli przychodzący miał siłę woli i nie wspominał o jedzeniu, choćby mu się kiszki skręcały, inicjatywa wychodziła od salowego; wtedy to jedzenie, które tu otrzymywał przychodząc, nie przeszkadzało w montowaniu tutaj sieci organizacyjnej. Niestety, było paru takich, którzy przychodząc w celach organizacyjnych do dopiero co poznanych sztubowych, przede wszystkim wysuwali menażki po repety dla siebie. W takim wypadku praca dobrze pójść nie mogła. Sztubowy takich odwiedzających załatwiał miską zupy dla nich i na tym koniec.

Wybuch wojny niemiecko - bolszewickiej, poza przyjęciem przez nas tej dawno oczekiwanej wiadomości z wielką radością, na razie w obozie zmian wielkich nie przyniósł. Kilku esesmanów pojechało na front. Zastąpiono ich innymi, starszymi wiekiem.

Dopiero w sierpniu (1941 r.) ta nowa wojna odbiła się u nas, jak wszystko inne, makabrycznym echem. Przywieźli tu pierwszych jeńców bolszewickich, na razie samych oficerów, i po zamknięciu ich w jednej sali bloku 13 (według nowej numeracji blok 11) w ilości ponad siedmiuset, stali tak ciasno stłoczeni, że nikt nie mógł usiąść. Salę uszczelniono (komór jeszcze wtedy nie mieliśmy).

Pod wieczór tego dnia przyszła grupa niemieckich wojskowych z oficerami na czele. Komisja niemiecka weszła na salę i po nałożeniu masek gazowych, rozrzuciła tu parę baniek z gazem, obserwując jego działanie. Koledzy flegery, którzy nazajutrz uprzętały trupy, mówili, że był to makabryczny widok - nawet dla nich. Ludzie byli tak stłoczeni, że w chwili śmierci nie mogli upaść. Oparci jeden o drugiego tak splekli się rękami, że trudno było rozerwać ich ciała. Miała to być sama szarża bolszewicka z rozmaitych formacji, sądząc po mundurach, w których byli zagazowani.

Była to pierwsza próba gazu u nas (kwas pruski).

Zaraz z tą wiadomością przyszedł do mnie 19. Był tym bardzo przejęty; wiedziony bystrością umysłu przewidywał, że za pierwszą próbą tego rodzaju przyjdą następne, zastosowane może w odniesieniu do więźniów. Wtedy jeszcze wydawało się to nieprawdopodobne.

W międzyczasie mieliśmy znowu odswszawianie obozu (lato 1941 r.), po którym ulokowano nas, wszystkich stolarzy, na jednym bloku 3, na parterze. Dali nam łóżka, gdyż prawie cały obóz kolejno blokami zaopatrywano w łóżka. Była to znowu okazja dla popisów naganiaczy i esesmanów. Łóżka musiały być posłane lepiej niż niegdyś w podchorążówce - więc znowu szykany, bicie, przemoc.

Następnie (wrzesień) część stolarzy (w tym i mnie) przenieśli na blok 12 (nowa numeracja), a w październiku na blok 25 (nowa numeracja, dawny 17). Tu właśnie w listopadowy ranek po wyjściu przed apelem przed blok, wzdragając się nieco od przejmującego wiatru, siekącego w twarz na przemian deszczem i zlodowaciałym śniegiem, uderzony zostałem widokiem, który mnie wtedy przeraził. Przez podwójny płot z drutów zobaczyłem w odległości około 200 kroków ode mnie więźniów poustawianych zwyczajem obozowym w dwadzieścia piątek, pędzonych przez żołnierzy niemieckich kolbami. Całe kolumny zupełnie nagich ludzi. Ja naliczyłem ich osiem setek, lecz czoło kolumny już grzęzło we wrotach budynku i mogło ich tam wejść kilka setek przed moim wyjściem przed blok. Budynek, do którego wchodzili, było krematorium. Byli to bolszewicy, jeńcy wojenni. Później dowiedziałem się, że było ich ponad tysiąc.

Człowiek bywa do śmierci naiwnym... Rozumiałem wtedy, że tym jeńcom wojennym chcą wydać bieliznę i ubranie, lecz dlaczego przeznaczają na tę czynność lokal krematorium i cenny czas w tej fabryce, gdzie nasi koledzy pracujący na 3 zmiany, przez 24 godziny na dobę, nie mogą podolać pracy przy spalaniu ciał naszych kolegów - więźniów. Okazało się jednak, że wprowadzono ich tam właśnie dla zaoszczędzenia czasu. Zamknięto. Z góry zrzucano bańkę (lub dwie) z gazem i drgające ciała rzucono na ruszt. Po prostu tylko dlatego, że w Oświęcimiu nie zdążyli przygotować pomieszczeń dla przydzielonych tu wojennych jeńców bolszewickich. Spalono ich. I tak zresztą był rozkaz możliwie szybkiego ich wykończenia.

Na gwałt spieszono z postawieniem płotu w naszym obozie, który ścieśniono, oddając na obóz jeńców bolszewickich dziewięć bloków. Przygotowywano również administrację - aparat wykańczający. Ogłaszano na blokach, że kto umie po rosyjsku może dostać posadę sztabowego lub nawet kapa w obozie dla jeńców. Jako organizacja ustosunkowaliśmy się pogardliwie do tego projektu i do tych, którzy tam chcieli oddać swe usługi przy mordowaniu jeńców, rozumiejąc, że tę nikczemną robotę władze chcą zrobić rękami polskimi.

Ogrodzenie zrobili szybko i obóz dla bolszewików był gotów. Na bramie wewnętrznej postawionej w płocie rozgradzającym nasze obozy wisiał szyld z wielkim napisem: Kriegsgefangenenlager. Później okazało się, że Niemcy - kapowie i esesmani - mordowali jeńców wojennych - bolszewików tak samo szybko i sprawnie, jak nas, gdyż 11400 jeńców, których przywieźli w końcu roku 1941 (liczba podana mi ze głównej izby pisarskiej) wykończono bardzo szybko, przez parę miesięcy zimowych. Wyjątek stanowiło kilkudziesięciu jeńców, którzy poszli na ohydny robotę wykańczania swoich współkolegów, a później Polaków i więźniów innych narodowości w obozie Birkenau, i parę setek tych, co poszli na zaproponowaną pracę dywersyjną, których władze niemieckie umundurowały, ćwiczyły, karmiły i miały użyć jako dywersantów po zrzuceniu ich na tyłach bolszewickich. Ci mieszkali w koszarach koło miasteczka Oświęcim. Cała reszta zaś wykańczana była nadmiernym wysiłkiem w pracy, biciem, głodem i mrozem. Czasami w bieliźnie lub nago trzymano jeńców przed blokiem godzinami na mrozie, głównie wieczorem lub rano. Przy tym Niemcy śmiali się, że ludzie z Syberii nie powinni się bać chłodu. Słyszeliśmy wycie zamrażanych na śmierć ludzi.

W tym czasie u nas, w obozie, nastąpiło w pewnym sensie odprężenie, mniejsze nasilenie

wykańczania nas, gdyż całą wściekłość i siły potrzebne do katowania i mordowania skierowano na obóz bolszewicki.

Szybę, w którą bito na początku egzystencji obozu, wydającą dźwięk gongu na wszelkie apele i zbiórki, zamieniono na dzwon, zawieszony pomiędzy słupami koło kuchni. Dzwon był przywieziony tu z jakiegoś kościoła. Był na nim napis: Jezus, Maryja, Józef. Po krótkim czasie dzwon pękł. Więźniowie mówili, że nie wytrzymał scen lagrowych. Przywieziono drugi. Ten również po pewnym czasie pękł. Przywieziono wtedy trzeci (w kościołach były jeszcze dzwony) i dzwoniono ostrożnie. Ten już trwał do końca.

Tak, dzwon kościelny powodował nieraz wiele wzruszeń. Gdy czasami staliśmy na apelu wieczornym, myśleliśmy, że ten wieczór mógłby być piękny, gdyby nie stała atmosfera mordy, unosząca się nad nami. Zachodzące słońce barwiło obłoki w prześliczne kolory, gdy naraz odzywała się przeraźliwym wyciem syrena obozowa, dająca znak wszystkim posterunkom, że nie mogą zejść z wieżyczek "wielkiej postenketty", gdyż jednego lub paru więźniów brak jest na apelu. A nam złowieszczo zapowiadała wybiórkę dziesięciu na śmierć, lub w każdym razie stójkę, na której mróz przenikał do naszych wnętr. Czy też przy innej okazji, gdy staliśmy jako asysta honorowa ofiary, która ze związanymi rękami czekała pod szubienicą i za chwilę miała zawisnąć na stryczku... raptem, wtedy, w ogólnej ciszy przylatywał z oddali łagodny, spokojny dźwięk dzwonu. Dzwoniono gdzieś w jakimś kościele. Jak bliski był i w sercu i w odległości, a jak daleki zarazem i nieosiągalny... Bo aż het tam, na ziemi, dzwonili ludzie... Tam żyli, modlili się, grze szyli, lecz cóż znaczą ich grzechy wobec przestępstw tutejszych?!

Od lata 1941 roku wprowadzono zwyczaj regulujący niby przyjmowanie do HKB. Więźniowie, którzy rano czuli się tak słabo, że iść nie mogli do pracy, kiedy wszyscy (na dzwon poranny niosący hasło: "Arbeitskommando formieren!") biegli do kolumn pracy - słabi, chorzy, "muzułmany" stawali w grupce na placyku przed kuchnią. Tu ich przeglądu dokonywali flegery i lagerkapo, a czasem i starszy obozu, robiąc próbę sprawności i sił przez popychanie. Część zabierano do szpitala, część szła na "Schonungsblock", część zaś, pomimo wycieńczenia, lokowano do piątek komand pracy w polu i słano w skocznym marszu na pewną śmierć przy pracy. Ci w "Schonungsblocku" i szpitalu żyli przeważnie niewiele dłużej.

Gdy się przenieśliśmy na blok 25 (listopad 1941 r.) spotkałem i poznałem bliżej kolegę, późniejszego mego przyjaciela, 59. Dzielny to był i wesoły chłop. Zorganizowałem nową "czwartą" piątkę, do której na razie prócz 59, wszedł 60 i 61. W tym czasie przywieziono do obozu między innymi kolegami dwóch oficerów starszych stopniem: płk. 62 i ppłk. dypl. 63. Zaproponowałem wejście do organizacji płk. 62, który się na to zgodził i zaczął pracować z nami.

Robiłem pierwsze odstępstwo, gdyż, jak wspominałem już, dotychczas unikałem oficerów wyższych stopni, którzy tu byli pod własnymi nazwiskami. Ponieważ jednak organizacja rozrastała się, koledzy dali mi do zrozumienia, że z powodu stronięcia od oficerów wyższych stopni mogę być posądzony o wygórowane ambicje, a ponieważ nadarzała się sposobność uregulowania tej sprawy, gdyż przyjaciel 59 wynalazł płk. 64, który tu siedział pod fałszywym nazwiskiem i uchodził za stuprocentowego cywila, zaproponowałem płk. 64 firmowanie naszej pracy i podporządkowałem się jemu. Płk. 64 zgodził się z planem mojej dotychczasowej pracy i pracowaliśmy odtąd razem.

W tym czasie wprowadziłem do organizacji kolegów 65 i 66, a przy pomocy 59 - kolegów 67 i 68, z których pierwszy wkrótce zaczął nam przynosić wielkie korzyści, zdobywając stanowisko Arbeitsdiensta.

Nareszcie doczekałem się momentu, o którym kiedyś można było tylko marzyć - zorganizowaliśmy komórkę polityczną naszej organizacji, gdzie bardzo zgodnie współpracowali koledzy, którzy na ziemi zjadali się wzajemnie w sejmie: 69 - prawica, 70 - lewica, 71 - prawica, 72 - lewica, 73 - prawica, 74 - lewica, 75 - prawica, itd. Długi szereg naszych byłych polityków - partyjniaków.

Więc trzeba było Polakom pokazywać codziennie górę trupów polskich, żeby się pogodzili i zdecydowali, że ponad różnice i wrogie stanowisko, jakie zajmowali w stosunku do siebie na ziemi, jest większa racja - zgoda i jeden front przeciwko wspólnemu wrogowi, którego przecież zawsze mieliśmy w nadmiarze. A więc racja zgody i racja wspólnego frontu zawsze była i zawsze znajdowała się w przeciwieństwie do tego, co czynili na ziemi: wieczne pieniactwo i żarcie się w Sejmie.

Z szeregu znajomych płk. 64 zaprzysiężłem 76 i 77, następnie wciągnąłem do pracy 78 i 79.

W listopadzie 1941 roku odszedł ze stolarni oberkapo Balke, a przyszedł na jego miejsce oberkapo Konrad, dobrze ustosunkowany do Polaków - stolarzy i grzeczny. Kochał się w sztuce, rzeźbie, góralach - snycerzach. Wymógł on na władzach wydzielenie wszystkich rzeźbiarzy z dodaniem wybranych z kilku setek ośmiu najlepszych stolarzy, specjalistów od robienia artystycznych szkatuł, inkrustacji i innych arcydzieł z dziedziny stolarskiej. Tę elitę artystyczną przeniósł z pracy na "Industriehofie I" do pracy pod miasteczko na teren znajdującej się tu wielkiej garbarni z fabrycznym kominem, okolonej płotem drewnianym z czterema wieżyczkami strażników. Garbarnia mieściła na swym terenie wiele komand rzemieślniczych: warsztaty krawieckie, szewskie, ślusarskie, malarskie, kowalskie, stajnie z paru końmi oraz "arystokrację" braci rzemieślniczej - dobrze sytuowanych garbarzy. Z artystycznych była tu komórka, którą nazwać należy prawdziwą rzeźbiarnią, gdyż nasze komando z małymi wyjątkami składało się ze snycerzy. Tu natomiast, w tej małej komórce, pracował prof. Dunikowski, z nim razem, opiekę nad nim mając, Janek Machnowski i kolega Fusek. Przez krótki czas był tu przydzielony też Wicek Gawron.

Każde komando miało swego kapo. Wszystko to ciężką ręką trzymał oberkapo Erik, wyrafinowany drań i jego zastępca - narwany kapo Walter.

Do tego zbioru różnych fachów doszliśmy my, "rzeźbiarsko - stolarsko - artystyczne" komando, jakim go chciał widzieć nasz oberkapo stolarni, Konrad. Lecz Konrad nie przewidział niektórych ciemnych stron przeniesienia się na teren garbarni. Tu rządził oberkapo Erik i żadnych innych oberkapów nie uznawał. Starły się więc dwa typy: Konrad - szczerzy wyznawca sztuki, lecz naiwny i nie kryjący się z tym, że lubi Polaków oraz podstępny, przebiegły, podły Erik, którego się lękali nawet esesmani, bo miał on z komendantem obozu ciemne konszachty. Rządził się tu w garbarni, jak na własnym folwarku, prowadząc swoje gospodarstwo i goszcząc czasami komendanta, z którym na garbowanych skórkach robili tu jakiś interes. No i, ma się rozumieć, Konrad przegrał.

Warsztaty nasze umieszczono w dwóch salach budynku fabrycznego. Za kilkoma ścianami, we właściwej garbarni był basen, gdzie napuszczano ciepłą wodę. Basen był wielki tak, że można było nawet pływać parę metrów. Kiedy korzystając z uprzejmości przyjaciół z garbarni, kąpałem się tam raz, czułem się tak, jak kiedyś na wolności. Jakże długo nie doznawała moja skóra ciepłej kąpieli.

Wszystko to robiło się po kryjomu. Czy do pomyslenia było, by więzień w Oświęcimiu brał ciepłe kąpiele? Czy można było komuś powiedzieć, że się pływało? Było to niewiarygodne!

Kiedyś także Konrad skorzystał z kąpieli w basenie, nic sobie nie robiąc z tego, że kąpie się razem z więźniami - Polakami. Jego też się nikt nie bał, bo żadnego świństwa nigdy nie zrobił. Lecz jakiś drań podpatrzył i na Konrada poszedł pierwszy "Meldung". W grudniu (1941 r.) byliśmy "kommandiert" na wieczory i pracowaliśmy (nie chodząc na apele wieczorne) aż do godziny 22.00. Mieliśmy wiele pracy przy obstalowanych zabawkach dla dzieci naszych niemieckich władz. Pewnego wieczoru przyszedł jeden z kapów, zauszników Erika w towarzystwie esesmana i namówili Konrada na wypad do miasteczka. Konrad, więzień tęskniący za towarzystwem ludzi wolnych, zgodził się i razem z dozorcą ich esesmanem poszli w trójkę do miasteczka. Po godzinie, przed samym naszym wyjściem z garbarni do obozu, zjawił się na sali pracy pijany Konrad. Zaraz za nim wszedł jakiś kapo i esesman, nie ci, co byli z Konradem w miasteczku. Byli oni świadkami, jak Konrad głaskał po głowie ulubionych swoich fachowców, mówił, że któremuś

już powinien być kapem, bo jest doskonałym pracownikiem i "mianował" na sali kilku dwudziestkowych i kilku kapów. To wystarczyło. Konrad został zamknięty w bunkrze i siedział tam długo. Tak Erik pozbył się oberkapa na swoim terenie.

Ponieważ zaczęto już porządkować sprawę zamieszkania poszczególnych więźniów, starając się umieszczać na blokach komandami, dlatego więc z bloku 12 przeniesiony byłem - razem z grupą innych więźniów, którzy pracowali na terenie "Lederfabrik" lub, jak to jeszcze oficjalnie nazywano: "Bekleidungswerkstätte" - na blok 25 (o czym już wspomniałem).

Łóżka, w które zaopatrywano kolejno poszczególne bloki w obozie były drewniane, piętrowe, stojące jedne na drugich, w jednym pionie po trzy łóżka. Do bloku wstawianie łóżek na sale jeszcze nie doszło. Spaliśmy tu pokotem, około 240 na sali, straszliwie ścieśnieni, co w języku lagrowym nazywano "zakładką" (chodzi o nogi), na jednym tylko boku. W nocy (jak przed rokiem) chodzili jedni drugim po głowach, brzuchach, bolących nogach, wychodząc do ubikacji i nie znajdowali miejsca do spania po powrocie.

Nie jest to zbyt przyjemne wspomnienie, lecz skoro już piszę wszystko, to i o tym wspomnę. Z powodu jakiejś niedyspozycji w gospodarce obozu wożono zimą (już w grudniu 1941 r.) brukiew wagonami i przenoszono ją do kopców usytuowanych przy torze kolejowym bocznicy, o 3 kilometry od obozu. Komanda rolne i innych "zugangów" wykańczanych w polu, przedstawiały jednak za mały, zbyt słaby fizycznie materiał ludzki, więc brano do tej roboty silnych warsztatowców, przeznaczając na te prace niedziele. Przeważnie unikałem tej pracy, robiąc sobie przez dr. 2 wezwanie do szpitala na symulowane prześwietlenie lub sondy. Jednej jednak niedzieli świeciło słońce, dzień był ładny. Poszedłem razem ze wszystkimi. Nosilem razem z kolegą Zygmuntem Kosteckim brukiew koszami ("tragami"). Kapowie i esesmani pilnowali, żeby tragi były pełne, co też robiliśmy. W pewnym momencie, ładując resztę brukwi, która była wysypana w tym miejscu, nabraliśmy tylko połowę trag, lecz że już był czas powrotu do koszar i setkowi zaczęli ustawiać kolumny, unterkapo, który nasypywał nam tragi, zdecydował, że już za późno iść gdzie indziej, żeby dobrać do pełnych trag i kazał nam iść z tym, co na nich było. Na placu, przez który nosiliśmy, stał esesman, który z daleka zobaczył, że nie mamy trag pełnych, podbiegł i kijem uderzył mnie po rękach. Zatrzymaliśmy się. Porwał się na mnie, krzycząc, nie wiem, dlaczego: "Du polnischer Offizier!", uderzając mnie po głowie i twarzy kijem, który trzymał w ręku.

Widocznie jest to nerwowe, lecz w takich sytuacjach mam grymas (miałem ich parę), coś w rodzaju uśmiechu, co rozwścieczyło go. Ponowił więc uderzenia pałą po głowie i to jeszcze silniej. Trwało to, przypuszczam, krótko, jednak człowiekowi w podobnych momentach może wiele myśli przelecieć przez głowę. Przyszło mi na myśl: XY... jego i kijem nie dobijesz - powiedzenie tułające się od czasów któregoś powstania... i teraz naprawdę się uśmiechnąłem. Esesman spojrzał i wycedził: "Du lachender Teufel". Nie wiem, co by było dalej, gdyby nie syrena w obozie, która zwróciła jego uwagę w innym kierunku: ktoś uciekł. Koledzy mówili mi później, że mam szczęście. Głowę i twarz miałem jednak przez dwa tygodnie obrzęknięte.

Drugi raz zostałem pobity znacznie później, w garbarni. Koledzy w ustępie palili papierosy, których w czasie pracy nie wolno było palić. Wpadł, jak tygrys, kapo Walter. Ja nie paliłem, ale akurat wychodziłem. Przyskoczył do mnie: "Kto palił?!" Milczałem i miałem jakiś bezwiedny uśmiech na twarzy. - Was? Gefällt es dir nicht?! - nie wiem z czego wnosił, że miałyby mi się to nie podobać, czy podobać. Walter był pasjonatem, który jednym uderzeniem przewracał człowieka. Wtedy dostałem wiele razy po głowie i kilka razy leżałem na ziemi. Stawałem jednak - jak mówili mi 59 i 61 - na nowo przed nim z grymasem uśmiechu na twarzy. Walter porzucił mnie w końcu, bo akurat przyjechał komendant obozu, a Erika nie było.

Tymczasem na ziemi - daleko, w Warszawie - awansowano mnie. Za montowanie TAP, za pracę nad zespoleniem w KZN, za przekreślenie ambicji własnych i, z chwilą upoważnienia gen.

Sikorskiego, za dążenie do podporządkowania wszystkich oddziałów ZWZ, co było pierwszym powodem niezgody z 82, a kto wie, czy nie z tego powodu znalazłem się poza Warszawą. A jednak Janek W. podał wniosek i, jak twierdził "Bohdan", 85 pilnował mojej sprawy i mówił mi, że bardziej mu zależy na moim awansie, niż na jego własnym. Płk. "Grot" awansował nas kilku z KZN. 82 i 85 zostali podpułkownikami. W ten sposób ja, nareszcie pod własnym imieniem, zostałem porucznikiem (czyli faktycznie cofnąłem się do roku 1935). Gdyby mi się tam, w piekle, wszystkie te sprawy z ziemi nie wydawały zbyt małe, byłyby gorzkie.

Jeśli chodzi o dobre posady w Oświęcimiu, to po flegerach (pielęgniarskich) nie dla ludzi, lecz świń (tzw. "Tierpflegerach"), muzykach, którzy poza granicami w orkiestrze mieli przeważnie stanowiska sztubowych, dobrą posadą była praca fryzjera. Przeważnie starano się połączyć te dwie funkcje - golenie i stanowisko sztubowego. Lecz nawet jeśli fryzjer nie był sztubowym, miał się zupełnie dobrze. Byli fryzjerzy, którzy golili tylko esesmanów, poza tym każdy blok miał kilku fryzjerów, których pracą było jedynie ogolić co tydzień cały blok. Strzyżenie włosów i golenie było obowiązkowe dla więźniów, lecz pracę tę wykonywali fryzjerzy. Za nieogolenie więźnia lub nieco zbyt długie włosy na głowie odpowiedzialny był blokowy i sztubowy. Od blokowego, kapów i sztubowych, którzy mieszkali na danym bloku, fryzjerzy mieli ilość pożywienia więcej niż dostateczną.

W grudniu (1941 r.) pewnego wieczoru staliśmy z płk. 1 i dr. 2 koło bloku 21 (nowa numeracja) rozmawiając, gdy zaszokował nas widok wychodzącego z bloku 26 (nowa numeracja) nago oddziału ludzi, parujących silnie. Był to transport przysłany tu na szybkie wykończenie - Polacy. Była ich mniej więcej setka. Po zastosowaniu gorącego prysznica przez około pół godziny (przy czym oni nic nie przeczuwając chętnie się myli gorącą wodą) postawili ich nago na śniegu i mrozie i tak trzymali. Musieliśmy już pójść do bloków, a oni wciąż marzli. Dolatywał od nich zduszony jęk, lub raczej zwierzęcy skowyt. Trzymano ich tak parę godzin.

Gdy kończono w ten lub inny sposób, bądź rozstrzeliwano większą ilość więźniów naraz, HKB otrzymywał listę z ich numerami i musiał - podając spis umarłych w tym dniu w szpitalu do głównej izby pisarskiej - dodawać dziennie po 50 numerów z tej listy, jako zmarłych na serce, gruźlicę, tyfus lub inną jakąś chorobę "naturalną".

Tak dobiegał końca 1941 rok. Przyszła druga Gwiazdka w Oświęcimiu i druga paczka z domu - odzieżowa, bo żywnościowych jeszcze nie było. Na bloku 25, gdzie przychylnym dla naszej pracy okazał się blokowy, na sali 7, gdzie komendantem był 59, urządziliśmy choinkę z zawieszonym w ukryciu Orłem Polskim. Sala była udekorowana naprawdę z wielkim smakiem przez 44 i 45, przy niewielkim i moim udziale.

W wieczór wigilijny było przemówienie paru naszych przedstawicieli komórki politycznej. Czy Dubois mógłby na ziemi słuchać z zadowoleniem, jak przemawia Rybarski i po tym serdecznie uścisnąć mu rękę, lub odwrotnie? Jakież to byłoby kiedyś w Polsce rozrzewniający obrazek zgody i jak tam był niemożliwy. A u nas, na sali w Oświęcimiu, obaj zgodnie przemawiali. Co za metamorfoza...

Przez jednego volksdeutscha, Ślązaka, który jednak u nas pracował jako 81, zostałem powiadomiony o pewnej nowej akcji wydziału politycznego, która mogła mi osobiście poważnie zagrażać. Nas - starych numerów - było już bardzo niewielu. Szczególnie było to widoczne przy wypłacie pieniędzy. Pieniądze, przysyłane nam przez rodziny, były wypłacane miesięcznie: jednorazowo 30 marek lub dwukrotnie po 15. Przysyłane w większej ilości, pozostawały na koncie. Później zwiększono wypłatę do 40 marek miesięcznie.

Pieniądze można było wydać w kantynie obozowej, gdzie nabywano wszystko, co organizmowi szkodziło: papierosy, sacharynę, musztardę, czasami sałatkę na occie (marynaty). Do wypłaty pieniędzy dla porządku musieli stanąć wszyscy podług numerów. Kilka razy spędzano wszystkich,

nawet tych, co wcale pieniędzy nie otrzymywali, żeby podpisali swoje konto. Wtedy właśnie łatwo było policzyć stojących w kolejności od pierwszych do ostatnich numerów i zorientować się, ilu jeszcze na setkę nas żyje. Spustoszenie w setkach było ogromne, szczególnie w transportach warszawskich. Może dlatego, że pierwsze transporty przed nami zajęły posady pod dachem, a nas kończono pod gołym niebem. Może też dlatego, że ludzie z Warszawy, jak mówili Ślązacy, są niewytrzymali. A może dlatego, że inni mieli większe niż my fory u władz lagru. Dość, że niektóre setki warszawskich transportów liczyły dwóch ludzi. W naszej setce było nas sześciu. Były też setki o wielkiej stosunkowo liczbie ośmiu żyjących, ale były i takie, których już nikt nie reprezentował.

Wtedy właśnie wydział polityczny wpadł na pomysł sprawdzenia danych metrycznych wszystkich pozostałych przy życiu, zaczynając od pierwszych numerów, co przy znikomej już ilości nas, starych numerów, nie było trudne. A nuż się ktoś ukrywa pod fałszywym nazwiskiem, tak, jak na przykład ja. Dla wyłowienia podobnych "ptaków" wydział polityczny rozsyłał pisma do parafii z zapotrzebowaniem wypisów danych z ksiąg metrykalnych poszczególnych więźniów. Pisma kierowano do tych parafii, w rejonie których więźniowie się urodzili lub podali tak w swych zeznaniach przy badaniu.

Dla wyobrażenia sobie, jak wyglądała moja sytuacja, trzeba się cofnąć do 1940 roku do Warszawy. Społeczeństwo nasze w Warszawie bardzo chętnie szło z pomocą ludziom z konspiracji, szczególnie w pierwszym jej okresie, nie zastraszone jeszcze makabrycznymi reklamami koncentraków i Alei Szucha. Później już było trudniej z lokalami. Lecz początkowo znaczne rodziny polskie chętnie oddawały i własną pracę i lokale na cele konspiracyjne. W pierwszym okresie miałem kilka mieszkań i kilka dowodów osobistych na najrozmaitsze nazwiska, meldowane w różnych mieszkaniach. Wtedy jeszcze można było, wychodząc na ulicę, zostawić dowód w mieszkaniu. Dowodów więc z sobą nie nosiłem, a w razie zatrzymania na ulicy nazwałbym się tak i takie wskazał mieszkanie, które w tamtej chwili było "najczystsze" i w którym miałem jeden z dowodów.

Jednym z mieszkań, w których pracowałem, było mieszkanie pani 83. Pewnego dnia pani ta powiedziała mi, że ma dowód zrobiony na prawdziwe nazwisko jednego z naszych oficerów 84, który wyjechał już do pracy w inny rejon, zanim ten dowód zrobili. Ponieważ wraz z dowodem była i karta pracy, zgodziłem się na propozycję pani 83, abym dowód ten po zamianie fotografii używał.

Gdy szedłem na łapankę, wziąłem ten dowód, gdyż nazwisko było, jak mi się słusznie zdawało, jeszcze "nie spalone". Miałem więc dowód człowieka (84), który gdzieś żył na wolności. W dowodzie jednak nie było wzmianki o imieniu i nazwisku panińskim matki. Gdy nas badano w nocy w Oświęcimiu, wkrótce po przywiezieniu do obozu, podałem zmyślone imię i nazwisko matki, gdyż jakieś podać musiałem. Teraz więc sytuacja była dość niepewna.

Gdy kolej przyjdzie na mój numer, a przyjdzie w ciągu paru miesięcy na pewno, i wydział polityczny wyśle zapotrzebowanie do parafii w miejscowości Z. po wyciąg danych z moich ksiąg metrykalnych, a właściwie pana 84 - imię i nazwisko panińskie matki nie będzie się zgadzać z podanym przeze mnie. A więc mnie wezwą, zapytają kim jestem i... koniec.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności koledzy z łapanki, około paru setek (o czym już wspominałem), byli na kwarantannie i mieli wyjechać wkrótce do Warszawy. Przez zwalnianego kolegę 14 przesyłam wiadomość do mojej szwagierki, pani E.O., z informacją, jakie nazwisko i imię matki tu podałem.

Wyjeżdża wtedy szereg kolegów, niektórzy pracownicy naszej organizacji; prócz 14 jedzie też 9. Jednocześnie na blok wolnościowy idzie płk. 1, który był zwolniony z obozu na skutek starań jego kolegi ze studiów w Berlinie, dziś zajmującego wyższe stanowisko w wojsku niemieckim. Przez płk. 1 przesyłam raport do Warszawy o pracy organizacji tutaj. Przez kolegę 86, który siedział tu jedynie za to, że się nazywał tak, jak jeden z pułkowników, przesyłam również szereg wiadomości.

Dla całości obrazu lagru w tym czasie (ma się rozumieć - tych rzeczy, które sam widziałem, bo nie jestem w stanie opisać wszystkiego, co usłyszałem od kolegów pracujących w innych komandach) trzeba jeszcze dodać tzw. "tydzień seidlerowski". W grudniu (1941 r.) mieliśmy przez tydzień co wieczór na apelu rządu Seidlera, specjalnego sadysty, który zastępował Lagerführera. Był to tydzień wyjątkowo przykrej pogody. Wiatr i deszcz ze zlodowaciałym śniegiem przenikał wilgocią i zimnem, zdawało się, nie tylko ubrania, lecz również nasze ciała. Mroził nas na wylot. Wieczorem był spory mróz.

Seidler postanowił i to wykorzystać dla wykończenia możliwie największej ilości sił - istnień więźniów. Codziennie, od chwili gongu na apel wieczorny, 15 minut przed godziną 18.00, staliśmy, walcząc z mrozem, w mokrych ubraniach do godziny 21.00, zwalniani ze stójki dopiero przed samym gongiem do snu. Łykaliśmy później szybko zimny obiad, który w tym czasie dawano nam na wieczór i spiesząc na gwałt z załatwieniem w 15 minut różnych czynności szliśmy spać.

Stójki te trwały tydzień, gdyż niby codziennie przez tydzień kogoś brakowało na apelu, co było oczywiście zmyślane przez Seidlera. Skończyły się bowiem z końcem jego zastępstwa w funkcji odbierania raportu od Palitzscha.

Wiele jednak sił (a słabszych - życie) kosztował nas ten tydzień.

Zawiadomienia o śmierci posyłane były do rodzin przez główną izbę pisarską tylko na wyraźne zlecenie wydziału politycznego, gdyż nie zawsze dla niemieckich władz policyjnych wygodna była wiadomość o śmierci więźnia, która przedostawała się na wolność. A to ze względu na trwające nieraz dochodzenie w jakiejś sprawie, gdy innych przetrzymywanych gdzieś w więzieniu szachowano tym, że mają w rękach więźnia X, który im mówi "całą prawdę".

Tak kończył się rok 1941. Rozpoczynał się 1942. Jeśli chodzi o obóz w Oświęcimiu - najpotworniejszy, jeśli chodzi o pracę naszej organizacji w obozie - najciekawszy, w którym doszliśmy do największych osiągnięć.

... a tak się składa, że z braku czasu przed nową decyzją, muszę pisać niemal telegraficznym stylem.

Nastąpiła raptownie zasadnicza zmiana kursu w stosunku do Żydów. Ku zdziwieniu wszystkich reszta Żydów została wycofana z SK i razem z napływającymi Żydami - "zugangami", ulokowana w dobrych warunkach przy pracy pod dachem: w pończoszarni, kartoflarni, jarzyniarni. Stali się nawet ważni w stosunku do nas. Nie podejrzewali, że jest w tym potworna, podstępna myśl. Chodziło o listy do rodzin, w których przez parę miesięcy pisali, że pracują w warsztatach i jest im bardzo dobrze. A że warsztaty te mieściły się w Oświęcimiu? Cóż znaczyła ta nieznana nazwa miasteczka dla Żydów we Francji, Czechach, Holandii, Grecji, gdzie płynęły te listy. Przecież nawet Polacy w Polsce mało jeszcze o Oświęcimiu wiedzieli i na razie do pobytu czyjegoś w Oświęcimiu podchodzili bardzo naiwnie. Naszych - polskich Żydów - kończono przeważnie w Treblince i Majdanku. Tu, do Oświęcimia ściągano Żydów z całej niemal Europy.

Po paru miesiącach pisania listów o dobrych warunkach, w jakich żyją, Żydów zabrano raptownie z różnych ich posad i rychło "wykończono". Tymczasem zaczęły płynąć, dziennie tysiącami, transporty Żydów z całej Europy, kierowane od razu do Birkenau, gdzie budowa baraków obozu (takiego, jaki powstał w pierwszej fazie) była już zakończona.

Zmienił się również od dawna stosunek do księży, lecz z innego powodu. Na podstawie jakiegoś wpływu Watykanu osiągniętego przez sojusznicze Włochy na władzach Rzeszy, księża zostali wywiezieni do Dachau. Pierwszy raz w początku roku 1941; drugi transport księży z Oświęcimia do Dachau nastąpił w lipcu 1942 roku. W Dachau księża podobno mieli, w porównaniu do warunków tutejszych, zupełnie możliwą egzystencję. W czasie pomiędzy tymi dwoma transportami

poznałem w Oświęcimiu paru dzielnych księży, m.in. ks. 87, który był kapelanem naszej organizacji.

Mieliśmy zakonspirowane od niepożądanych oczu nabożeństwa i spowiedzi. Komunikanty otrzymywaliśmy od duchowieństwa z wolności dzięki kontaktom z ludnością spoza obozu.

Początek roku 1942 to szybkie kończenie reszty jeńców bolszewickich. Spieszono z mordowaniem. Bloki były potrzebne na inny cel. Miała się tu rozpocząć nowa makabra. Trupy bolszewików, zabijanych w pracy przy budowie dróg, kopaniu rowów w rejonie Birkenau, przywożono wozami na apel - kilka wozów, załadowanych do pełna na każdorazowy apel. Niektórzy z jeńców po prostu zamierzali, gdyż do pracy, żeby się choć trochę rozgrzać, nie mieli sił.

Pewnego dnia podczas pracy wybuchł bunt, bolszewicy rzucili się na esesmanów i kapów. Bunt stłumiono krwawo, cały ten oddział został wystrzelany. Trupy, by wyliczyć się przed władzami na apelu, przywieziono w kilku rzutach rolwagami.

Po wykończeniu wszystkich (luty 1942 r.) z wyłączeniem kilku setek, o których już wspominałem, szybko rozebrano płot postawiony między naszym obozem a obozem jeńców. Jednocześnie budowano płot w innym kierunku i innym celu. Odgradzano od nas wysokim murem z betonowych płyt dziesięć bloków, żeby w nich ulokować kobiety. Tego jeszcze dotychczas nie było.

W początku swej egzystencji obóz pracował również i w niedziele. Później niedziele były niby wolne z tym, że przez pół dnia do obiadu więźniowie mieli zakaz opuszczania bloków (Blocksperr). Teraz, żeby zmniejszyć nasze możliwości porozumiewania się, odebrano nam w niedzielę jeszcze dwie godziny. Po obiedzie od 13.00 do 15.00 więzień musiał rozebrać się i spać. Blokowi sprawdzali sale. Spanie na blokach sprawdzał starszy obozu lub lagerkapo, bo więzień, który nie spał, marnował przecież zdrowie (dzika ironia) potrzebne dla Trzeciej Rzeszy, a więc był sabotażystą.

Dnia 18 stycznia 1942 r. z powodu braku miejsc w przepelnionych bunkrach zamknięto na noc do bunkra "ciemnicy" razem 45 więźniów. W chwilę po tym, wieczorem jeszcze, w podziemiach bloku 11 (nowa numeracja) rozległo się silne walenie w drzwi i wołanie na dozorcę esesmana, żeby otworzył. To ci więźniowie dusili się z braku powietrza, walcząc zębami, pięściami i nogami o dostęp do drzwi, gdzie przez szczeliny wpływało trochę powietrza. Po tej nocy na 45 zamkniętych było 21 trupów - uduszonych lub zabitych w walce. Z pozostałych, ślaniających się na nogach 24, wzięto do szpitala 9 dogorywających, a 15 poszło do SK, za to, że nie raczyli zginąć w ciemnicy. Wśród nich był również Konrad, były oberkapo stolarni. Świadkiem tej potwornej sceny przez całą noc był kapo "Jonny", odbywający w tym czasie karę w celi do stania za jakieś kombinacje z Polakami, jak to nazwały władze.

W lutym 1942 r. przyszło pismo do wydziału politycznego od władz partyjnych z Berlina zabraniające odpowiedzialności solidarnej i rozstrzeliwania dziesięciu więźniów za jednego zbiega - podobno na skutek takich samych represji zastosowanych gdzieś w obozach dla Niemców. W tym czasie oficjalnie też odczytano rozkaz zabraniający bicia więźnia (ciekawe, czy to na skutek naszych meldunków?). Od tego czasu nie było wielkich represji w stosunku do pozostałych za ucieczki więźniów. Odżyły więc możliwości ucieczek i my, jako organizacja, zaczęliśmy montować i przygotowywać się do wysłania raportu do Warszawy za pomocą zorganizowanej ucieczki.

Po bolszewikach zostały wszy i straszliwy tyfus syberyjski, na który zaczęli masowo chorować nasi koledzy. Tyfus opanowywał obóz i robił ogromne spustoszenie. Władze zacierały ręce, spokojnie przyglądając się temu sojusznikowi w wykańczaniu więźniów.

Wtedy zaczęliśmy w laboratorium HKB hodować wszy tyfusowe i puszczać je na płaszcze esesmanów, przy każdym raporcie lub odwiedzinach kontrolnych naszych bloków.

Na bloku 15 powieszono na zewnątrz skrzynkę pocztową i ogłoszono na wszystkich blokach, że do tej skrzynki należy wrzucać listy - z podpisami lub bez - wszelkie donosy o podsłuchanych rozmowach na blokach. Za istotny dla władz obozu donos więźniów miał być wyróżniony. Chciano zabezpieczyć się przed działalnością naszej organizacji. Sypnęły się anonimy i donosy. Wtedy my przez kpt. 88 otwieraliśmy skrzynkę co wieczór i przeglądaliśmy wrzucane meldunki, zanim o 22.00 otworzył ją Palitzsch. Niszczyliśmy niebezpieczne, niewygodne dla nas doniesienia i wrzucaliśmy sami donosy na osobniki szkodliwe. Zaczęła się walka papierowa.

Na blokach i w marszu do pracy kazano nam śpiewać niemieckie piosenki. Kilkakrotnie cały obóz musiał śpiewać podczas zbiórki na apelu.

W Brzezince budowano na gwałt komory gazowe, niektóre były już gotowe.

To, czego obawiałem się kiedyś - wprowadzenia do organizacji oficerów pod prawdziwymi nazwiskami - miało rację bytu, gdyż w razie podejrzeń, że tu jest organizacja, przede wszystkim wzięliby się za oficerów, którzy tu siedzieli. Pewnego dnia wzięli płk. 62 i zamknęli do bunkra celi więziennej. Prowadzili go codziennie na badanie do wydziału politycznego, skąd wracał błądy, ledwo trzymając się na nogach. Wtedy obawiałem się różnych komplikacji. Po przeszło dwóch tygodniach płk. 62 podszedł gdy byłem z kolegą 59 i powiedział: "No, powinszujecie, wypuścili. Pytali, czy jest jakaś organizacja w obozie." Żegnając się ze mną, bo był gong na spanie, powiedział: "Nie bój się, nie powiedziałem ani słowa. Jutro ci opowiem". Lecz nazajutrz zabrano płk. 62 i przeniesiono do Rajska, widocznie właśnie dlatego, by nie mógł nam nic powiedzieć.

Dzielny był płk. 62.

Przywieziono przeszło stu Czechów. Była to sama inteligencja - organizacja "Sokół". Ulokowano ich na naszej sali (blok 25, sala 7). Zaczęto ich kończyć w szybkim tempie. Wszedłem w kontakt organizacyjny z ich przedstawicielem 89 (żyje i jest w Pradze).

Po porozumieniu z płk. 64 oprowadzam mego przyjaciela, do którego mam wiele zaufania por. 29, po wszystkich naszych komórkach w obozie. Robię to na wypadek jakiegoś nieszczęścia ze mną. Por. 29 melduje płk. 64, że obeszliliśmy 42 komórki.

Któregoś dnia z obozu macierzystego Auschwitz I przenoszą do Birkenau (rozeszła się pogłoska, że na wykończenie) szereg Ślązaków (70-80) i między innymi mego przyjaciela 45. Od poprzedniego wieczora denerwował się, coś przeczuwając, drżał w nocy na całym ciele. Prosił mnie, by wiadomość o nim przekazać w przyszłości jego żonie i małemu synkowi, Dyzmie. Z Rajska już nie powrócił. Wszystkich Ślązaków z tej grupy tam wykończono. Niektórzy z nich siedzieli tu od początku obozu i myśleli, że się uchowają. Od tego czasu pozostali w obozie Ślązacy zdecydowanie zaczęli skłaniać się do pracy przeciwko Niemcom.

Pewnego ranka, odwiedzając kolegów z pracy, byłem na bloku 5 (nowa numeracja) i biegnąc szybko na apel przez pusty już korytarz, spotkałem się oko w oko z "Krwawym Alojzem", który poznał mnie, choć minął ponad rok. Zatrzymał się i krzyknął z jakimś zdziwieniem, a jednocześnie z niezrozumiałą dla mnie radością: "Was? Du lebst noch?", chwycił mnie za rękę i potrząsnął. Cóż miałem robić? Nie wrywałem się. Dziwny to był człowiek. Z krwiożerczych typów pierwszych czasów, do których i on należał, kilku już nie żyło.

Władze obozu wobec komisji odwiedzających obóz (wśród których zjawiali się jacyś panowie w cywilnych ubraniach) chciały ukazać obóz w możliwie najlepszym świetle. Prowadzono je na nowe bloki i tylko tam, gdzie były łóżka. Kuchnia w tym dniu gotowała dobry obiad. Orkiestra pięknie grała. Do obozu wkraczały po pracy tylko komanda zdrowe, silne i warsztatowcy. Reszta komand - "zugangi" i inne o wyglądzie pożałowania godnym - czekała w polu na wyjazd komisji,

która o obozie odnosiła wrażenie zupełnie miłe. Potrzeba pokazania obozu z lepszej strony zmusiła też władze, aby niektórych katów z pierwszych miesięcy, szczególnie tych niepopularnych, przenieść do innego obozu, m.in. Krankemanna i Sigruda. Po wsadzeniu ich do wagonów na stacji, esesmani dozorujący pracę więźniów na tejże stacji, dali do zrozumienia więźniom, że nic nie mają przeciwko temu, by więźniowie wzięli teraz na nich rewanż. Więźniom tego tylko było trzeba. Wtargnęli do wagonów i powiesili Krankemanna i Sigruda na ich własnych paskach. Esesmani w tym czasie - odwróceniem w inną stronę - nie przeszkadzali. Tak zginęli oprawcy.

Każdy świadek tylu morderstw sankcjonowanych przez władze obozu był niewygodny, choćby nim był kapo - Niemiec. Toteż i ci dwaj przestali być świadkami.

Organizacja stale rosła. Z kolegą 59 doprowadziliśmy do przystąpienia do nas płk. 23, ppłk. 24 oraz nowych ludzi: 90, 91, 92, 93, 94, 95. Wieloma kolegami opiekował się wspomniały człowiek, 44, oddał im też swoje jedzenie, sam bowiem zarabiał portretowaniem kogoś z władz i dostawał za to żywność dla siebie.

Transport z Warszawy (marzec 1942 r.) przywiózł znowu wielu moich znajomych i wiadomości o tym, co się robi u nas. Przyjechał mjr. 85, przecacny typ 96 z rekordem pobicia na Alei Szucha i na Pawiaku. Od nich się dowiedziałem, że płk. 1 znowu jest aresztowany i siedzi na Pawiaku. To płk. 1 skierował do mnie kolegę 96. Ulokowałem go przez 97, który do pracy naszej już przystąpił, u niego w komandzie.

Jednocześnie rozbudowaliśmy się w dwóch innych kierunkach, wciągając do pracy 98, 99 w biurze budowlanym oraz 100 i 101 w szpitalu. W tymże czasie zmarł prof. 69.

Jak na dwóch wielkich filarach organizacja opierała się na dwóch instytucjach: HKB i Arbeitsdienst. Gdy trzeba było kogoś ze swoich uratować z transportu i pod dach wsadzić, lub zabrać kogoś z komanda, gdzie już zaczynał podpadać czy wpadać w oko jakiemuś draniowi, albo gdy trzeba było wprowadzić do jakiegoś komanda nowy fragment pracy, wtedy się szło do dr. 2 i mówiło się: "Dziunku, jutro przyjdzie do ciebie nr..., którego musisz na jakiś czas przyjąć do szpitala". Załatwiało się to też przez dr. 102. Gdy to już nastąpiło, a w pojęciu kapo więzień był i tak zgubiony, gdyż ze szpitala mało kto powracał, wtedy się szło do 68 i mówiło się: "Daj kartkę na nr... do komanda X", lub czasami również z dobrym skutkiem do 103 - i sprawa była załatwiona.

W ten sposób przygotowywaliśmy również ucieczkę 25 i 44. Obaj pierwszorzędni ludzie i obaj siedzieli tu za broń. Sprawy mieli dowiedzione i byliby tu rozstrzelani na pewno. Kwestia tylko była w tym, jak szybko w wydziale politycznym oko Grabnera padnie na ich sprawy. Jakimś cudem dotychczas żyli. 44 malował portrety esesmanów i jego sprawę - możliwe, że dlatego - odkładano. Lecz długo tak trwać nie mogło.

Sposobem, który opisałem wyżej, w lutym 1942 roku przetruciliśmy 25 do komanda "Harmensee" - rybne stawy, kilka kilometrów od obozu, gdzie więźniowie pracowali przy rybach i na tamtym terenie mieszkali. Znacznie później, w maju, poszedł tam 44 i tegoż dnia, w którym zjawił się z wiadomością ode mnie dla 25, by nie czekał na mnie, tylko wiał, obaj "prysnęli". Zbiegli z domku przez okno, niosąc mój raport do Warszawy.

W królestwie Ericha Grönke, garbarni, po wpakowaniu do bunkra Konrada, komando rzeźbiarzy i wybranych stolarzy przeżywało kryzys. W trudnej sytuacji znalazł się zastępujący kapa Tadek Myszkowski. Miejsce łagodnego wzroku Konrada, lubującego się w pięknie sztuki, zajął złośliwy i przenikający wzrok żbika - Ericha. Wkrótce, chcąc zniszczyć to, co Konrad stworzył i nazywając egzystencję rzeźbiarni luksusem, Erich skasował rzeźbiarnię, każąc nam robić łyżki. I dał nam kapa "hulajnogę", złośliwego idiotę. Stolarzom trudniącym się wyrobem artystycznych szkatuł kazał robić szafy i najprostsze rzeczy. W łyżkarni robiliśmy po 5 łyżek dziennie, później po 7, a wreszcie po 12.

W tym czasie pracował tu były poseł 104. Do organizacji wtedy wciągnąłem kolegów 105, 106, 107, byłego żołnierza mojej partyzantki (1939 r.) - 108, oraz ppor. 109, 110, 111. Spośród malujących robione przez nas zabawki, gdzie poprzednio (krótko przed bunkrem) pracował płk. 62, wszedł do naszej organizacji - przekazany mi przez zwolnionego kpt.8 - pdch. 112.

Opanowaliśmy już wszystkie komanda, lecz do jednego nie mogliśmy się dostać. Wreszcie w lutym (1942 r.) będąc "kommandiert" i wracając późno do obozu, po powrocie na blok dowiedziałem się od 61, że był 68. "Funkstelle" potrzebował dwóch kartografów - kreślarzy map. 61 podał numer swój i naszego byłego komandora 113. Po paru dniach okazało się, że komandorowi 113 trzęsie się ręka, więc przenieśliśmy go do komanda kartoflarni esesmańskiej, gdzie miał zapewnione dobre jedzenie, a na jego miejsce do "Funkstelle" wkręciłem się ja (po porozumieniu się w snycerni z 52).

Pracowaliśmy z 61 nad mapami parę tygodni. W tym czasie - po zorientowaniu się w sytuacji dzięki 77 - udało mi się wreszcie stąd, gdzie prócz pracy esesmanów przy stacji, odbywały się kursy, dostać brakujące nam lampy i inne części, na które polowaliśmy od dawna bez rezultatu.

Z części zapasowych wymiennych, do których mieli dostęp nasi więźniowie, po siedmiu miesiącach mieliśmy własną stację nadawczą, przy której pracował ppor. 4, w miejscu gdzie bardzo niechętnie wchodzili esesmani.

Jesienią 1942 roku przydługi nieco język jednego z kolegów był przyczyną tego, że musieliśmy stację rozmontować. Nadawaliśmy audycje powtarzane przez inne stacje, wiadomości dotyczące się ilości "zugangów" i śmierci w obozie, stanu i warunków, w jakich znajdowali się więźniowie. Władze się wściekały, szukały, zrywały podłogi w warsztatach na "Industriehof I", w magazynach. Ponieważ nadawaliśmy rzadko, w rozmaitych godzinach, wykryć nas było trudno. Władze wreszcie zrezygnowały z poszukiwań w samym obozie, przenosząc takowe na tereny poza obóz, w rejon Oświęcimia. Podawane dokładne wiadomości z obozu tłumaczyli sobie kontaktem naszym z organizacją na zewnątrz przez cywilnych robotników. Szukano w Gemeinschaftslagrze.

A kontakt przez cywilną ludność rzeczywiście był. Droga do nas szła przez stykanie się z ludnością cywilną (wśród której byli członkowie organizacji na zewnątrz) w Brzeszczach, szła i Gemeinschaftslagrem przez tych, co pracowali u nas, będąc pozornie naszą władzą. Droga szła też na Bunę przez kontakt z pracownikami cywilnymi.

W ten sposób przekazałem "na wolność" również wyniesiony z "Funkstelle" cały plik niemieckich skrótów szyfrowych tzw. "Verkehrsabkürzungen".

Z wolności dostawaliśmy lekarstwa, zastrzyki przeciwtyfusowe. Pracowali przy tym z jednej strony dr. 2, z drugiej - mój kolega - 59. Był to ciekawy typ. Robił wszystko "na wesoło" i wszystko mu się udawało. Ratował, karmił u siebie na sali i w garbarni kilku kolegów, zanim ich nie podreperował tak, że dalej mogli sobie sami dawać radę. Stale kogoś przygarniał do garbarni. Szedł na całego, odważnie, z pewną nachalnością tam, gdzie inny by wsiąkł. Wysoki, szeroki w barach, z rozjaśnioną twarzą i wielkim sercem.

Kiedys przyjechał z jakąś komisją Heinrich Himmler, a 59 w tym czasie był sztabowym na bloku 6 (stara numeracja) i był pouczony, jak ma składać raport Himmlerowi, przed którym się wszystko trzęsło. Gdy nastąpił ten uroczysty moment i Himmler wszedł na salę, 59 stanął przed nim i... nic nie powiedział. A potem roześmiał się i Himmler również się roześmiał. Może uratowało go to, że z Himmlerem byli dwaj jacyś cywilni panowie, a takie łagodne obejście się z więźniem robiło mu potrzebną reklamę stosunku do więźnia.

Innym razem, w garbarni, 59, widząc przez okno na dziedzińcu komisję, która zwiedzała warsztaty i kierowała się do drzwi, przez które miała wejść do wielkiej hali, gdzie pracowali garbarze,

chwycił wąż gumowy i niby robiąc porządek, oblewając ściany i podłogę, oblał specjalnie i dokładnie komisję złożoną z niemieckich oficerów. Udając ogromnie przerażonego rzucił węża na ziemię, stanął na baczność i... znowu nic mu nie było.

Kiedy kolumny więźniów wracały do obozu, zatrwożone posępnymi myślami, wtedy raptem 59 donośnym głosem wydawał komendy polskie, licząc głośno: raz, dwa, trzy...

Miał na pewno też i wady, lecz któż ich nie ma. W każdym razie miał stale wielu przyjaciół i zwolenników wokół siebie. Zaimponował im i wielu mógłby poprowadzić.

Ostatnie zwolnienia w 1942 roku były w marcu, przy czym zwolniono paru kolegów z orkiestry, gdyż komendant, który, jak wspominałem, lubił muzykę, wyrobił to sobie u władz w Berlinie, że będzie mógł co roku paru muzyków zwalniać z orkiestry. Orkiestrze zapowiedziano: kto będzie się starał grać dobrze, będzie zwolniony, więc orkiestra grała pięknie. Komendant upajał się muzyką. Co roku jednak zwalniano tych, co w tej orkiestrze najmniej byli potrzebni.

Po marcu, przez cały rok 1942 zwolnień nie było ze względu na wielce niepożądane przebywanie na wolności jakichkolwiek świadków Oświęcimia, w szczególności tego, co się w Oświęcimiu zaczęło dziać w tym roku.

Przywieziono do Oświęcimia, do części obozu odgradzonej od nas wysokim murem - pierwsze kobiety: prostytutki i zbrodniarki z więzień niemieckich i mianowano je aparatem wychowawczym dla kobiet, które wkrótce tu mieli przywieźć, dla kobiet uczciwych - "przestępczyń politycznych".

W Brzezince codziennie w gotowych już komorach gazowych rozpoczęły się pierwsze masowe zagazowania ludzi.

19 marca 1942 roku przywieźli 120 kobiet, Polek. Uśmiechały się do więźniów, którzy wchodzili w kolumnach do obozu. Po dochodzeniu, a może specjalnym jakimś katowaniu, czego nikt stwierdzić nie mógł, pod wieczór tegoż dnia, wywieziono w wozach do krematorium porżnięte na kawałki niektóre ciała z poobcinanymi głowami, rękami, piersiami, okaleczone trupy.

Stare krematorium nie podołało spalać trupy z naszego obozu centralnego i jeszcze trupy z Rajska (komin zbudowany w 1940 roku pękł i rozwalił się od ciągłych oparów z ciał. Zbudowano nowy). Więc trupy grzebano w szerokich rowach, używając do tego komand złożonych z Żydów. Budowano na gwałt dwa nowe krematoria na elektryczne spalanie w Birkenau.

Plany robiono w biurze budowlanym. Ze słów kolegów z tego biura: każde krematorium ma osiem stanowisk, na które można wkładać po dwa trupy. Spalanie elektryczne trzyminutowe. Plany wysłano do Berlina. Po zatwierdzeniu wróciły z nakazem ukończenia początkowo do pierwszego lutego, później termin przesunięto do pierwszego marca - i w marcu były gotowe. Teraz fabryka zaczęła pracować całą mocą. Przyszedł rozkaz zniszczenia wszelkich śladów dotychczasowych morderstw. Zaczęto więc odgrzebywać zasypane w rowach trupy, których było dziesiątki tysięcy.

Trupy były już w rozkładzie. W pobliżu otwieranych tych wielkich wspólnych grobów panował straszny zaduch. Niektóre, zasypane dawniej, odgrzebywano pracując w maskach gazowych. Ogrom pracy w całości tego piekła na ziemi był olbrzymi. Nowe transporty gazowano w tempie ponad tysiąc ofiar dziennie. Trupy spalano w nowych krematoriach.

Do wygrzebywania trupów z rowów zastosowano dźwigi, które wbijały wielkie żelazne szpony w rozkładające się trupy. Miejscami tryskała w górę, małymi fontannami, cuchnąca ropa. Wyrwane przez dźwigi z kłębowisk ciał zlepki trupów i wydobywane ręcznie przenoszono na ogromne stosy, które układano na przemian z drzewa i resztek ludzi. Stosy te podpalano. Czasami nie żałowano nawet benzyny na rozpalenie. Stosy płonęły dniami i nocami przez dwa i pół

miesiąca, rozprzestrzeniając wokół Oświęcimia swąd palonego mięsa i kości ludzkich.

Komanda pracujące przy tej pracy składały się wyłącznie z Żydów i żyły tylko dwa tygodnie. Po tym terminie gazowano je i ciała ich spalali inni Żydzi, nowo przybyli, zespoleni w nowe komanda pracy. Ci nie wiedzieli jeszcze, że pozostały im tylko dwa tygodnie życia, mieli jeszcze nadzieję na dalsze życie.

Kwitły pięknie kasztany i jabłonie... Szczególnie w tym okresie, wiosną, najciężej się odczuwało niewolę. Gdy maszerując w kolumnie wzbijającej słupy kurzu po szarej szosie do garbarni, widziało się piękny wschód słońca, różowiejące ślicznie kwiaty w sadach i na drzewach przy szosie, lub gdy w drodze powrotnej spotykało się spacerujące młode pary, wchłaniające czar wiosny, albo kobiety spokojnie wożące w wózkach swe dzieci, wtedy rodziła się myśl, kołatająca się niespokojnie po głowie, gdzieś się zatracająca, to znów szukająca uparcie jakiegoś wyjścia lub odpowiedzi na pytanie: "Czy wszyscy jesteśmy ludźmi?" I ci przechadzający się wśród kwiatów i tamci, idący do komór gazowych? I ci, maszerujący stale koło nas z bagnetami, i my, od paru lat straceńcy?

Przywieźli pierwsze większe transporty kobiet i ulokowali je na odgrodzonych blokach (numery 1-10, nowa numeracja). Wkrótce zaczęły przychodzić transporty kobiet jedne po drugich. Przyjechały Niemki, Żydówki i Polki. Wszystkie je dano pod dozór aparatu zmontowanego z elementu przestępczego - prostytutek i zbrodniarek. Za wyjątkiem Niemek wszystkim obstrzygano włosy na głowie i ciele. Czynność tę wykonywali nasi fryzjerzy - mężczyźni. Ciekawość fryzjerów, którzy spragnieni byli kobiet i sensacja zmieniła się szybko w zmęczenie, przez stale nie zaspokajane żądze i niesmak przesytu.

Kobiety znalazły się w warunkach takich samych, jak więźniowie mężczyźni. Nie zaznały jednak metod wykańczania ludzi aż tak szybkich jak my w pierwszym roku istnienia obozu, bo też i u nas, w męskim obozie, już się metody zmieniły. Lecz tak samo kończył je w polu deszcz, chłód, praca, do której nie były przyzwyczajone, brak możliwości wypoczynku i stójki na apelach.

Codziennie spotykaliśmy te same kolumny kobiet, mijaliśmy się, dążąc w różne kierunki do pracy. Znało się już z widzenia niektóre sylwetki, głowy, twarzyczki. Początkowo trzymające się dzielnie niewiasty, wkrótce zatraciły blask oczu, uśmiech buzi i rzeźkość ruchów. Uśmiechały się jeszcze niektóre, lecz coraz smutniej. Twarze szarzały, z oczu wyzierał niemal głód zwierzęcy - powoli stawały się "muzułmankami". Zaczęliśmy coraz częściej dostrzegać w ich piątkach brak znajomych postaci.

Kolumny kobiet idące na wykańczanie się w pracy eskortowali też niby - ludzie ubrani w bohaterskie mundury żołnierzy niemieckich i cała sfera psów. W pracy, w polu, setkę kobiet pilnowało dwóch lub czasem jeden "bohater" z kilkoma psami. Kobiety były osłabione i o ucieczce mogły tylko marzyć.

Od wiosny 1942 r. dziwił nas widok przyjmowanych chętnie na HKB wszystkich muzułmanów, stających jeszcze starym zwyczajem do przeglądu w grupce pod kuchnią. Później już nikt nie stawał w grupce, wszyscy szli od razu do HKB na blok 28 (nowa numeracja), gdzie bez ceregieli, chętnie ich przyjmowano.

- Poprawiło się w obozie - mówili między sobą więźniowie - nie ma bicia, do szpitala przyjmują...

I rzeczywiście, w szpitalu na niektórych łózkach leżało po kilku chorych, a jednak nadal chętnie przyjmowano. Codziennie tylko chodził esesman Josef Klehr i zapisywał numery słabszych więźniów. Myślano, że dostaną dodatkową porcję na podtrzymanie. Zapisane numery potem wyczytywano i więźniowie ci szli na blok 20 (nowa numeracja). Wkrótce można było w codziennych stosach trupów leżących przed szpitalem widzieć te same numery (każdy więzień

przychodzący do szpitala miał wielkich rozmiarów numer na piersi, wypisany na skórze, chemicznym ołówkiem, żeby nie było kłopotu z ustaleniem tożsamości po śmierci, przy sporządzaniu codziennej długiej listy zmarłych i zamordowanych).

Kończono ich fenolem - to nowy sposób.

Tak, obraz Oświęcimia zmienił się radykalnie. Teraz już nie było widać (przynajmniej w obrębie samego obozu macierzystego) rozwalania głów łopatą lub zabijania przez wbijanie deski w wnętrzności lub też zgniatanie leżącemu bez sił więźniowi klatki piersiowej; nie było pękających żeber pod ciężarem ciała zwyrodniałych oprawców wskakujących ciężkimi butami na piersi więźnia. Teraz cicho i spokojnie, rozebrani do naga więźniowie, numery, zapisane w HKB przez niemieckiego lekarza z SS, stali na korytarzu bloku 20 (nowa numeracja) i czekali cierpliwie na swoją kolej. Wchodzili pojedynczo za kotarę do łaźni, gdzie sadzano ich na krzesła. Dwóch oprawców wychylało im ramiona do tyłu, wypinając klatkę piersiową naprzód i Klehr robił zastrzyk fenolu długą igłą wprost w serce.

Początkowo stosowano zastrzyk dożylny, lecz delikwent po tym żył zbyt długo - parę minut - więc dla oszczędności czasu zmieniono system i robiono zastrzyk w serce; więzień żył wtedy tylko parę sekund. Trzepoczącego się półtrupa wrzucano do sąsiadującej za ścianą ubikacji i wchodził następny numer. Tak, ten sposób mordowania był o wiele inteligentniejszy, a jednak potworny w swych kulisach. Wszyscy stojący na korytarzu wiedzieli, co ich czeka. Przechodząc koło szeregu widziało się znajomych i mówiło się im: "Serwus Jasiu" lub "cześć Stasiu, dziś ty, a jutro może ja".

Niekoniecznie byli to poważnie chorzy lub wycieńczeni. Niektórzy trafiali tu tylko dlatego, że się nie podobali Klehrowi i numer ich został zapisany na listę do "szpili"; wyjścia nie było.

Oprawcy też już byli inni, niż na początku obozu; nie wiem jednak, czy można by się uchylać od nazwania ich zwyrodnialcami. Klehr mordował igłą z ogromnym zapalem, obłądnym wzrokiem i sadystycznym uśmiechem, stawiając kreskę na ścianie po każdym zabójstwie ofiary. Za moich czasów doprowadził listę zabitych przez siebie do czterestu tysięcy i chwalił się tym codziennie z ogromnym zadowoleniem, jak myśliwy opowiadający o swoich trofeach po polowaniu.

Trochę mniej, bo koło czterech tysięcy więźniów wykończył z wielką hańbą dla siebie więzień Pańszczyk, zgłaszając się na ochotnika do wbijania zastrzyków w serca kolegów.

Klehr miał wypadek. Gdy pewnego razu po załatwieniu wszystkich z kolejki do zastrzyku wszedł jak zwykle do ubikacji, gdzie rzucano jedne na drugie konające ciała więźniów, by napawać się widokiem swego dzieła z dnia bieżącego, jeden z "trupów" ożył (widocznie była jakaś niedokładność w robocie i mało dostał fenolu), wstał i chwiejącym się krokiem, po trupach kolegów, kołysząc się jak pijany, zaczął się zbliżać do Klehra, mówiąc: "Du hast mir zu wenig gegeben - gib mir noch etwas!"

Klehr zbladł, lecz nie tracąc panowania nad sobą, rzucił się na niego. Tu opadła maska pozornej kultury kata - wyciągnął pistolet i bez wystrzału, bo nie chciał robić hałasu, wykończył swą ofiarę, bijąc po głowie kolbą. Sztubowi w HKB codziennie podawali raporty o zmarłych na swej sali. Zdarzył się raz wypadek (przynajmniej ja wiem o jednym, mogło ich być więcej), że sztubowy się omylił i podał jako zmarły numer, który żył jeszcze, nie podając numeru, który zmarł naprawdę. Raport poszedł do głównej izby pisarskiej. Z obawy przed usunięciem ze stanowiska i dla własnego spokoju, zbrodniarz ten kazał wstać choremu, który był "zugangiem" nie orientującym się o co chodzi i stanąć w kolejce do zastrzyku Klehra. Klehrowi jeden człowiek więcej nie robił różnicy. W ten sposób sztubowy wyrównał swą omyłkę, bo i ten, co umarł u niego na sali, i ten, co szpilę dostał od Klehra, obaj byli już trupami. Raport się zgadzał, bo numer zmarłego na sali został dopisany.

Wielu jednak mieliśmy sztubowych w szpitalu, którzy byli bardzo dobrymi Polakami.

Dwa razy była zmiana numerów potrzebna dla nas, która gładko i bez krzywdy niczyjej została dokonana. W czasie wielkiej śmiertelności z powodu tyfusu, gdy trupy wyrzucano co dzień z kilku bloków masami, dwóch naszych ludzi, wprowadzonych na blok szpitalny, a którzy tu sprawy mieli poważne, uratowaliśmy, pisząc ich numery na trupach, im zaś dając numery trupów, pilnując się przy tym, by sprawy zmarłych numerów nie były w wydziale politycznym zbyt poważne. Tak zaopatrzonych w zmienione naraz dane metryczne, nazwiska, imiona (podane przez kolegów z głównej izby pisarskiej), udało nam się ulokować w Birkenau wprost ze szpitala. Byli oni tu jeszcze nie znani, nowe numery, zugangi - sprawa się zatarła i całkowicie udało.

Organizacja rozwijała się dalej. Zaproponowałem płk. 64, by na dowódcę bojowego całości, na wypadek akcji, wyznaczył mego przyjaciela mjr. 85, któremu niegdyś w pracy konspiracyjnej w 1940 roku takie stanowisko przewidywałem w Warszawie. Płk. 64 chętnie się zgodził. "Bohdan" znał tu teren wokoło, niegdyś, przed laty, dowodził baterią 5 DAK.

Zdecydowałem wtedy, a płk. 64 projekt aprobował, by rozwiązywać plan ewentualnej akcji w zależności od zadań do wykonania, z których zasadniczych naliczyliśmy cztery. A to ze względu na to, że plan opanowania obozu, do którego - zgodnie z zadaniem końcowym tutejszej pracy - chcieliśmy przygotować zorganizowane oddziały, musieliśmy rozwiązywać dwojako. Inaczej wtedy, gdy byłby to dzień pracy, inaczej w nocy lub w święto, gdy byliśmy na blokach. Także z powodu, że na blokach wtedy jeszcze nie mieszkaliśmy wszyscy całymi komandami. Inne więc wypadały kontakty, powiązania, inni dowódcy w pracy, a inni na blokach. Dlatego więc plan trzeba było oprzeć na zarysie zasadniczych zadań, dla wykonania których w każdym wypadku należało akcję opracować osobno.

Wyłoniła się wtedy potrzeba obsadzenia czterech dowódczych stanowisk. Na jedno z nich zaproponowałem więc płk. 60, na drugie - kpt. 11, na trzecie ppor. 61 proponował porucznika 115, na czwarte - kpt. 116. Płk. 64 i mjr. 85 zgodzili się z nami.

Wreszcie przy pomocy kolegi 59 i po dłuższych rozmowach o silnym zaakcentowaniu potrzeby zgody i podkreśleniu konieczności wytrwania w milczeniu, jeśli nawet ktoś z nas się znajdzie w bunkrze i badany będzie przez katów wydziału politycznego, wchodzi do nas i podporządkowuje się płk. 23 i ppłk. 24.

Pierwszorzędny Polak - Ślązak i mój przyjaciel, 76, na swoim odcinku pracuje bardzo wydajnie, zaopatrując nasze szeregi w bieliznę, umundurowanie, prześcieradła, koce ze swego magazynu. Daje pracę wielu naszym kolegom, między innymi koledze z pracy w Warszawie por. 117 i 39.

Dochodzi do organizacji naszej kolega 118, wachm. 119. Przyjeżdża z transportem z Krakowa dawny kolega z pracy w Warszawie dr. 120.

Pod Krakowem wykryto wtedy fabrykę bomb. Ludzi tych przywieźli i kończyli szybko. Dr. 120 jakoś się wykręcił, wyjechał transportem do innego obozu.

Czasami władze obozu podsyłały nam szpicli. Jakiś volksdeutsch udający Polaka, który poszedł na pracę dla Grabnera, chcąc wykryć, czy u nas czegoś nie ma, zanim przyszedł do nas lub zaraz po przyjściu był anonsowany przez naszych kolegów, mających styczność z esesmanami. Pan taki dostawał od nas zdobyte w szpitalu kropelki olejku krotonowego, które wpuszczono mu z ręcznic w jedzenie i wkrótce po tym miał taki rozstrój żołądka, że leciał szybko w HKB po jakies lekarstwo. Tam, uprzedzeni o tym draniu (i zanotowaniu jego numeru), gdy przychodził, w nieszkodliwym lekarstwie dawali mu znowu parę kropeł krotonowego olejku. Po paru dniach był tak osłabiony, że znów szedł do HKB, gdzie leżącemu robiono niby konieczny zastrzyk, zresztą sam w sobie nieszkodliwy, gdyby nie to, że zrobiony zardzewiała igłą.

W dwóch innych przypadkach sprawa miała jeszcze więcej posmaku sensacji. W pierwszym, gdy pan taki leżał już w HKB, prześwietlono mu płuca i zdjęcie wykazało, że ma otwartą gruźlicę (nie było to zdjęcie jego płuc). Klehrowi, nazajutrz, gdy obchodził sale, wskazano na niego jako TBC. To wystarczyło, zapisał jego numer. Pan ten nic nie wiedział, lecz gdy prowadzono go już na szpilę, zaczął się rzucać, grożąc Grabnerem. Drugi przypadek był prawie identyczny z tym, że był to nowy w obozie człowiek i idąc na szpilę nie wiedział nic i nikogo Grabnerem nie straszył. Został niespodzianie skończony igiełką.

Wkrótce jednak powstał wielki rumor, gdy Grabner od dłuższego czasu nie miał od nich raportów, a szukając, gdzie są, doszedł, że dawno przez komin wyszli dymkiem, a co więcej, że skończył ich jego człowiek, Klehr. Było dochodzenie w całym szpitalu, jak to tych dwóch tak szybko załatwiono. Od tego czasu Klehr, zanim szpilował, musiał listę ofiar wysłać do Grabnera, wśród których tamten uważnie szperał, czy nie znajdzie kogoś w spisie swoich pracowników.

Tak nadeszła Wielkanoc.

Ja mieszkałem nadal na bloku 25, sala 7. Zestawiając stan sali ze stanem z Bożego Narodzenia trzeba było stwierdzić, że wielu przyjaciół nie było już wśród żywych. Wykańczał nas straszliwie tyfus. Wokół wszyscy chorowali. Tylko kilku z nas, starych przyjaciół, jeszcze się trzymało. Kto szedł na tyfus, rzadko powracał. Lecz i nasze, hodowane weszki, robiły swoje - w koszarach esesmanów też wybuchł tyfus i epidemia wzrastała. Lekarze z trudem dawali sobie radę z tyfusem syberyjskim, organizmy esesmanów - również. Szeregi SS ponosiły coraz większe straty. Odsyłano ich do szpitala w Katowicach, gdzie jednak esesmani przeważnie umierali.

W czerwcu odchodził transport z Oświęcimia do Mauthausen. Transportem tym pojechał (choćby mógł być reklamowany) płk. 64, który miał zamiar, jak mówił, próbować w drodze ucieczki (co zresztą nie doszło do skutku). Tymże transportem wyjechali też pdch. 15, wachm. 119 i ppor. 67. Przed wyjazdem płk. 64 radził mi, żebym na jego miejsce zaproponował wejście płk. 121, co też zrobiłem. Płk. 121 zgodził się, wszedł do nas i pracowaliśmy nadal zgodnie. Prócz tego wszedł do nas płk. 122. W tym czasie rozstrzelany został płk. 23 i były poseł 70.

Po wybudowaniu w Birkenau dwóch pierwszych krematoriów na elektryczne spalanie, rozpoczęto budowę dwóch następnych, podobnych. Tymczasem pierwsze już pracowały z całą mocą. A transporty wciąż szły i szły...

Część więźniów przywożono do nas, do obozu i tu ich ewidencjonowano, nadając numery, które sięgały już ponad 40 tysięcy, lecz ogromna większość transportów szła wprost do Brzezinki, gdzie ludzi bez ewidencjonowania przerabiano szybko na dym i popiół. Przeciętnie dziennie spalano w tym czasie około tysiąca ciał.

Kto jechał i dlaczego jechał wprost w paszczę śmierci?

Jechali Żydzi z Czech, Francji, Holandii i innych krajów Europy. Jechali sami, bez eskorty, aż dopiero na kilkanaście kilometrów przed Oświęcimiem obstawiano wagony, przywożąc ich na bocznicę, pod Brzezinkę.

Dlaczego jechali? Miałem okazję kilka razy rozmawiać z Żydami z Francji i raz, z rzadko tu spotykanym, transportem z Polski. Był to transport Żydów z Białegostoku i Grodna. Z tego, co mówili zgodnie, można było wnioskować, że wyjeżdżali na skutek ogłoszeń urzędowych w różnych miastach i państwach pod zaborem niemieckim, z których wynikało, że tylko ci Żydzi będą mogli jeszcze żyć, którzy pojedą do pracy w Trzeciej Rzeszy. Więc jechali do pracy w Rzeszy. Tym bardziej, że zachęcały ich listy pisane przez Żydów z Oświęcimia, a pewno i z innych obozów, że pracują w dobrych warunkach i dobrze im się powodzi.

Mieli prawo zabrać podręczny bagaż - tyle, co sami uniosą. Więc brali jedną, dwie walizki, w których starali się przewieźć cały swój majątek, sprzedając nieruchomości i ruchomości i kupując jakieś małe wartościowe przedmioty, na przykład brylanty, złoto, złote dolary...

Transporty kolejowe wiozące codziennie około tysiąca ludzi kończyły swoją trasę na bocznicę. Pociągi podstawiano pod rampy i wyładowywano zawartość. Ciekawe, jakie myśli snuły się pod czaszkami esesmanów?

W wagonach było wiele kobiet i dzieci. Czasami dzieci w kołyskach. Tu mieli skończyć swe życie wszyscy naraz.

Wieźli ich jak stado zwierząt na rzeź.

Na razie, niczego nie przeczuwając - na rozkaz - pasażerowie wysiadali na rampę. Dla uniknięcia kłopotliwych scen zachowywano wobec nich względną grzeczność. Kazano odłożyć żywność na jedną przymę, na drugą - wszystkie rzeczy. Mówiono im, że rzeczy zostaną zwrócone. U pasażerów rodził się pierwszy niepokój, czy im rzeczy nie zginą, czy odnajdą swoje, czy im nie zamienią walizek...

Później dzielono na grupy. Mężczyźni i chłopcy ponad 13-letni szli do jednej grupy; kobiety z dziećmi - do drugiej. Pod pretekstem konieczności wykąpania kazano im wszystkim rozbierać się w dwóch osobnych grupach, zachowując pozory poczucia wstydlivosti. Ubrania układały obie grupy również w dwa wielkie stosy, celem niby przekazania do dezynfekcji. Niepokój był teraz już wyraźniejszy, czy im nie poginą ubrania, czy nie zamienią bielizny.

Potem setkami, osobno kobiety z dziećmi, osobno mężczyźni, szli do baraków, które miały być łaźniami (były kamerami gazowymi!) Okna były tylko z zewnątrz - fikcyjne, wewnątrz był mur. Po zamknięciu uszczelnionych drzwi wewnątrz odbywał się masowy mord.

Z balkoniku - krużganku esesman w masce gazowej zrzucał na głowy zebranego pod nim tłumu gaz. Stosowano gaz dwóch rodzajów: w butlach, które się rozbijało lub w postaci krążków, który po otwarciu hermetycznych puszek i wyrzuceniu go przez esesmana w gumowych rękawiczkach, przechodził w stan lotny wypełniając komorę gazową i szybko zabijając zebranych tu ludzi. Trwało to kilka minut. Czekano dziesięć. Następnie wietrzono, otwierano drzwi komór po przeciwnej stronie od rampy i komanda złożone z Żydów przewoziły ciepłe jeszcze ciała taczkami i wagonetkami do pobliskich krematoriów, gdzie trupy szybko spalano.

Tymczasem szły do komór następne setki. W przyszłości wprowadzono ulepszenia techniczne w tej rzeźni dla ludzi, po zastosowaniu których proces odbywał się jeszcze szybciej i sprawniej.

Wszystko, co pozostawało po ludziach: piramidy jedzenia, walizki, ubrania, bielizna - zasadniczo miało być również spalone, lecz to była teoria. W praktyce bielizna i ubrania po wydezynfekowaniu szły do Bekleidungskammer, buty do sparowania w garbarni. Walizki przywożono do garbarni, żeby je spalić. Lecz i ze stosów w Birkenau, i po drodze do garbarni, esesmani i kapowie wybierali co lepsze sobie, mówiąc, że Oświęcim stał się "kanadą". Termin ten się przyjął i odtąd wszystko, co pochodziło po zagazowanych ludziach nazywano "kanadą".

Była więc "kanada" jadalna, z której płynęły do obozu nie widziane tu dotychczas różne smakołyki: figi, daktyle, cytryny, pomarańcze, czekolady, holenderskie serki, masło, cukier, ciastka, itp.

Zasadniczo nie wolno było mieć cokolwiek z "kanady", ani tym bardziej wnosić do obozu. Na bramie były stałe rewizje. Winny posiadania czegoś z "kanady" szedł do bunkra i najczęściej nie wracał już wcale. Jednak stopień ryzyka życia w Oświęcimiu różnił się od ryzyka na ziemi i był stale tak wysoki, że nic nie znaczyło ryzykować życiem dla byle jakiej - sprawiającej radość

- drobnostki. Urobiona tutaj jakaś nowa psychika wymagała trochę radości opłaconej właśnie ogromem ryzyka.

Więc ciągnięto stale ze sobą wszystko, co do jedzenia dało się zagarnąć gdzieś w pobliskiej "kanadzie". Idąc z pracy do lagru, przechodzono z dreszczykiem przez rewizje w bramie.

Inną "kanadą" była bielizna, odzież i buty. Wkrótce też u kapów i esesmanów można było widzieć najlepszą bieliznę, pochodzącą często ze stolicy Francji, jedwabne koszule, tudzież spodenki oraz luksusowe buty. A poza tym mydła, najlepsze perfumy, żyłетки, pędzle i kosmetyki damskie. Trudno tu wyliczyć wszystko to, co dobrze sytuowana kobieta lub mężczyzna chcieli ze sobą zabrać.

"Zorganizować" coś z "kanady" stało się niemal powszechnym dążeniem, a dla niektórych treścią dnia. Esesmani myszkowali w walizkach i portfelach, szukając pieniędzy, złota, brylantów. Oświęcim stał się wkrótce źródłem, skąd jak strumyczkami zaczęły odpływać brylanty i złoto. I po jakimś czasie na drogach można było widzieć żandarmerię rewidującą wszystkich, zatrzymującą również auta wojskowe. Esesmani i kapowie w rewidowaniu rzeczy nie mieli jednak tyle sprytu co więźniowie, którym czasami udawało się znaleźć jakiś brylant w obcasie buta, w zagłębieniach walizki, torebki, w paście do zębów, w tubce z kremem, pomadce do butów i wszędzie tam, gdzie tego najmniej można się było spodziewać. Robili to skrycie i w sprzyjających tylko okolicznościach, gdy mogli dopaść jakiś przedmiot po zagazowanych ludziach.

Esesmani kryli się również z tym jeden przed drugim, lecz że sam komendant lagru przyjeżdżał do Erika do garbarni, gdzie przywozili autami walizki pełne rzeczy już posegregowanych, wartościowych przedmiotów - pierścieni, zegarków, perfum, pieniędzy, itp. - więc przez palce musiał patrzeć na wyczyny innych, podległych mu esesmanów, sam się obawiając przykrego meldunku.

Więźniowie mający dostęp do którejkolwiek "kanady", stawali się szybko uprzywilejowaną klasą w obozie. Handlowali wszystkim, lecz nie trzeba sądzić, że w obozie był chaos i pod wpływem złota nastąpiło większe jakiś rozprężenie.

Śmierć - pomimo wielkiego spoufalenia się z nami, wciąż jednak była uważana za karę, więc cały handel ściśle był tajony i na zewnątrz starano się niczym nie zdradzić.

Kwitły i pachniały pięknie jaśminy, gdy w tym czasie rozstrzelano (zamordowano strzałem w tył głowy) pierwszorzędnego chłopca, st. uł. 123. Zostawił po sobie w mojej pamięci sylwetkę o dzielnej postawie i wesołej twarzy.

Wkrótce po nim rozstrzelany został (tym samym sposobem) jeden z najserdeczniejszych moich przyjaciół, dzielny oficer 13 p. uł., por. 29. Przekazał mi w spadku wiadomość o miejscu ukrycia w 1939 roku sztandarów dwóch pułków ułańskich (4 i 13).

Przesyłam znowu raport do Warszawy przez pdch. 112, który z trzema kolegami zmontował wspaniałą ucieczkę z obozu.

Byłem kiedyś dawno na filmie "10 z Pawiaka". Śmiem sądzić, że ucieczka czterech więźniów z Oświęcimia, najlepszym w obozie autem komendanta lagru, po przebraniu się w mundury oficerów SS, na tle warunków tego piekła, może być dla filmu kiedyś tematem naprawdę doskonałym.

Główna wartownia (Hauptwache) prezentowała broń.

Lagerführer Hans Aumeier, spiesząc konno z Buny na wieczorny apel, spotkał auto z oficerami w drodze. Salutował im grzecznie, dziwiąc się nieco, że szofer prowadzi wóz na stary przejazd kolejowy, już teraz zamknięty,. Auto się jednak szybko cofnęło i przejechało tor w innym miejscu.

Zwalił to na wódkę i słabą pamięć kierowcy.

Głowy mieli mocne - ucieczka się udała.

Lagerführer wrócił do Oświęcimia na sam apel, gdy wszyscy już stali w wyrównanych blokach. Tu się dopiero rozegrała scena. Zameldowano mu, że czterech brakuje na apelu, a co gorsza - że pojechali autem komendanta. Działo się to w baraku Blockführerstuby. Aumeier się prawie wściekł, rwał włosy na głowie, krzyczał, że ich przecież spotkał. Potem z rozpaczą cisnął czapkę na ziemię i... nagle na głos się roześmiał.

Represji żadnych, rozstrzeliwań, ani też stójek dłuższych nie mieliśmy wtedy. Tak było już od lutego 1942 roku.

Mecze piłki nożnej rozgrywano w 1941 roku na placu apelowym; teraz (w roku 1942) z powodu całkowitego zabudowania placu, były już niemożliwe. Jedynym sportem, w którym się spotykali się reprezentanci niemieckich kapów z więźniami - Polakami były mecze bokserskie. Tak w piłce nożnej, jak również i w boksie, pomimo różnicy w pożywieniu i pracy, Polacy prali zawsze kapów - Niemców.

W boksie była to jedyna okazja bić kapa w mordę, co też więzień - Polak czynił z całą satysfakcją, ku ogólnym okrzykom radości widzów.

Było u nas kilku bokserów wcale dobrych. Znałem bliżej z pracy w organizacji tylko 21, który zawsze zwycięsko wychodził ze spotkania i sprął po gębie niejednego drania.

Złapanych na nieudanej ucieczce więźniów wieszano publicznie i ostentacyjnie. Była to również zmiana na lepsze; nie zabijano drągiem, nie przebijano deską. Tylko po odsiedzeniu pewnego czasu w bunkrze wieszano na szubienicy, wtaczanej na kółkach w pobliże kuchni, w czasie wieczorowego apelu, gdy wszyscy więźniowie stali na placu. Przy tym wieszali ci, co sami w następnej turze mieli być powieszani przez swoich następców. Robiono to dla ich większego udręczenia.

Raz, w trakcie takiego wieszania kolegów, czytano nam rozkaz, w którym uroczyście komendant obozu obwieszczał, że za dobre prowadzenie się i wydajną pracę więzień może nawet zostać zwolniony. Nie należy więc czynić niemądrych prób ucieczek, gdyż to prowadzi, jak widać w tej chwili, do haniebnego śmierci przez powieszenie.

Rozkaz jakoś nas nie "wziął". Nikt w zwolnienia nie wierzył. Zbyt wiele morderstw widziały nasze oczy, by ich właściciele miano wypuścić. Zresztą, czytany w takiej przykrew chwili mógł jedynie trafić do psychiki Niemca.

Z całą falą humanitarnych sposobów zabijania, które miały świadczyć o kulturze naszych katów, przyszło do nas również jawne wywożenie do gazu więźniów z bloków szpitalnych. Gdy do szpitala przez szereg dni z rzędu przyjęto ich tylu, że nie mogli się zmieścić, leżąc nawet po trzech na jednym łóżku, a apetyt Klehra na wbijanie szpil był zaspokojony i jeszcze wciąż był tłok w szpitalu, wtedy wywożono chorych autami do komór gazowych w Brzezince. Początkowo robiono to niejako ze wstydem, wywożąc w nocy, późnym wieczorem lub wczesnym rankiem, by nikt ich nie widział. Potem powoli, gdy obóz już cały wiedział o tym zwyczaju i "chorych turystach", przestano się wstydzić i w biały dzień "chorzy turyści" jechali do gazu. Nieraz robiono to w czasie apelu, gdy wzmocniona warta i lufy broni z wieżyczek spozierały na nas zimno. Niejeden więzień, jadąc autem do gazu, wołał poznawszy w szeregu przyjaciela: "Serwus Jasiu, trzymaj się!" Machał czapką, kiwał ręką, jechał na wesoło.

Wszyscy w obozie wiedzieli, dokąd jadą. Dlaczego więc tamten się cieszył? Przypuszczać należy,

że już tak miał dosyć tego, co tutaj widział i przecierpiał, że niczego gorszego nie mógł spodziewać się ujrzeć po śmierci.

Pewnego dnia w obozie przybiegł do mnie kolega 41 z wiadomością, że w szeregach przyprowadzonych z Birkenau, tu na rozstrzelanie, poznał (dokładnie widział) pułkownika 62. Pułkownik 62, dzielny oficer, zginął.

Dałem do przeczytania tych kilkadziesiąt stron, na których nakreśliłem sceny z Oświęcimia, kolegom. Orzekli, że w opisach czasami się powtarzam. Możliwe - trochę z braku czasu, żeby to przejrzeć wszystko raz jeszcze, lecz i dlatego, że ten wielki młyn przetwarzający ludzi na proszek, lub - jeśli kto woli - walec rozgniatający na miazgę transporty ludzkie, obracał się wciąż wokół jednej i tej samej osi, której na imię było: zagłada.

A fragmenty poszczególnych scen lagru, codziennie od nowa, ponad trzysta razy w roku, w innym dniu lecz w podobny sposób ukazywały - sporadycznie lub regularnie co pewien czas - tę samą stronę walca ze wszystkimi jej szczegółami... I jeśli tak się patrzyło przez prawie tysiąc dni, to... Jeżeli ludzie żyjący wygodnie na ziemi włożą minimum wysiłku przy czytaniu tych kartek, parę razy myśl swą zajmą jednym obrazkiem, lecz oświetlonym z innej strony. Może to i dobrze, że czytający chociaż w drobnej części zespoli się z naszymi psychikami, które są tak różne, jak różni się dwa od tysiąca, bo nam kazano po tysiąc razy patrzeć i nikt z nas nie mógł się znudzić. Na spleen angielski tam nie było czasu!

A ja chcę znowu właśnie się powtórzyć.

Ciężko było patrzeć na kolumny kobiet, wykańczane pracą, sunące po błocie. Wyszarzałe twarze, zabłocone szatki... Idą, podtrzymując słabe muzułmanki. Są jeszcze niektóre, co wciąż silnym duchem wspierają inne i własne mięśnie. Są oczy jeszcze, co śmiało spoglądają w marszu, starają się równać szeregi. Nie wiem, czy ciężiej było patrzeć na te, co wieczorem zmęczone wracały po pracy, czy na te, co rano, mając cały dzień przed sobą, wychodziły w pole niby po spoczynku i podtrzymywały słabe koleżanki.

Widziało się twarze i postaci, które do ciężkiej roboty w polu nie mogły pasować ani się nadawać. Widziało się również i nasze wieśniaczki, przyzwyczajone zdawałoby się do ciężkiej pracy, tutaj kończone prawie równo z "paniami".

Wszystkie pędzono pieszo kilometrami do pracy, w pogodę czy też w dzień dżdżysty. Gdy kobiety stopkami wżynały się w błoto, "bohaterowie" obok na koniach, z psami - pokrzykując, paląc papierosy - jak kowboje gnali stado owiec czy bydła.

W obozie mieliśmy już istną wieżę Babel; różnymi językami koledzy mówili. Bo oprócz Polaków, Niemców, bolszewików, Czechów, kilku Belgów, Jugosłowian, Bułgarów, przywieziono również Francuzów, Holendrów, paru Norwegów i Greków. Pamiętam, że Francuzi dostali numery ponad czterdzieści pięć tysięcy. I kończyli się szybko, jak nikt w obozie. Ani to do pracy, ani koleżeństwa. Wątle jakieś chuchra i głupio odporne.

Z transportów żydowskich, które przyjeżdżały, część młodych dziewcząt z ustawionych setek do "kąpieli" w gazie, esesmani wyciągali, ratując od śmierci. Lubując się widocznie w pięknie nagiego ciała, wybierali kilka dziennie, co powabniejszych kształtów. Jeśli po kilku dniach dziewczyna jeszcze wciąż potrafiła ratować swe życie, płacąc pięknnością lub jakimś sprytem - czasami się zdarzało, że umieszczano taką gdzieś w izbie pisarskiej, rewirze lub komendanturze. Miejsc jednak było mało, a pięknotek wiele.

Tak samo z setek idących do gazu wyciągali esesmani i część młodych Żydów. Ci byli normalnie ewidencjonowani. Szli na nasze bloki i do różnych komand.

Był to znowu sposób na resztę Żydów w świecie.

Wspominałem już o tym, że przez jakiś czas Żydzi umieszczani byli na krótko w pracy pod dachem; pisali wówczas listy, śląc je do rodzin, że jest im tu dobrze. Lecz wtedy pisali równo z nami, to znaczy dwa razy na miesiąc, w niedziele.

Teraz na blokach, gdzie mieszkali Żydzi, od czasu do czasu zjawiali się esesmani, przeważnie w jakiś dzień powszedni (my pisaliśmy nadal listy w niedziele). Przychodząc wieczorami, esesmani zbierali wszystkich Żydów, mieszkających na tym bloku i kazali siadać przy jednym stole. Rozdawali formularze obowiązujące w lagrze, każąc pisać listy do rodzin, krewnych, a w braku takowych nawet do znajomych. Stali nad nimi i czekali aż skończą. Potem listy sami od nich odbierali, wysyłając w różne kraje Europy. Niechby taki Żyd napisał, że mu jest źle... Wszyscy więc pisali, że jest im tu bardzo dobrze...

Gdy już swe zadanie pisania uspokajających listów do Żydów w różnych krajach nasi Żydzi w lagrze dobrze wykonali i stali się zbędnym obciążeniem lagru, wtedy wykańczani byli jak najszybciej przeniesieniem do ciężkiej pracy gdzieś w Brzezince, albo nawet często wprost do SK. W SK tymczasem - jak zawsze - wykańczano. Był tam Żyd, nazywany powszechnie: Dusiciel. Miał on przydzielonych co dzień kilku lub kilkunastu Żydów do skończenia. Zależało to od większego lub mniejszego stanu całej SK.

Tych Żydów przeznaczonych na zagładę czekała tu przykra śmierć od ich współwynawcy, potężnego w barach Żyda Dusiciela. Co pół godziny, czasem częściej lub też rzadziej, w zależności od natłoku w kolejce do śmierci, Dusiciel upatrzonej ofierze kazał się położyć na wznak na ziemi (opornego sam szybko i sprawnie układał) potem trzonek od łopaty kładł na gardle leżącego, wskakiwał nogami na drążek i naciskał całym swym ciężarem ciała. Drążek przygniatał gardło - Dusiciel się bujał, przenosząc ciężar to na lewą, to znowu na prawą stronę. Żyd pod łopatą charczał, kopał, konał.

Ofierze swojej mówił czasami, aby się nie lękała - śmierć przychodzi szybko.

SK, Dusiciel i przydzielani do niego na wykończenie Żydzi traktowani byli jako autonomiczne podkomando śmierci. Właściwe SK, gdzie przeważali Polacy, żyło, pracowało i kończyło się osobno, tę samą śmierć przyjmując na inny sposób.

Latem raptownie przeniesiono do SK wielu więźniów. Było to zarządzenie wydziału politycznego na skutek przejrzenia spraw, z których wynikało, że więźniom dowiedziono ich sprawy na ziemi. Ze znajomych moich kolegów i pracowników naszej organizacji w obozie, przenieśli do SK w Rajsku: płt. pdch. 26, por. 27, kpt. 124 (ojca) i 125 (syna). Po jakimś czasie otrzymałem trochę nieostrożnie wysłaną kartkę od por. 27, która jednak szczęśliwie nie "wpadła", a w której pisał: "Zawiadamiam Cię, że ponieważ wkrótce musimy stać się obłoczkami już tylko, więc próbujemy szczęścia jutro, w czasie pracy... Szans mamy mało. Pożegnaj kiedyś, jeśli będziesz mógł i żył jeszcze na ziemi, rodzinę moją i powiedz, jeśli umrę, że zginąłem w walce...". Nazajutrz przed nocą przynieśli wiadomość, że w dniu tym wieczorem na sygnał głoszący koniec pracy w Brzezince, więźniowie SK razem się rzucili, usiłując wszyscy dokonać ucieczki. Czy źle była przygotowana, czy może ktoś zdradził, bo trzeba by wszystkich uprzedzić, czy może warunki były zbyt trudne, dosyć, że esesmani wszystkich prawie więźniów, około 70, położyli trupem. W łapaniu i zabijaniu sprawnie pomagali esesmanom Niemcy - kapowie.

Podobno paru zostawili żywych. Mówiono również, że kilkunastu zwało. Przez Wisłę przepłynęło podobno kilku. Wiadomości były jednak bardzo sprzeczne. Faktem jednak jest, że w trzy lata później dowiedziałem się od Romka G., iż będący w tej paczce 125 (syn mego współpracownika w Warszawie), jakimś sposobem wtedy śmierci uniknął.

Wiedzieliśmy, że tak jak u nas niegdyś na blokach więźniowie cierpieli od wszy, tak w kobiecym lagrze, w odgradzonych od nas blokach, panuje ogromne zapchlenie. Nie rozumieliśmy, skąd to pochodzi, skąd takie robienie różnicy przez te insekty dla płci więźniów. Okazało się potem, że niektóre z komand kobiecego lagru, chodziły do pracy do jakichś zapchlonych budynków i pchły przywlekły ze sobą na bloki. Te się w dobrych warunkach bardzo rozpanoszyły i przegnały dotychczasowych lokatorów białych. Wkrótce kobiety przeniesiono od nas, z bloków głównego obozu do Birkenau, gdzie w drewnianych blokach ginęły w straszliwych warunkach. Brak był wody na blokach, jak również ubikacji. Niektóre spały na ziemi, bo bloki z desek nie miały podłogi. Brodziły w błocie powyżej kostek, gdyż ani drenów, ani bruku nie było. Rano setkami zostawały na placu, nie mając już sił do pracy. Osowiałe, bez czucia te cierpiętnice, przestawały mieć wygląd kobiet. Wkrótce doznały "litości" władz lagrowych, idąc setkami do gazu. Zagazowano wtedy ponad dwa tysiące tych istot, będących niegdyś kobietami.

Na opuszczonych przez kobiety blokach pozostała niezliczona ilość pcheł. Stolarze, którzy chodzili na te bloki, by przed wprowadzeniem tam znowu komand męskich naprawić jakieś uszkodzenia w oknach lub drzwiach, opowiadali o straszliwej pracy w tym państwie "brunetek", co skakały całymi rojami w opróżnionych blokach. Głodne, gwałtownie rzucały się na przybyszów, gryząc ciało w cętki jedne przy drugich. Nic nie pomagało. Żadne zawiązywanie nogawek przy kostkach bądź końców rękawów, więc stolarze od razu zrzucali ubrania, kładąc je gdziekolwiek w bezpiecznym od pcheł miejscu, nagie ciało broniąc stałym opędzaniem się, jak zwierzęta pasące się w polu. A one skakały po podłodze rojami i gdy się spojrzało na nie pod słońce, miało się wrażenie oglądania wielu fontann.

W naszym obozie mieliśmy już wtedy na wszystkich blokach ubikacje i ładne łazienki. Kanalizacja, wodociągi - wszędzie już były. W piwnicach trzech bloków pracowały motopompy, zaopatrujące cały lagier w wodę. Wielu więźniów oddało życie przy budowie tych wszystkich udogodnień.

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

"Zugang", który przyjeżdżał do obozu teraz, od razu tu wchodził w warunki odmienne od tych, w które nas niegdyś zamknęli, "kończąc" również brakiem możliwości mycia lub spokojnej chwili w jakiejś ubikacji. I teraz był tu stróż porządku, któremu niejednen zazdrościł posady. Siedział on w ubikacji i zajadał zupę; zawsze miał repetę i choć miejsce na posiłki wydawałoby się jakieś dziwne, on się tym wcale nie wzruszał. Spokojnie zajadał, przyspieszając krzykiem czynności więźniów w pięknej ubikacji.

Kobiety przeniesione z takich warunków, jakie były już na naszych blokach w roku 1942 do warunków prymitywnych w Brzezince bardzo to odczuły.

Przeniesiono kobiety, lecz wysoki płot, zbudowany wiosną dla odgradzenia nas od płci odmiennej, pozostał nadal do czasu dezynfekowania całego obozu. Pchły jednak dały sobie radę z płotem. Nie wszystkie, lecz te bardziej przedsiębiorcze po sforsowaniu w jakiś sposób muru rzuciły się na nasz obóz, znajdując tu na blokach masę pożywienia.

Tymczasem w łyżkarni sytuacja tak się przedstawiała, że trzeba było myśleć o innej pracy, bo łyżek już zrobiono wiele tysięcy i można było przewidywać, że wkrótce komando nasze rozwiążą. Wtedy na skutek wpływów moich przyjaciół 111, 19 i 52 zrobiono mi miejsce przy warsztacie stolarskim wśród wybranych stolarzy (dawno kiedyś, przez Konrada). Na razie pracowałem z mistrzem - stolarzem 111 przy jednym warsztacie, lecz gdy 111 i 127 zachorowali kolejno na tyfus, zostałem sam przy warsztacie i udawać miałem stolarza - fachowca, odpowiedzialnego za pracę warsztatu.

Kapo był nowy, który po śmierci wariata "Hulajnogi" (tyfus) objął komando stolarzy w garbarni. Pozycja moja stała się trudna. Dostawałem rysunki na obstalowane meble, które musiałem sam

stworzyć z drzewa. Jakkolwiek robiłem tylko dwanaście dni, sam jeden pracując przy tym warsztacie, przyznam się, że nerwowo zmęczyłem się bardzo. Nie mogłem podpaść, a nie byłem fachowcem. W każdym razie szafę składaną robiłem i chociaż na jej wykańczanie przyszedł do mego warsztatu pierwszorzędnym majster 92, jednak przez tych dwanaście dni udało mi się bez wpadki wobec kapryśnego, lecz głupiego kapa, udawać majstra - stolarza. Nie byłem przecież w stolarce zupełnym nowicjuszem (resztę trzeba było nadrobić sprytem), lecz przyjdzie 92 do mego warsztatu, który on sobie obrał tendencyjnie, przyjąłem z prawdziwą radością.

Odtąd miałem więcej czasu, który poświęcałem wiązaniu tu "siatki", na uzgadnianie posunięć w pracy naszej organizacji, spotykając się z kolegami we właściwej garbarni lub pod pretekstem wyboru materiału w szopie, gdzie leżały deski, konferując z 50 i 106 na stosie nowych sienników, które tu sięgały pod sam dach. Przez szczeliny w dachu obserwowaliśmy ruchy Erika lub komendanta, jak z doskonałego punktu obserwacyjnego.

Tyfus dawał się nadal złośliwie we znaki i u esesmanów w koszarach zrobiono odwszenie. U nas na wszystkich blokach chorowali. Na naszej sali (siódma na 25 bloku) codziennie ktoś szedł do szpitala chory na tyfus. Wtedy mieliśmy już na dwóch jedno łóżko.

Pierwszy z naszej paczki zachorował pdch. 94, potem kpr. 91, później 71, następnie 73, 95, śpiący w jednym łóżku ze mną - 111, 93, w końcu (już trudno spamiętać kto po kim szedł do szpitala) prawie wszyscy kolejno się położyli. Bardzo wielu nie wracało wcale, jadąc w wozie pełnym trupów do krematorium. Codziennie parę znajomych twarzy można było widzieć wśród rzucanych jak drzewo na wóz ciał więźniów.

Na razie tyfus mnie nie brał.

Zjawił się u mnie dr. 2, proponując mi zastrzyk przeciwtyfusowy; szczepionkę dostał z "wolności", skrycie. Musiałem się jednak zastanowić, co robić, gdyż jeśli zostałem już przez wszy tyfusowe pogryziony (można było tak sądzić, bo spałem razem ze 111, który już zachorował, a od ugryzienia do pierwszej gorączki mijało zwykle kilkanaście dni) to w takim wypadku nie wolno było szczepionki stosować, bo mogło to skończyć się śmiercią. Nie byłem jednak zarażony, więc na zastrzyk szczepionki się zdecydowałem.

Z naszej paczki stojącej na apelu na czele bloku, z trzydziestu chłopów wkrótce zostało siedmiu, może ośmiu. Reszta umarła na tyfus. Z pracowników naszych zginęli: dzielny "Wernyhora" - 50, a także 53, 54, 58, 71, 73, 91, 94, 126 i nieodżałowany przyjaciel - 30. Zresztą czy mogę o kimś jednym pisać, że jest "nieodżałowany" - wszystkich żałowałem. Kpt. 30 bardzo starałem się ratować. Był zawsze wesół, ludzi podtrzymywał własnym humorem i miską repety; koło niego żyło zawsze szereg ludzi. Przed samym tyfusem dostał nagle zakażenia krwi, które udało się zlikwidować: dr. 2 zrobił mu szybko operację ręki i niebezpieczeństwo usunął. W tydzień później dostał tyfusu, poszedł na blok 28, gdzie leżąc parę dni, gościnnie zapraszał kolegów, by jedli jemu przynieszone smakołyki z "kanady". Mówił wtedy głośno: "Bóg dał, dobrzy ludzie przynieśli, więc jedzcie!". Miał wielką gorączkę, a mimo to gadał, z humorem opowiadał o tym, że musi żyć, że choćby z głową pod pachą, wyjdzie z Oświęcimia, bo przeszedł straszne rzeczy w Hamburgu i że ze swoją Jasią jeszcze się zobaczy. I tak, mówiąc ciągle, dostał zapalenia opon mózgowych. Przeniesiono go na blok 20. Robiono mu punkcje. Opiekę miał troskliwą, lecz nic już nie pomogło. Wyszedł z Oświęcimia - jako dym z komina.

Mam od niego polecenie: "Isjago". Kto to zrozumie, niech się do mnie zgłosi.

Był więc rozchód u nas (lato 1942 r.), lecz był również i przychód. W tymże czasie do organizacji naszej doszli nowi koledzy, chociaż niektórzy z nich siedzieli już dawno w obozie: 128, 129, 130, 131, 132, 133, 134, 135, 136, 137, 138, 139, 140, 141, 142, 143, 144.

Pracowałem przez parę tygodni na bloku, nie chodząc do stolarni wcale, korzystając z przyjaznego ustosunkowania się do mnie blokowego 80, który już przedtem nieraz mnie w trudnych momentach ochronił. Dawał on mi na bloku prace artystyczne, tłumacząc się przed władzami potrzebą kancelaryjnych napisów na księgach bloku. Malowałem obrazy z życia obozu: pobieranie zupy przez repeciarzy, wieczorny przegląd nóg z biciem na stołku. Z kolorowych papierków zrobiłem coś w rodzaju wycinanki - obrazu, czy też naklejanki. Wyszło to niezłe, bo nawet gdy Palitzsch w miesiąc później przyszedł raz na blok, gdy mnie już tam nie było, wszystkie obrazki poniszczył, tłukąc szkło w kawałki i niszcząc nawet ramy, lecz naklejanekę moją kazał sobie dać.

Rozpoczęło się nowe odwszawianie obozu. Pewnego dnia, było to pomiędzy 20 a 25 sierpnia 1942 roku, jak zawsze w ostatnich czasach nie poszedłem do pracy i, siedząc w obozie, malowałem na bloku. Nagle spostrzegłem auta z większą ilością esesmanów, które zajechały do obozu, pod blok tyfusowy (blok 20, nowa numeracja). Esesmani szybko otoczyli blok. Przyznam się, że gdy patrzyłem na tę scenę, na chwilę zrobiło mi się zimno koło serca, a potem gorąco. Myślałem o innym powodzie tego najazdu esesmanów, lecz to co zobaczyłem również było straszne. Wyciągano chorych, pakując ich w auta. Chorzy, nieprzytomni i prawie już zdrowi rekonwalescenci, tacy, co to miesiąc temu chorowali, lecz jeszcze odbywali kwarantannę - wszyscy razem zostali wpakowani na auta i wywiezieni w kilku rzutach do komór gazowych.

Wywieziono wtedy wszystkich, którzy mieszkali na bloku 20, nawet zdrowych, którzy przedłużyli tu swój pobyt dla odpoczynku, za wyjątkiem "flegerów", których poznawano po ubraniu, gdyż od szeregu miesięcy cały personel szpitala nosił ubrania różniące się wyraźnie od naszych. Były to ubrania z białego płótna, z czerwonym lampasem malowanym farbą wzdłuż pleców i takimiż lampasami na spodniach.

Wtedy dr. 2 uratował szereg Polaków, kazać im się przebierać po paru kolejno w białe ubrania "flegerów", przedstawiając ich komisji SS jako doktorów pracujących przy chorych. Zwrócono mu uwagę wreszcie, że coś tych pielęgniarzy było za wielu. Ponieważ jednak na końcu wychodzili prawdziwi sanitariusze, których esesmani znali, jakoś się akcja udała.

Widziałem scenę, gdy esesman wrzucił na auto dwóch małych więźniów. Jeden ośmioletni chłopczyk prosił esesmana, by go zostawił. Ukłąkł przed nim na ziemi. Esesman kopnął go w żołądek i wrzucił do auta jak szczenię.

Wszystkich tego dnia wykończono w kamerach gazowych w Brzezince. I potem palono przez dwa dni w krematorium, dowożąc wciąż więźniów z obozu. Bo nie skończyło się na bloku 20. Później brali z bloku 28, następnie z baraku drewnianego, co stał zbudowany na czas epidemii tyfusu pomiędzy 27 a 28 blokiem. A potem wybierali już z komand. Komisja chodziła, wybierając z normalnych bloków, gdzie mieszkały komanda. Wywozili do gazu wszystkich, co mieli spuchnięte nogi lub jakieś uszkodzenia ciała i robiących wrażenie słabych pracowników. Wzięli się też za "Schonungsblock" i wszystkich w lagrze "muzułmanów", których co prawda było mniej niż zawsze z powodu dopływu "kanady". Ci jednak, co byli "muzułmanami" pojechali do gazu "na odwszenie". Z gazu - przez krematorium - szli dymem z komina.

Ten nowy termin - "odwszenie życia" - znowu się przyjął w obozie.

Po transportach ludzi, którzy z wolności przyjechali, by oddać swe życie w gazie, pakowano również do gazu pozostałe stopy ubrań i bielizny rozwieszając je w osobnych komorach dla dezynfekcji, czyli dla właściwego odwszenia. Stąd "odwszeniem" nazywano czynności wprowadzania przedmiotu w strefę działania gazu, choćby był więźniem.

W kilka dni potem, 30 sierpnia, dostałem gorączki i łamania stawów; bolały mnie również łydki przy naciskaniu. To wszystkie prawie oznaki tyfusu. Brakowało tylko bólu głowy, lecz głowa mnie nigdy jeszcze w życiu nie bolała i nie znałem tego uczucia. Mam to, przypuszczam, w spadku po

ojcu, który nieraz ze zdziwieniem mówił: "co to za durna musi być głowa, która boli!" Ponieważ jednak lekarze i koledzy mówili, że przy tyfusie głowa boleć musi, więc czekałem parę dni. Szczęśliwie, zawdzięczając blokowemu 80 możliwości pozostawania na bloku, do pracy nie chodziłem. Gorączkę już miałem ponad 39 stopni i trudno mi było stać na apelach. Do HKB jednak pójść nie chciałem, bo nie było żadnej pewności, że nie przyjadą znowu auta, nie wywożą do gazu. Tym bardziej, że choroba w najlepszym razie, z konieczną kwarantanną, najmniej trwałaby dwa miesiące. Była to moja druga cięższa choroba w Oświęcimiu. Prócz tego parę razy w ciągu pobytu w obozie miałem temperaturę podwyższoną wskutek zaziębnienia; na wolności przeszłoby to może w jakąś grype, tu siłą woli czy może napięcia nerwów chorobę zwalczałem, chodząc do pracy.

Teraz jednak z dnia na dzień, szczególnie pod wieczór, czułem, że choroby "nie przechodzę" i że w ogóle na chodzenie brakuje mi sił. Nie wiem, co by było dalej, gdyby tak jak w pierwszym wypadku nie zdecydowało odwszenie. Wyczerpany już byłem tą gorączką trwającą kilka dni. Odwszenie przeszło już wszystkie bloki i teraz kolej była na nasz blok. Pomimo wieczornej gorączki do 40 stopni, na odwszenie się przygotowałem, pomagając sztabowemu, koledze 111, który wrócił szczęśliwie już po tyfusie. Gdy blok poszedł na odwszenie i pozostał tylko personel przenoszący inwentarz bloku, a za pół godziny mieliśmy pójść na odwszenie wszyscy, wtedy ja z wielkiego osłabienia (pamiętałem, jak ciężko mi było przejść kiedyś odwszenie w gorączce) nie czułem się na siłach. Droga była jedna - żeby tego uniknąć, trzeba było pójść do szpitala, skąd znowu mogli zabrać do gazu.

Wahałem się, lecz zjawił się dr. 2, który w nieprzepisowym czasie załatwił za mnie wszelkie formalności i umieścił mnie na bloku 28 (w szpitalu), w ostatniej chwili przed apelem wyciągając mnie ze stanu bloku 25. Gorączkę miałem do 41 stopni i poważne osłabienie - to był mój tyfus. Nieboląca głowa miała jednak tę zaletę, że nie traciłem wcale przytomności. Może przebieg choroby miałem łagodniejszy ze względu na szczepionkę?

Pierwszej nocy, którą spędziłem na bloku 28 był pierwszy nalot - parę samolotów oświetliło obóz i na Brzezinkę zrzucono dwie bomby. Możliwe, że chcieli trafić w krematorium, lecz akcja nie była poważna. Na nas jednak wpłynęła doskonale. Widzieliśmy chaos wśród esesmanów. Dwóch "postów", co stało na najbliższych wieżyczkach, zbiegło z nich w popłochu, gnali oni wzdłuż drutów tak, jakby głowy potracili. Od koszar biegli pod nasz obóz esesmani w beładnej kupie, szukając się nawzajem. Niestety, był to nalot słabutki i tylko jedyny w Oświęcimiu, przynajmniej za moich czasów.

Mój dwudniowy pobyt na bloku 28 nazywał się "czasem obserwacji". Tu specjalną serdecznością i troskliwą opieką otoczył mnie przyjaciel 100, który wszystkie wolne chwile poświęcał na to, by być przy mnie lub też przynieść cytrynę czy cukier. Przez niego także miałem kontakt z kolegami z pracy i wpływ na dalsze postępy organizacji. Wysypka jednak była tak widoczna, że przenieść mnie musieli na blok 20 o ponurej sprzed paru tygodni historii. Jeszcze na bloku 28 dr. 2 zrobił mi jakiś zastrzyk, po którym w kilka godzin temperatura spadła z 40 stopni na 37 z kreskami. Więc, gdy nazajutrz znowu zjawił się u mnie ze strzykawką, żartowałem, że jak teraz z 37 spadnie na 34, to chyba umrę, a zatem na zastrzyk zgodzić się nie mogę. Organizm mój na wszelkie zabiegi i lekarstwa reagował silnie.

Blok 20 po niedawnej wywóźce wszystkich chorych do gazu znowu był pełny. Codziennie na podjeżdżające wozy rzucano ciała umarłych na tyfus jak polana drzewa. Nie wiem, czy o tym już wspominałem, że wszystkie ciała, które wieźli do krematorium, były nagie, bez różnicy w jaki sposób ludzie ci zmarli - na tyfus, inną chorobę, igłę Klehra, czy strzał Palitzscha.

Tutaj, na bloku tyfusowym, po wyniesieniu co rano trupów, już przed południem, a szczególnie wieczorem na korytarzu leżały znowu sine, nagie ciała, ponakładane jedno na drugie, robiące wrażenie jatek z chudym mięsem.

Po pierwszym dosyć swarliwym zetknięciu się z kolegą, co był tu lekarzem, już w parę godzin później odczułem dla niego życzliwość. Pełen poświęcenia, myślący wciąż tylko o chorych, przez cały dzień, dbając o wszystkich, biegał, mył, karmił, stosował zastrzyki; wtedy miałem go za doktora 145. Drugim dzielnym lekarzem tutaj był dobroduszny i jednocześnie energiczny kpt. dr 146. Poza tym miałem nadal opiekę kolegi 100, przez jego przyjaciela 101, który miał tu wstęp jako pielęgniarz ze strzykawką lub pobierający krew do analizy.

Wśród administracji tego bloku na stanowisku magazyniera był tu członek naszej organizacji, młody mój przyjaciel, Edek 57. Od niego miałem, gdy zacząłem zdrowieć, dodatkowe obiady, słoninę i cukier. Poduszkę i koc z "kanady" dostarczył mi tu w porozumieniu z 76 - Kazio 39.

Zanim kryzys minął, w tej wielkiej półtrupiarni - gdzie obok ciągle ktoś rzeźił przedśmiertnie, konał, wyłaził z łóżka, by upaść na podłogę, zrzucał swoje koce lub w gorączce rozmawiał z najdroższą matką, krzyczał, kogoś wzywał, nie chciał jeść lub żądał wody, w gorączce usiłował wyskoczyć przez okno, klócił się z lekarzem lub go o coś prosił - leżałem, myśląc, że jeszcze mam siły, by wszystko to rozumieć i znosić w spokoju. Od samych tych wrażeń można już było zachorować, można też było nabrać wstrętu do takiej wędrówki człowieka i mieć pewnego rodzaju żal za niedoskonałością organizmu ludzkiego, czuć odrazę do samego stanu chorobowego. Toteż rosła we mnie przemożna chęć wyjścia stąd, jak najszybszego powrotu do sił.

Gdy minął kryzys, a mnie się zdawało, że mam już siły, by zejść po schodach, do ubikacji (przedtem korzystało się z prymitywnej, urządzonej dla chorych na sali), okazało się wtedy, że jestem tak słaby, iż muszę trzymać się ściany. Dziwne, że idąc po schodach, nie tylko nie miałem sił iść na górę, lecz tak samo trudno było schodzić. Siły wracały, jak mi się zdawało, w bardzo wolnym tempie. W czasie mego osłabienia parę razy koledzy byli gotowi - w razie ewentualnej wywózki do gazu - zanieść mnie gdzieś na strych i ukryć.

Kilka razy Klehr przechodził sale i wzrokiem bazyliuszka wybierał kandydatów "na szpilę".

Poznałem tu i wciągnąłem do naszej roboty: 118, 146, 147, 148, 149.

Dr. 145 dawał wszystko z siebie na stanowisku tak dla niego odpowiednim, że nie było tu potrzeby ani wiązać, ani coś zmieniać. Wiedziałem, że na niego można liczyć.

Od czasu do czasu zjawiał się dr 2, przynosząc mi cytryny i pomidory, zdobyte jak zawsze "na lewo".

Stosunkowo szybko stawałem na nogi. I w czasie kwarantanny, schodząc na dziedziniec, rozmawiałem z przyjaciółmi przez kraty odgradzające blok "zapowietrzony". Przyjaciel 76 przychodził z nową informacją o gałęzi organizacji, którą świeżo powiązał, 61 - z projektem wyjścia na wolność przez podkop z bloku 28, zainicjowanym przez 4, a rozpoczętym przy pomocy 129 i 130; przyjaciel 59 - z propozycją scalenia nowych i podziału wszystkich naszych sił, a także wyznaczenia dowódców poszczególnych grup na stałe, czego chciał również i płk 121 (gdyż zaszły zmiany po ostatnim odwszeniu).

Wtedy opracowałem plan scalania i podziału w ten sposób:

Ponieważ po generalnym odwszeniu władze obozu ulokowały więźniów na blokach komandami, a więc odpadła potrzeba rozwiązywania planu zadań na moment opanowania obozu w dwojaki sposób (tzn. moment pracy i moment na blokach, w obozie), więc za podstawę wziąłem bloki.

Każdy blok to był pluton, tzn. ci, co do organizacji należeli i na tym bloku mieszkali, bez względu na pierwotne więzi organizacyjne stanowili od tej chwili szkielet plutonu, który w momencie "wybuchu" stałby się tak wielki, jak wielu zdołają za sobą porwać, unieszkodliwiając od razu

element proniemiecki.

Blok X - więźniowie na parterze i blok Xa - na piętrze stanowiły razem dwuplutonową kompanię, mieszczącą się w jednym budynku, z dowódcą kompanii na miejscu. Kilka bloków - budynków stanowiło batalion.

Podzieliłem całość na cztery bataliony. Na dowódcę całości - w sensie akcji bojowej |- zaproponowałem jak dotychczas mjr. 85.

Na dowódcę I baonu - mjr. 150 (bloki: 15, 17, 18).

Na dowódcę II baonu - kpt. 60 (bloki: 16, 22, 23, 24).

Na dowódcę III baonu - kpt. 114 (bloki: 19, 25, kuchnia oraz personel szpitala z bloków 20, 21, 28).

Na dowódcę IV baonu - kpt. 116 (bloki: 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10).

Od zorganizowania reszty bloków powstrzymałem się ze względów technicznych, gdyż były to albo dopiero obsadzone, jak: 1, 2, albo użyte na skład, jak: 3, 26 i 27, albo w trakcie wykańczania budowy, jak: 12, 13, 14, albo blok specjalny 11.

Plan ten odpowiadał płk. 121 i na takowy zgodził się.

W parę dni później wyszedłem ze szpitala na obóz. Miałem skróconą kwarantannę przez znajomych lekarzy, którzy w kancelarii zrobili (fikcyjne) przyjęcie moje do szpitala z datą wcześniejszą.

Był początek października 1942 roku. Do pracy poszedłem w pięciu setkach, jak zawsze - do garbarni, lecz nie do komanda stolarzy, gdzie pracowałem przed chorobą, tylko do komanda garbarzy (właściwej garbarni), zawdzięczając to przyjacielowi 59, który przedstawił mnie nowemu kapowi garbarzy, "Mateczce", jako garbarza, który był chory, a teraz powrócił do pracy. W garbarni, początkowo pracując w sąsiedztwie płk. 121 przy białym garbunku, potem dzięki przyjaznemu stosunkowi 59 i 61 przeniosłem się do suszarni, gdzie było ciepło, bo stał wielki, żelazny piec i udawałem przez cztery miesiące garbarza, zaprawiając się w tym nowym fachu.

Widok ogromnego dziedzińca garbarni mało się zmienił. Codziennie kilka aut przywoziło tu rzeczy pozostałe po zagazowanych ludziach celem spalania ich w wielkim palenisku garbarni. Obuwia nie palono. Ogromną ilość najrozmaitszych butów, żółtych i czarnych, męskich i damskich, dzieciennych, różnych rozmiarów zrzucano co dzień z auta na wielkie piramidy. Powstało komando, które trudniło się dobieraniem butów tych do pary. Paleniem zwożonych na drugą kupę walizek, portfeli, damskich torebek, wózków dzieciennych i różnych zabawek trudnił się kto inny. Osobno odkładano kolorową wełnę, którą kobiety wiozły ze sobą tu na robótki. Tej nie palono; kto mógł, dekował, używając do robienia swetrów.

Wielki piec garbarni z fabrycznym kominem wszystko to pochłaniał - opał był darmowy, zwieziony pod samo nieomal palenisko. Ci, co to palili, mieli możliwość pogrzebać nieco w walizkach. Czasami ktoś z garbarni dopadał kupy walizek przed piecem, gdyż z dziedzińca było dosyć trudno zabrać ze względu na możliwość wejścia w pole widzenia Erika lub Waltera. I znowu widziałem, jak pod wpływem chęci posiadania złota czy drogiego kamienia, rozpruwano walizki, torebki, teczki, szukano w butach, kremach i mydłach. Z papierów brano tylko dolary. Po całym dziedzińcu latały, gnane wiatrem jak liście jesienne, banknoty, przeważnie franki francuskie. Tych nikt nie ciułał, tym bardziej wobec niebezpiecznej rewizji na bramie. Wydawały nam się zupełnie niepotrzebne. Używane były tylko w ubikacji.

Garbarze - koledzy - arystokracja - ze wszystkich komand, przez jakiś czas brali, idąc do ubikacji -

jednorazowo nie mniej niż 50 tysięcy franków. Żartowano wtedy, że mniej nie wypada - mogli by uważać człowieka za skąpca.

Najtrudniej jest pisać o sobie. W stopniu przedtem niespotykanym nawet dla siebie przechodziłem obok złota i kamieni obojętnie. Dziś, pisząc o tym znowu, na ziemi, staram się dokładnie zanalizować, dlaczego? Była to własność już raczej niczyja, tak tłumaczyli sobie więźniowie. Z tym tłumaczeniem nawet się wtedy zgadzałem. Lecz przede wszystkim nie mogłem się wyzbyć odrazy do rzeczy, w moim pojęciu, jednak krwią splamionych, a poza tym, nawet jeśli bym się przemógł, nie widziałem sensu, po co bym to miał robić. Dziwnie dla mnie te przedmioty straciły wartość. A nawet więcej - wtedy byłem w takim jakimś okresie (czy to pod wpływem przeżyć, czy wymogów wiary, bo stale i zawsze byłem wierzącym), że naprawdę dla mnie cenniejsze było zadowolenie z siebie, niż jakiś tam kamyk... Dość, że gdybym się wtedy do wzięcia tego złota czy brylantów zmusił, czułbym, że spadam ze szczytów, na które wspiąłem się tak trudną drogą. Poza tym pierwszą, zasadniczą przeszkodą do szukania złota było nieomal namacalne uczucie, że robiłbym sobie jakąś wielką krzywdę. Tak wtedy czułem, a kto wie, czy i teraz, gdybym się znowu znalazł w podobnej sytuacji postąpiłbym inaczej?

Różni koledzy różnie do tego podchodzili. Mnie na razie pieniądze były niepotrzebne, lecz kiedy znacznie później chciałem uciec z obozu i pieniądze na drogę mogły się przydać, to zwróciłem się do jednego z więźniów, mówiąc, że możemy wyjść razem i pytając, czy ma pieniądze na wszelki wypadek. Powiedział, że obliczy, co uzbierał i odpowie mi jutro. Nazajutrz powiedział, że ma złota przeszło kilogram. Lecz tak się stało, że wyjście z nim mi się nie ułożyło. Wyszedłem z takimi, co właśnie złamanego szeląga przy duszy nie mieli. Jest to jednak historia znacznie późniejsza - na razie wyjść jeszcze nie zamierzałem, czekając na moment najciekawszy w obozie, ku któremu cała praca była skierowana.

Opanować obóz mogliśmy od paru miesięcy nieomal codziennie. Czekaliśmy na rozkaz, rozumując, że bez takowego, chociaż byłby to piękny fajerwerk, i dla świata i dla Polski niespodziewany, i że nie możemy pójść na to, kierując się tylko własną nadzieją, dla której panu X czy Y taka rzecz się udała. Nie wolno nam bez komendy pójść na takie ryzyko.

A pokusa nękała codziennie. Rozumieliśmy jednak dobrze, że byłoby to potwierdzeniem naszych wad narodowych sprzed wieków. Wykwit ambicji, prywata, za którą represje mogły być potem wielkie na całym Śląsku. Tym bardziej, że wtedy jeszcze trudno było przewidzieć, jak się potoczą wypadki.

Mieliśmy ciągle jeszcze wielką nadzieję, że będziemy mogli odegrać rolę jako zorganizowana część w skoordynowanej z całością akcji. W tamtą stronę szły nasze meldunki, z którymi polecone było dotrzeć do samego komendanta. Z obawy przed możliwością nieostrożnego kroku gdzieś na wolności, należało unikać w przekazywaniu meldunków wszelkich pośredników. Nie byliśmy pewni, jak głęboko sięga wywiad niemiecki w nasze komórki u góry, może nawet w stojące na czele całej Konspiracji w Polsce. Była zawsze obawa, że gdy wywiad niemiecki rzecz przewącha - rozwalą tutaj w obozie najenergiczniejsze jednostki.

W tym stanie rzeczy przyszło do obozu echo pacyfikacji Lubelszczyzny. Najprzód wśród palonych rzeczy i gorszych, podniszczonych butów pewnego dnia znaleziono buty, wiejskie, wielkie i małe, potem - ubrania polskich chłopów, książeczki do nabożeństwa w języku polskim i proste, wiejskie różańce.

Wtedy przeszedł pomruk przez nasze "piątki". Zaczęto stawać grupkami. Pięści zaciskały się niecierpliwie.

Były to rzeczy przywiezione po naszych, polskich rodzinach zagazowanych w komorach w Brzezince. Po pacyfikacji Lubelszczyzny (mówili nam koledzy z Rajaska), przywieziono tu, do

gazu, ludność z kilku polskich wiosek. Tak już jest na świecie i trudno na to poradzić, kiedy palono rzeczy ludzi przywiezionych tu gdzieś z zagranicy, choć zawsze to dla nas było potwornym dziełem i w garbarni, gdzie buty, walizki przez szereg miesięcy stanowiły złowieszcze echo zbrodni, jednak teraz, gdy widziało się małe buciczki, kobiecą bluzkę, a między tym wszystkim różaniec, serca zabiły żywiej chęcią zemsty.

Z tych transportów lubelskich wybrano młodych chłopców od 10 do 14-15 lat. Wydzielono osobno, puszczono do obozu. Myśleliśmy, że się chłopcy uchowają. Lecz pewnego dnia, gdy przyszła wiadomość, że przyjeżdża jakaś komisja sprawdzająca stan obozu, żeby nie mieć kłopotu, nie tłumaczyć się przed nikim, skąd tacy młodzi więźniowie - zresztą może i z innych przyczyn - zaszpilowali tych wszystkich chłopców na bloku 20 fenolem. Wiele już widzieliśmy gór trupów w obozie, lecz ta góra z ciałek młodocianych, około dwóch setek, działała na nas, nawet starych więźniów, niebywale mocno, przyspieszając gwałtownie uderzenia serca.

W garbarni weszło do nas kilku nowych członków: 151, 152, 153, 154, 155. Jednocześnie stworzyliśmy w naszej organizacji komórkę planowania - doradcą, do której weszli pułkownicy 24, 122, 156.

Często było się świadkiem, siedząc w Oświęcimiu, jak któryś z kolegów dostawał z domu list, w którym go matka, ojciec bądź żona zaklinali na wszystko, by podpisał Volkslistę. Tyczyło się to początkowo przeważnie więźniów takich, którzy mieli nazwisko o brzmieniu niemieckim lub matki nazwisko było niemieckie, czasem jakieś pokrewieństwo itp.

Później władze coraz więcej robiły ułatwień, tak że ostatnio wcale nie potrzeba było żadnych brzmień niemieckich, ponad tę jedną chęć, zamazania polskiego sumienia - chyba że inne ważne względy były. Jakże często za to widziało się tam w "piekle" serdecznego chłopca, któremu brzmienie obce jego nazwiska nie przeszkadzało być godnym imienia Polaka.

Który z rozrzewnieniem mówił: "Tak. Kocham matkę, żonę, czy też ojca, lecz listy nie podpiszę! Zginę tu - wiem o tym... Żona pisze: Kochany Jasiu - podpisz... Nie! Niedoczekanie! Nikt kiedyś w przyszłości nie będzie mógł pluć moją polskość - choćby młoda - lecz twarda!"

Jakże wielu takich w Oświęcimiu zginęło...

...śmiercią ładną, bo wytrwali do ostatka na reducie zachowania polskiego sumienia...

czy wszyscy rodacy o nazwisku polskim na wolności będąc o swą polskość walczyli?

Jakże bardzo by się przydał aparat, który by mógł zrobić weryfikację sumienia polskiego, które u różnych - różnymi chodziło drogami, przez tych kilka lat od wojny początku.

W drugiej połowie października zauważyli koledzy (przybiegł z tym 41), że dwóch kapów o opinii najgorszych drani (poza kończeniem więźniów robiący donosy do wydziału politycznego i kierownika jego Grabnera) chodzą po obozie, jakby kogoś szukali, notując numery niektórych więźniów.

Pewnego dnia po południu, gdy szedłem z 22-go bloku główną drogą, spiesząc do kolegów w rejonie szpitala, spotkałem tych dwóch kapów przy bloku 16-tym.

Jeden szedł z notesem, drugi podszedł do mnie z fałszywym uśmiechem i zapytał: "Wo läufst du?" - ot tak, żeby coś powiedzieć i wskazać wyraźnie na mój numer pierwszemu, poczem zaraz odszedł. Tamten na mnie spojrział i jakby się wahał - ponieważ poszli dalej, więc ja również poszedłem swą drogą myśląc, że to jakaś omyłka.

Dnia 28 października 1942 roku rano na apelu, w różnych blokach pisarze (Schreiber) zaczęli wywoływać numery więźniów mówiąc, że wywołani mają pójść do "Erkennungsdienst" dla sprawdzenia fotografii.

Wywołano razem dwustu czterdziestu kilku więźniów - wyłącznie Polaków - jak później stwierdziliśmy - przeważnie Lubliniaków, z dodaniem około czwartej części Polaków, którzy z lubelskimi transportami nic nie mieli wspólnego, zaprowadzili na razie na blok 3-ci, co nam już wydało się być podejrzanym, dlaczego nie od razu na blok 26-ty, gdzie mieścił się "Erkennungsdienst" – niby - powód wywołania.

Nas zawołał dzwon do "Arbeitskommando", a potem normalnie wyszliśmy za obóz, dążąc każde komando w swym kierunku do pracy.

W pracy na wszystkich komandach wrzało wśród kolegów - nie wiedzieliśmy na razie czy im coś grozi.

Później rozeszła się skądś wieść, że mają być rozstrzelani. Dwustu czterdziestu chłopców - przeważnie zdecydowanych Lubliniaków, do których dodano chaotycznie - widocznie wybierając po obozie przez "piesków" Grabnera numery tych, co ruchliwością, swoją energią rzucali się w oczy.

Czym się właściwie kierowano, nie dowiedzieliśmy się nigdy, może tylko "widzimi się" dwóch drani decydowało.

Nazywało się to jednak "pacyfikacją Lubelszczyzny", która takim echem odbiła się w obozie.

Znalazł się właśnie w ich szeregach dzielny 41 (z Warszawy), który pierwszy z wiadomością o spisywanych numerach przyleciał.

Na razie nie wiedzieliśmy, czy ich rozstrzelają - myśleliśmy, że może to tylko plotka.

Tak wielkiej ilości więźniów naraz nigdy dotychczas nie rozstrzelali. Męczyła nas maska pozornej bierności, gdy byliśmy gotowi - pragnęliśmy akcji. W górze organizacji nieomal gryźliśmy palce gotując się na wszelki wypadek do rozgrywki.

Gdyby wśród tamtych wybuchł bunt i opór, wtedy byśmy wszyscy przystąpili do akcji.

Bunt by rozpałił szeregi - byłby to vis maior, który by nam rozwiązał ręce.

Po drodze do obozu naszych pięć setek zdrowych warsztatowców miało biuro budowlane, a pod nim magazyn zapasowy broni.

Zresztą wtedy nie było to trudne - chłopcy się palili. Na śmierć każdy zawsze był gotów, ale przedtem krwawo byśmy odplacili katom. Tych dziewięć marnych wieżyczek i z głównej wartowni, dwunastu zaledwie "gemeinów", którzy podczas eskorty nosili karabiny na pasach przyzwyczajeni do naszego spokoju, a brali je do ręki dopiero przed obozem, w obawie przed władzą.

Żeby chociaż jakimś cudem z Warszawy przyfrunęło jedno słowo: można, i to dzisiaj, by ratować tamtych.

Tak, to były mrzonki...

Czy ktoś wiedział, myślał? Pewnie z oddali można powiedzieć, że to był tylko fragment polskiego cierpienia. A jednak jakże wtedy było nam ciężko, gdy po południu przyszła wiadomość, że wszystkich - spokojnie, bez przeszkód - rozstrzelali.

Nieraz między sobą w dniu, gdy była rozwałka, omawialiśmy wieczorem, kto jak umierał - czy szedł odważnie, czy lękał się śmierci.

Koledzy zamordowani 28 października 1942 roku wiedzieli o tym, co ich czeka. Na bloku 3 powiedziano im, że będą rozstrzelani; rzucali kartki kolegom, co mieli jeszcze żyć z prośbą o przekazanie rodzinom. Postanowili umrzeć "na wesoło", żeby wieczorem o nich dobrze mówiono. Niech mi kto powie, że my, Polacy, tego nie potrafimy... Ci, co widzieli ten obrazek, mówili, że nigdy go nie zapomną. Od bloku 3, pomiędzy 14 i 15, pomiędzy kuchnią a blokami 16, 17 i 18, i dalej prosto między blokami szpitala, szli kolumną w piątkach, głowy spokojnie nieśli wysoko, miejscami - uśmiechnięte twarze. Szli bez eskorty. Za nimi Palitzsch z karabinkiem na pasie i Bruno; obaj, paląc papierosy, rozmawiali o sprawach obojętnych. Wystarczyło, by ostatnia piątka zrobiła w tył zwrot, a tych dwóch oprawców przestałoby istnieć.

Czemuż szli więc? Lękali się o siebie? Czegóż mieli się lękać w takiej chwili, gdy i tak szli na śmierć? Wyglądało to już na psychozę. Lecz oni szli, bo mieli w tym swoje racje. Zapowiadane przez władze, potwierdzone przez kolegów przyjeżdżających z wolności, wieści o tym, że za wybryk aresztowanego odpowiadała cała rodzina robiły swoje. Wiadomym było, że Niemcy w stosowaniu represji są bezwzględni i uśmiercają rodziny, wykazując w takich wypadkach bestialstwo, na jakie ich tylko stać. Jak wygląda bestialstwo? - któż od nas lepiej wiedział.

Widzieć lub tylko wiedzieć, że matka, żona, dzieci znalazły się w takich warunkach, jak tu kobiety w Brzezince, wystarczyło do paraliżowania wszelkich chęci rzucenia się na oprawców.

Co innego cały obóz. Opanowanie, zniszczenie akt... Kto by miał odpowiadać? Trudno by było sięgnąć po dziesiątki tysięcy rodzin naraz. A i to po dłuższych rozważaniach uzależniliśmy przecież od rozkazu ze względu na możliwość represji, ze względu na chęć skoordynowania akcji. Przyzwyczajonym do śmierci, z którą kilka razy stykało się codziennie, łatwiejsza była myśl o śmierci własnej, niż myśl o strasznym ciosie w najdroższe nam osoby. Nawet już nie tylko ich śmierć, lecz te okropne przeżycia, zabieranie twardą, bezwzględną ręką ukochanych istot z tego świata, złamanie ich psychiki i wtrącenie w świat inny, w świat piekła, do którego nie wszyscy łatwo przechodzą... Myśl, że stara matka czy ojciec ostatkiem sił brnie gdzieś po błocie, szturchani i bici kolbą z przyczyn syna... Lub, że dzieci idą na śmierć do gazu z powodu swego ojca, było o wiele cięższe, niż myśleć o własnej śmierci. A nawet jeśli był taki, dla którego był to poziom zbyt wysoki, to jednak szedł wiedziony przykładem innych. "Wstydział się" - to za słabe słowo; nie mógł wyłączyć się z kolumny o pięknej postawie, tak hardo na śmierć idącej!

Więc szli... Koło kantyny (drewniana na placu za blokiem 21), idąca drogą pomiędzy blokami 21 a 27, kolumna, jakby się zatrzymała, zawahała, omal, że nie poszła prosto. Lecz był to jeden, krótki moment, skrzyła pod kątem prostym w lewo i poszła już na bramę bloku 11 wprost w paszczę śmierci. Dopiero gdy zamknęła się za nimi brama i pozostawiono ich w tym bloku na kilka godzin - rozstrzelać ich miano po południu - pod wpływem oczekiwania na śmierć wyłączyć zaczęły z zakamarków różne wątpliwości i znalazło się pięciu kolegów, którzy namawiali do opanowania całego obozu, do rozpoczęcia tu akcji. Zabarykadowali bramę i może doszłoby do czegoś poważniejszego, gdyż Niemcy wcale nie wzmocnili straży, a nasze wszystkie komanda oczekiwały tylko znaku, gdyby nie to, że protest przeciwko śmierci nie wyszedł wcale poza blok 11. Poza tą piątką nikt nie dał się porwać, a Ślżak, funkcjonariusz tego bloku, zawiadomił esesmanów o zarzewiu buntu i na bloku zjawił się Palitzsch w asyście paru esesmanów i rozprawili się z tymi kilkoma więźniami, zabijając ich pierwszych, a resztę zostawiając na później.

Zyskali tylko u nas opinię, że zginęli w walce (kpt. dr. 146, kolega 129 i trzech innych kolegów).

Po południu wszyscy nie żyli. Z naszej organizacji oprócz wspomnianych już przedtem, zginęli w tym dniu koledzy: 41, 88, 105, 108, 146; lecz byli tacy z organizacji, których nie podaję, gdyż nie

wszystkich się osobiście znało, byłoby to niemożliwe w pracy konspiracyjnej.

Po powrocie z pracy do obozu czuło się w powietrzu zapach krwi przyjaciół. Postarali się przed naszym przyjściem wywieźć już ciała do krematorium. Cała droga naznaczona była krwią, która ciekła z wozów, gdy ciała ich wieźli. Wieczorem tego dnia cały obóz przygnębiająco przeżywał śmierć tych nowych ofiar.

Dopiero teraz zrozumiałem, że omal nie znalazłem się na liście wyczytanych w tym dniu rano numerów. Przypominając sobie tych dwóch kapów zapisujących numery, nie wiedziałem, czy nie zostałem zapisany przez tego z notesem, bo nie wyglądałem na niebezpiecznego więźnia, czy może wśród zapisanych w nadmiernej ilości numerów Grabner potem wybierał, odrzucając takich, co nie mieli tu spraw.

Przywieźli nowy transport więźniów z Pawiaka, z Warszawy, wśród których przyjechali moi przyjaciele i niegdyś współpracownicy w TAP w Warszawie: ppor. 156, 157, 158. Przywieźli oni ciekawe dla mnie wiadomości. 156 opowiadał mi, jak dotarł do Warszawy z Oświęcimia 25 i jak potem on go sam odwoził do pracy autem do Mińska Litewskiego. Natomiast 158 opowiadał mi ze szczegółami, jak na wiadomość ode mnie przesłaną przez sierż. 14 w sprawie grożącego nadesłania niewygodnych dla mnie danych z ksiąg metrykalnych z miejscowości Z., szwagierka moja pospieszyła do niego. Poczciwy przyjaciel 158 tego dnia wsiadł do pociągu i pojechał do miejscowości Z., gdzie w parafii rozmówił się z księdzem, tłumacząc mu o co chodzi. Ksiądz zanotował ołóweczkiem w księdze koło właściciela mojego obozowego nazwiska i obiecał sprawę pomyślnie załatwić. Co widocznie i zrobił, bo w sprawie mojej była w wydziale politycznym cisza.

Kolega 156 pokazał mi wśród nowo przybyłych do obozu kpt. 159 z Komendy Głównej w Warszawie - był to zastępca "Iwo 11". Jeden z członków naszych 138 znał kpt. 159 osobiście, będąc niegdyś jego podkomendnym, a obecnie będąc tu blokowym, łatwo roztoczył nad nim opiekę (kolega 156 razem z pracującym już tam 117 przygarnął do pracy 76). Odtąd dwaj TAP-owcy pracowali i mieszkali razem.

Z członków TAP, których znałem niegdyś w Warszawie przeszło przez Oświęcim: 1, 2, 3, 25, 26, 29, 34, 35, 36, 37, 38, 41, 48, 49, 85, 108, 117, 120, 124, 125, 131, 156, 157, 158. Z powodu, że 129 był rozstrzelany, a 130 zmarł na tyfus, niemożliwym było kontynuować rycie podkopu z 28 bloku. "Podkop" nie wpadł, w innej sprawie aresztowano 5.

Późną jesienią 1942 roku, gdy do kopcowania ziemniaków użyci zostali blokowi, to i 4 chodził również daleko do pracy przy ziemniakach w polu. Zdezorientowany esesman z wydziału politycznego, Lachmann, przyszedł po niego w jakiejś sprawie, lecz 4 był nieobecny. Lachmann zawrócił i odszedł. Koledzy szybko się zorientowali, wpadli do pokoju 4, który jako blokowy 28 bloku miał swój pokój i usunęli wiele takich przedmiotów, które by jeszcze więcej skomplikowały sprawę.

Ktoś musiał puścić farbę...

Lachmann doszedł tylko do bramy i jakby tknięty czymś wrócił i zrobił gruntowną rewizję pokoju 4, ale już nic nie znalazł. Na 4 jednak już czekał i zaraz po przyjściu jego z pracy wieczorem, aresztował go, zaprowadził do bunkra i 4 już więcej na blok 28 nie wrócił. Był badany na bloku 11, w bunkrach i w wydziale politycznym. Chociaż ostatnio 4 miał pewną przykrą manię, lecz trzeba mu oddać sprawiedliwość, że dzielnie znosił tortury - badania w bunkrach i nie powiedział ani słowa, choć wiedział bardzo wiele. Na nim się urwało. Stało się, że zachorował na tyfus i przeniesiony został z bunkra na blok tyfusowy. Trzeba samemu przejść pewne stopniowanie, by zrozumieć, że tak jak dla więźniów znajdujących się w obozie przestrzeń za drutami była wolnością, tak dla siedzącego w bunkrze wolnością był teren obozu. Wydostanie się więc z bunkra - chociaż w stanie chorobowym - na blok tyfusowy było dla niego namiastką namiastki wolności.

Lecz i tu stale prawie asystował mu esesman. Lachmann nie dawał za wygraną. 4 jednak miał twardego charakter i silną wolę. Pewnej nocy przestał żyć...

Wspomniani już koledzy, którzy przyjechali z Warszawy (156, 157, 158) mówili, że nie spodziewali się zastać w Oświęcimiu tak dobrego stanu duchowego i fizycznego więźniów. Oświadczyli, że nie wiedzieli nic ani o sposobach tutejszego katowania, ani o "ścianie płaczu", ani o fenolu, ani też o komorach gazowych. Oni sami nie myśleli - i w ogóle w Warszawie nikt poważnie nie myślał - o Oświęcimiu jako placówce o pewnej sile, że raczej mówiło się, że to już są tylko kościotrupy, których ratować nie warto, bo się nie oplaci. Gorzko było tego słuchać, patrząc na dzielne sylwetki kolegów. Więc tu idą na śmierć wartościowi ludzie i giną tylko dlatego, by nie narazić kogoś na wolności, a tam o ileż słabsi ludzie mówią o nas z lekceważeniem jako o kościotrupach. Jakiego samozaparcia trzeba, by nadal ginać, żeby oszczędzić braci bawiących na wolności. Tak, zbyt silnie uderzały w nas wszelkie metody niszczenia w obozie, a tu jeszcze taka ocena z wolności i to stale ignorujące milczenie...

Cztery bataliony miały podzieloną służbę w ten sposób, że każdy batalion przez tydzień był służbowym, tzn. że jego zadaniem było wystąpienie w razie jakiegoś nalotu, zrzutu broni. Do niego też szły przez tydzień wszelkie zorganizowane artykuły dostarczone tu przez 76, 77, 90, 94, 117, dzielił także między szkieletowe plutony żywność i bieliznę.

Pomimo nie tyle zakazu - bo cóż znaczył zakaz dla więźnia - co kary śmierci, handel złotem i brylantami rozwinął się w obozie ogromnie. Powstała cała jakby organizacja, bo dwóch więźniów, którzy mieli ze sobą jakiś interes - zamianę towaru, np. kiełbasy z rzeźni na złoto - byli już związani z sobą, gdyż jeden złapany ze złotem, bity w bunkrze, mógł sypnąć tego, od kogo dostał i za co. Zaczęły się coraz częstsze aresztowania w obozie za złoto. Esesmani gorliwie tropili tę nową organizację, gdyż dawała im dochód. W każdym razie "organizacja złota" była dla nas doskonałym piorunochronem. Dochodzenie postępujące po śladach do nas przeważnie zbaczało i wchodziło ostatecznie na drogę do "organizacji złota" i potem tak już się gmatwało, a esesmani tak byli zadowoleni z nowego źródła dochodu, że nie chcieli w innym kierunku czynić wysiłku.

Pisałem już, że przyglądaliśmy się "zugangom", gdyż nigdy nie wiadomo było, co taki kolega z wolności robi, lecz i nasi starzy więźniowie czasem robili niespodzianki. A mianowicie przez lekkomyślność jednego z naszych przyjaciół, uświadomiony zbyt szeroko 161, typowy schizofrenik, pewnego dnia namalował dwa dyplomy honorowe na "odznakę podwiązki" za pracę niepodległościową na imię płk. 121 i kolegi 59. Mnie oszczędził na skutek interwencji tego przyjaciela. I z dyplomami zwiniętymi w rulony szedł w porze obiadowej przez plac obozu, by pochwalić się swym wyczynem w szpitalu. Mógł być zatrzymany przez esesmana lub jakiegoś kapo i zapytany wprost, co niesie, i mógł narazić kolegów na wielkie komplikacje, a może i szersze grono. Pokazał dr. 2 mówiąc o mnie, że tylko ja mam głowę itp. I dlatego dla mnie nie namalował "dyplomu". Dr. 2 przy pomocy dra 102 udało się dyplomy mu odebrać i zniszczyć. 161 był jednak niepoprawny i pewnego razu ciemnym wieczorem wywołany zostałem przez kolegę 61 z bloku 22, który mnie podprowadził do jakiegoś esesmana. Okazał się nim właśnie 161 przebrany w mundur i płaszcz esesmański. Potrafił to wykorzystać w zmontowanej wkrótce po tym ucieczce.

Przyszły święta Bożego Narodzenia - trzecie w Oświęcimiu.

Mieszkałem na bloku 22 razem z całym komandem "Bekleidungswerkstätte". Jakże inaczej wyglądały te święta niż poprzednie. Więźniowie otrzymali, jak zawsze na Boże Narodzenie, paczki z domu ze swetrami, lecz prócz paczek odzieżowych również - nareszcie zezwolone przez władze - paczki żywnościowe. Głodu z powodu "kanady" już nie było w obozie. Paczki jeszcze bardziej stan żywnościowy poprawiły. Wiadomości o większych niepowodzeniach wojska niemieckiego podnosiły więźniów na duchu i radykalnie poprawiały humory.

W tych nastrojach wesołym echem odbiła się ucieczka (30.12.1942 r.) zorganizowana przez Mietka

- Arbeitsdiensta, Otto - Arbeitsdiensta, 161 i ich czwartego partnera. Zuchwale zmontowana ucieczka, ułatwiona przez to, że Arbeitsdienstowie mogli się poruszać pomiędzy małym a wielkim łańcuchem wart, ze sprytnym przebraniem się 161 za esesmana i bezczelnym wyjechaniem w biały dzień wozem z końmi za obóz, za podrobioną przepustką, koło posta, któremu domniemany esesman pokazał ją z daleka, miała ten zasadniczy smaczek dla wszystkich więźniów obozu, że na skutek znalezionej listu napisanego przez Otta, starszego obozu Bruna, więźnia nr 1, osławionego kata, władze zamknęły na sylwestrową noc do bunkra.

Wróg Bruna, Otto, pisał w liście, który zostawił rozmyślnie w płaszczu, na wozie porzuconym w odległości kilkunastu kilometrów od obozu, że szkoda bardzo, że nie mogą Bruna zabrać ze sobą tak, jak się umówili, bo nie mają czasu i muszą spieszyć, a to wspólne złoto, co ma Bruno, trudno, niech już zostawi sobie. Znane z lotności umysłu władze, zamknęły naszego kata, Bruna, do bunkra, gdzie siedział trzy miesiące. Miał lepiej niż każdy z więźniów w bunkrze. Siedział w celi, ale obóz został już na zawsze pozbawiony tego drania, bo na swe dawne stanowisko nie wrócił - poszedł potem na także do Birkenau.

Tymczasem obóz szalał z radości w czasie Świąt, zjadając żywność z paczek od rodzin i opowiadając sobie ostatni kawał o Brunie. Urządzano mecze bokserskie na blokach, wieczory artystyczne. Improwizowane zespoły, orkiestry, chodziły od bloku do bloku. Nastroje były tak wesole, wynikające z całości sytuacji, że starzy więźniowie kiwali głowami i mówili: "No, no, był lager Auschwitz, ale go nie ma już, pozostała zaledwie ostatnia sylaba, sam tylko wic."

Tak, kurs w obozie z miesiąca na miesiąc słabł. Nie przeszkadzało to jednak wcale, że w tym czasie nie raz można było być świadkiem bardzo tragicznych scen.

Idąc z garbarni, w pięciu setkach, zaraz po Nowym Roku, byłem świadkiem, jak przed krematorium (stare krematorium na węgiel, zbudowane tuż przy obozie) stała grupka kobiet i mężczyzn. Było ich razem kilkanaście osób, młodych i starych. Stali przed krematorium jak stado krów przed rzeźnią. Wiedzieli, po co tu przyjechali. Wśród nich stał chłopak mający może 10 lat i szukał kogoś wzrokiem wśród przechodzących naszych setek; może ojca, może brata... Podchodząc do tej grupki człowiek lękał się ujrzeć w oczach tych kobiet i dzieci - pogardy. My - pięć setek silnych i zdrowych mężczyzn, nie reagujących na to że oni zaraz pójdą na śmierć. Człowiek wewnętrznie się burzył i skręcał w sobie. Lecz nie; przechodząc, z ulgą stwierdzaliśmy, że w oczach ich tkwiła tylko pogarda dla śmierci.

Wchodząc do bramy widzieliśmy inną grupkę, stojącą pod murem z podniesionymi rękami, ludzi odwróconych do przechodzących kolumn tyłem. Tych przed śmiercią czeka jeszcze dochodzenie, ci pójdą jeszcze na męczarnie w bloku 11 zanim im kat Palitzsch nie strzeli łaskawie w tył głowy i nie wywożą potem w wozach ich okrwawionych trupów do krematorium.

Gdy wchodziliśmy do bramy, tę pierwszą grupkę więźniów wpędzono już do krematorium. Dla kilkunastu osób żałowano czasami butelki gazu; ogłuszano uderzeniami kolb i wpychano wpółomdlałych na rozpalony ruszt.

Z naszego bloku 22, który stał najbliżej krematorium, nieraz słyszeliśmy przytłumione dzięki ścianom przeraźliwe krzyki i jęki umęczonych, gwałtownie kończonych ofiar.

Nie wszyscy wracali z pracy naszą drogą. Ci, co nie widzieli twarzy ofiar, szli inną drogą, nigdy nie byli wolni od myśli: może matka, może ojciec, może żona, może córka... Lecz twarde jest serce lagrowca. W pół godziny później niektórzy już stali, kupując margarynę lub tytoń, nie widząc, że stoją tuż obok wielkiej kupy nagich trupów, rzuconych tu jedno na drugie, "zrobionych" dziś zastrzykiem fenolu. Czasem ktoś nastąpił butem na martwą, już sztywną nogę, spojrział: "Patrzcie. Stasio... No cóż... Dzisiaj jego kolej, moja może w przyszłym tygodniu..."

A jednak oczy tego małego chłopca, patrzące na nas, szukające kogoś długo mi w nocy nie dawały spokoju.

Rozbrykanie w obozie z powodu nastrojów w okresie świątecznym miało jednak znowu dla nas jedną ciężką historię. Blok 27, będący składem mundurowo - bieliznianym był terenem prac komanda "Bekleidungskammer", składającego się prawie wyłącznie z Polaków. Komando było dobre - praca pod dachem, dająca jeszcze te prerogatywy, że pracownicy zaopatrujący swoich kolegów w bieliznę, mundury, koce, obuwie bezinteresownie, mieli możliwość od dobrze sytuowanych więźniów na stanowiskach blokowych, pracowników rzeźni lub magazynów żywnościowych za wyświadczone ułatwienia egzystencji w postaci dostarczonych wymienionych materiałów otrzymywać artykuły żywnościowe. Miejsce więc było dobre i przy pomocy 76 ulokowaliśmy tam wielu naszych kolegów. Pewne rozluźnienie w obozie w tym czasie, brak na lagrze Bruna, który siedział zamknięty, spowodowało, że niektórzy zlekceważyli nieco środki ostrożności.

Koledzy na bloku 27 zrobili wspólny opłatek, przy tym 76 zadeklamował własny wiersz na patriotyczny temat (Ślązaczka miała dwóch synów, jeden był w wojsku niemieckim, drugi zaś więźniem Oświęcimia; podczas uciezki więźnia drugi syn Ślązaczki, stając na posterunku, nie o tym nie wiedząc, zastrzelił swego brata). Wiersz był ładnie napisany, nastrój był miły. Skutek: władze orzekły, że Polakom na 27 bloku za dobrze się powodzi, a wydział polityczny zrobił z tego, że Polacy na 27 bloku zorganizowali się. 6 stycznia 1943 roku do bloku 27 w czasie pracy przyszli esesmani z wydziału politycznego. Zrobili zbiórkę całego komanda. Zapytali, kto tu jest pułkownikiem. Płk 24 na razie powstrzymał się od odezwania się. Wtedy Lachmann podszedł do niego i wyciągnął go z szeregu (sprawa była już rozpracowana przez wydział polityczny).

Potem zaczęli segregować. Dzielili na trzy grupy. Reichsdeutsche i Volksdeutsche stanowili jedną grupę, którą zostawili w pracy na bloku. Wszystkich pozostałych Polaków dzielili na dwie grupy, odstawiając na prawo kilkunastu inteligentów, a wśród nich płk 24, mjr 150, rtm 162, ppor 163, mec. 142, a na lewo tych, którzy mogli w oczach esesmanów ująć za nieinteligentów, wśród których znaleźli się mjr 85, udający gajowego, ppor 156, uczeń, mój siostrzeniec 39. Trzymano ich na stojce kilkanaście godzin na mrozie. Potem grupę inteligentów wsadzili do bunkra, nieinteligentów oddali do tzw. "Kiesgrube" imienia Palitzsch. Pierwszych badali i dręczyli w bunkrze, chcąc wymusić zeznanie, że byli zorganizowani, pytając, jaką organizację reprezentują.

Los drugich, oddanych na wykończenie w pracy na mrozie, też wydawał się przesądzony. Lecz niektórzy z nich potrafili wykręcić się z tego komanda po paru miesiącach uciążliwej pracy. Zbyt szybko zrobiła to para przyjaciół: 117 i 156. Pracowali razem w "Bekleidungskammer", razem mieszkali na 3 bloku, w osobnym pokoju - magazynie. Obydwom udało się 6 stycznia 1943 roku uniknąć szczęśliwie zaliczenia do inteligentów, a unikając bunkra, trafili na razie do "kiesgruby Palitzscha".

Przyjaciel 156 parę miesięcy wcześniej, zaraz po przyjeździe z Warszawy, pytany przeze mnie jak w Warszawie reagują na uciezki z Oświęcimia, odpowiedział, że dwojako: Komenda Główna odznacza orderem Virtuti Militari (może rozumował, że w ten sposób zachęci mnie do uciezki?), a społeczeństwo, które nie wie o zniesieniu odpowiedzialności zbiorowej więźniów, uważa to za egoizm. Teraz, gdy znalazł się w ciężkiej sytuacji zaczął mnie namawiać do uciezki z nim, lecz ja wtedy jeszcze nie miałem takich zamiarów. On niestety, nie doczekał się, biedak.

Obaj zbyt szybko kręcili się koło swojej sprawy, zachorowali, a po chorobie znaleźli sobie inną, lżejszą, pracę. Nie byli jeszcze wytrawnymi lagrowcami. Pewnego dnia, gdy myślałem, że jeszcze leżą w szpitalu, dowiedziałem się, że obaj zostali rozstrzelani (16.02.1943 r.). W tym innym komandzie Lachmann zapytał ich, skąd się tu wzięli; tego dnia już nie żyli.

Wkrótce potem, w marcu, rozstrzelali całą grupę inteligentów, dręczoną i przesłuchiwaną

w bunkrze na temat organizacji, co wyczuwał jeden z kapów, który był świadkiem niefortunnego "wspólnego oplatka". Nie powiedzieli nic. Cześć Im, kolegom z pracy.

Po wyrzuceniu Polaków z "Bekleidungskammer", miejsca te obsadzone zostały Ukraińcami, którzy jednak jako pracownicy nie odpowiadali esesmanowi, szefowi komanda i kapowi, więc powoli niektórzy z Polaków znowu zaczęli się tu wkręcać. Dostawa materiałów z tej dziedziny została przerwana. Inne natomiast dostawy działały sprawnie. Jak obliczył pdch. 90, z rzeźni na same tylko Święta Bożego Narodzenia (1942 r.) przeniesiono przez bramę, pomimo ciągłych rewizji, 700 kg wyrobów masarskich.

Już późną wiosną zaczęto robić jakieś niezwykle przygotowania na bloku 10. Usunięto wszystkich więźniów i część łóżek. Zrobiono na zewnątrz, na oknach kosze z desek uniemożliwiające wgląd do wewnątrz. Przywożono jakieś instrumenty, aparaty. Potem wieczorami zjawiać się zaczęli profesorowie niemieccy, studenci. Kogoś przywozili, pracowali nad czymś nocami, odjeżdżając rano lub pozostając przez kilka dni.

Spotkany raz profesor zrobił na mnie odrażające wrażenie. Miał jakieś obmierzłe oczy.

Czas jakiś nic nie wiedzieliśmy o tym bloku, snuto różne przypuszczenia.

Lecz nie obeszlą się bez pomocy flegerów - obozowego szpitala. Na razie chodziło o sprzątanie, potem o różną pomoc. Wzięli dwóch flegerów i trafili na obydwu z naszej organizacji. Koledzy wniknęli wreszcie do zamkniętego stale bloku 10. Przez jakiś czas nic to nam nie dawało, gdyż ich z bloku 10 nie wypuszczano. Któregoś dnia zjawił się jednak u mnie jeden z nich, 101, straszliwie zdenerwowany i mówił, że nie wytrzyma długo tam, że przechodzi to już granice jego wytrzymałości.

Przeprowadzano tam eksperymenty. Lekarze i studenci medycyny robili tam doświadczenia, mając przecież ogrom materiału ludzkiego, za który przed nikim nie ponosili żadnej odpowiedzialności. Życie tych królików doświadczalnych i tak oddane było na pastwę tych zwyrodnialców w obozie - tak czy inaczej zostaną zamordowani; wszystko jedno jak i gdzie - i tak będzie popiół.

Więc robiono najróżniejsze doświadczenia z dziedziny seksualnej. Sterylizacja kobiet i mężczyzn zabiegami chirurgicznymi. Naświetlanie narządów płciowych obu płci jakimiś promieniami, które miały likwidować zdolności rozrodcze. Przy tym następne próby wykazywały, czy wynik był pozytywny, czy nie.

Stosunków płciowych nie stosowano. Było komando kilku mężczyzn, którzy dostarczać musieli nasienie, a które natychmiast wstrzykiwano kobietom. Próby wykazywały, że po kilku miesiącach kobiety poddane naświetlaniu narządów, zachodziły w ciążę znowu. Wtedy zastosowano promienie znacznie silniejsze, które spaliły organy kobiet i kilkadziesiąt kobiet zmarło w strasznych męczarniach.

Do eksperymentów używano kobiety wszystkich ras. Z Birkenau przywożono Polki, Niemki, Żydówki i ostatnio Cyganki. Z Grecji przywieziono kilkadziesiąt młodych dziewczyn, które zginęły w tych eksperymentach. Wszystkie, nawet po udanym eksperymencie, likwidowano. Żadna kobieta ani żaden mężczyzna żywi z bloku 10 nie wyszli.

Pracowano nad próbami wyprodukowania sztucznego nasienia męskiego, lecz wszelkie próby dawały wyniki negatywne. Zastrzykiwana sztucznie wyprodukowana jakaś namiastka nasienia powodowała jakieś zakażenia. Kobiety poddane temu eksperymentowi, wykańczano następnie fenolem.

Patrząc na te wszystkie męczarnie kolega 101 doszedł do niezwykłego u starych więźniów stanu

zdenerwowania. Świadkiem tego, co się działo na bloku 10, był również kolega 57 (obaj żyją i są obecnie na wolności).

Nieraz, siedząc w Oświęcimiu, będąc w swojej paczce wieczorami, mówiliśmy, że jeśli ktoś z nas ujdzie stąd z życiem, to chyba cudem tylko, i trudno mu będzie porozumieć się z ludźmi, którzy normalnie na ziemi przez ten czas żyli. Będą dla niego niektóre ich sprawy wydawały się zbyt małymi. On przez nich również nie będzie rozumiany. Lecz jeśli naprawdę ktoś wyjdzie, obowiązkiem jego będzie ogłosić światu, jak tu ginęli prawdziwi Polacy. Niech też powie, jak tu ginęli w ogóle ludzie mordowani przez ludzi... Jakże dziwnie to brzmi w chrześcijańskiej mowie: mordowani przez bliźnich swoich tak jak przed wiekami. Dlatego też napisałem, że zabrnęliśmy tak bardzo... Lecz właściwie gdzie? Dokąd brniemy w swym postępie "cywilizacji"?

Przyszła wiadomość naszymi drogami z wydziału politycznego, że wszystkich Polaków, więźniów, mają gdzieś wywieźć z obawy przed możliwością jakichś zajść w obozie. Władze uznały, że tak wielkie skupisko Polaków, w których same przeżycia wywoływały zdeterminowanie, robiąc z nich jednostki zdecydowane na wszystko, skupione na terenie polskim, mające oparcie w terenie - jest niebezpieczeństwem. Jakieś zrzucenie desantu, zrzucenie broni... Nie leżało to w planach naszych - alianatów, lub nasi nie mogli tego dojrzeć. Więc dojrzał to wróg.

Zaczęto z komand wyciągać na razie część Polaków i przyzwyczajając komanda do pracy bez nich. Polak był zawsze i we wszystkich komandach najlepszym pracownikiem. Niemcy mówili, że tak dobrym, jak Niemiec, lecz to nie była prawda. Wstyd im było się przyznać, że był od nich lepszy. Wyciągano z komand rzemieślniczych na razie tych Polaków, co postępowaniem swoim zdradzali, że fachowcami w rzemiośle swoim stali się dopiero w obozie. Z pięciu setek w "Bekleidungswerkstätte" zwolniono z pracy około półtorej setki. Ja, z powodu wyglądu inteligenta, znalazłem się w tej grupie. Było to 2 lutego 1943 roku.

Jakoś nie zmartwiłem się tym wcale. Wierzyłem, że w tym dniu zwolnienie nie wyjdzie mi na złe. Nazajutrz pracowałem już w komandzie koszykarzy przyjęty tam przez swoich przyjaciół. W ogóle zwyczajem obozu było, że stary numer przyjmowany był do wszystkich komand; był już seniorem w świecie więźniów. Tam pracowałem tylko jeden dzień, nie na korzyść obozu, bo nauczyłem się robić ze słomy trepy.

Następnego dnia miałem już doskonałą pracę w nowo powstałym komandzie "paczkarnia". Na skutek zezwolenia przysyłania paczek żywnościowych więźniom, do obozu zaczęto przywozić coraz więcej paczek autami. Władze zaczęły mieć z tym kłopot. Otrzymywać można było jedną paczkę do 5 kilogramów tygodniowo. Sądząc, że nie uda się zmniejszyć ilości paczek, zabroniono przysyłać paczki wielkie, a zezwolono przysyłać bez ograniczenia ilości w tygodniu paczki małe - do 250 g. Okazało się wtedy, że władze się omyliły. Codziennie przywożono niezliczoną ilość małych paczuszek. Rodziny, zadowolone, że mogą przyjść z pomocą bliskim sobie więźniom, zamiast jednej większej paczki tygodniowo, spieszyły z wysyłaniem paczuszek małych codziennie. Skutek zarządzenia był dla władz odwrotny. Nawał pracy z wciąganiem do rejestru ogromnej ilości przesyłek i wydawanie ich więźniom, wymagał całego aparatu, całego komanda, do którego właśnie się dostałem.

Oddano nam na trzecim bloku trzy małe sale do dyspozycji. Jedna sala cała była zavalona paczkami. Sprawność pracy wszelkich komand w obozie wymagała także i tu wysiłku dla zlikwidowania zaległości, co było również z korzyścią dla więźniów, jeśli paczki szybko im były dostarczane. Pracowały tu dwie zmiany komanda, po 20 więźniów w każdej. Paczkarnia była czynna przez 24 godziny na dobę. Ja wszedłem tendencyjnie do zmiany nocnej.

W związku z segregowaniem paczek przez całą dobę musiała równoległe z nami pracować dzień i noc główna izba pisarska. Gdyż na każdą paczkę pisała kartkę, posyłając kilka setek kartek co pół godziny do izby pisarskiej, na których tam zaznaczano, na jakim bloku obecnie znajduje się dany

numer (więzień), ewentualnie stawiano krzyż na znak, że nie żyje. Po powrocie kartek segregowano paczki, rzucając je na osobno dla każdego bloku zrobione półki, odrzucając paczki odpowiadające kartkom oznaczonym krzyżem na inną stronę sali w wielką piramidę. A paczek należnych zmarłym kolegom było bardzo wiele. Prócz posyłanych więźniom z transportów żydowskich, francuskich, czeskich, które przeważnie już całe były wykończone, wiele również rodzin polskich słało paczki, nie wiedząc, że więzień już zginął, gdyż, jak wspominałem, nie zawsze było wysyłane zawiadomienie o śmierci, lub wydział polityczny z wysłaniem ociągał się kilka miesięcy.

Lepsze paczki więźniów zmarłych, przeważnie z Francji i Czech, zawierające wino i owoce, esesmani wywozili całymi kosztami do swego kasyna. Gorsze paczki szły przeważnie do naszej kuchni więźniarskiej, gdzie również przywozili z "kanady" przebrane już przez esesmanów różne artykuły żywnościowe. Wszystko to wrzucano do kotłów.

W tym okresie jadałszy zupy słodkie, pachnące jakby perfumami, znajdując w nich resztki ciastek, tortów. Pewnego razu na naszej sali znaleźliśmy w zupie resztkę niezupełnie rozpuszczonego mydła toaletowego. Czasami kucharze znajdowali na dnie kotła jakiś złoty przedmiot lub wprost monety skrycie ulokowane przez nieżyjącego już właściciela w kawałku chleba, bułki, ciastka.

W paczkarni pracownicy z czystym sumieniem zjadali artykuły żywnościowe z paczek kolegów już zmarłych, przeważnie oddając na blokach chleb i zupę kolegom głodniejszym od siebie. Ze zjadaniem żywności z paczek zmarłych trzeba było jednak uważać. Zjadać ją mogli tylko "nadmudzie", więźniom to było zabronione pod karą śmierci. Zrobiona raz rewizja wychodzących z pracy ujawniła w kieszeniach siedmiu więźniów biały chleb, masło i cukier wzięte z paczek zmarłych. Wszyscy zostali tego dnia rozstrzelani.

Szefem paczkarni był esesman, Austriak, jak na esesmana zupełnie możliwy.

Po powrocie do normy pierwotnej nadsyłania paczek do 5 kg raz na tydzień, paczki szły różne, czasem całe walizki; szef paczkarni nie kwestionował ich, wszystkie oddawał właścicielom, rewizje robił pobieżnie, z braku czasu tylko niekiedy rozcinając sznurki, lecz gdy blokowy, niemiecki drań, rozdając paczki na bloku, wyjął z paczki żyjącego więźnia garść cukierków, szef paczkarni zrobił meldunek i blokowego, choć Niemca tego dnia rozstrzelali. Pod tym względem była sprawiedliwość...

Na dokarmianie kolegów znalazłem inny sposób. Pracowałem w paczkarni w nocy. Przede mną pod ciepłym piecem siedział dozorujący esesman, który zawsze około godziny drugiej po północy zasypiał. Za mną leżała wielka kupa paczek kolegów nieżyjących. Osobno stosik paczek lepszych, przygotowanych ewentualnie na wywiezienie do kasyna esesmanów. Nosząc, wpisując, przekładając paczki, brałem niezauważalnie paczkę z tej osobnej sterty i w czasie kiedy esesman smacznie chrapał, rozwijałem papier, odrywałem adres, przewracałem papier na drugą stronę, zawijałem paczkę, obwiązywałem, pisałem adres któregoś z przyjaciół w obozie. Miałem prawo oficjalnie przepakowywać paczki źle opakowane. Niektóre paczki miały zupełnie zniszczone opakowanie, tym bardziej się nadawały. Niektórych nie przepakowywałem ze względu na pieczęcie, lecz wprost naklejałem nowy adres, wypisany na innej kartce papieru. Taka paczka szła drogą normalną dalej, trafiając na odpowiednią półkę.

Esesman miał wygodną pracę, gdyż w nocy spał, a w dzień, wolny od zajęć, jeździł rowerem do żony, która mieszkała gdzieś o 20 kilometrów stąd. Wszyscy więc byli zadowoleni ze stanu rzeczy. W jedną noc starałem się "wysłać" osiem paczek, po dwie paczki na każdy batalion, czasami udawało się mniej, czasami nawet więcej.

Rano zjawiałem się u przyjaciół, do których adresowałem "zmarłe" paczki i zapowiadałem, żeby nie robili zdziwionej miny, gdy otrzymają jakąś obcą paczkę.

W związku ze zmianą mojego komanda, przeniesiono mnie na blok 6. Na bloku i w pracy poznałem kilku kolegów, których wciągnąłem do naszej organizacji: ppor. 164, ppor. 165 i plt. 166.

Jeszcze w końcu roku 1942 przywieźli do obozu razem z całym transportem z Krakowa Olka, ppor. 167. Zawiadomiono mnie wtedy, że jest to bohater z Montelupich, że udało mu się raz umknąć śmierci dzięki ucieczce z więzienia, że ma teraz dwa wyroki śmierci, lecz ponieważ jest sprytny i umiał sobie z esesmanami jakoś dawać radę, udawał doktora, a nawet podobno ich leczył, więc się jakoś uchował. Ale teraz go przywieźli do Oświęcimia, gdzie na pewno wykończą. Poznałem go; podobał mi się jego humor. Zaproponowałem mu drogę wyjścia, którą przygotowywałem dla siebie. Były to kanały.

Plan kanałów przyniesiony dla mnie przez kolegów z biura budowlanego dokładnie objaśniał miejsce, gdzie najlepiej było wejść do kanałów. Zwykle tak było, że niemieckie władze dopiero wtedy stawiały się mądre, gdy więzień skorzystał z jakiegoś sposobu wyjścia i wtedy już powtórzenie tej samej drogi ucieczki było prawie niemożliwe. Powiedzenie: "Mądry Polak po szkodzie" można chyba rozciągnąć i na inne narodowości.

Oddając Olkowi 167 moją drogę wyjściową, przekreślałem ją dla siebie, lecz sam teraz jeszcze ciągle się nie wybierałem, a on miał sprawę ciężką. Mogłem przez niego przesłać raport, liczyłem, że i dla mnie znajdzie się jakiś szczęśliwy zbieg okoliczności.

W tymże czasie zgłosił się do mnie por. 168 z planem wyjścia z komanda, w którym on pracował. Był tam zastępcą kapa. Kapo zachorował i dlatego on miał większą swobodę działania. Z komandem własnym wychodził na pomiary kilka kilometrów od obozu.

Zapoznałem z nim ppor. 167; plan por. 168 odpowiadał mu bardziej, więc 167 zaczął się przygotowywać, by w ten sposób opuścić obóz. Przeniósł się jednak zbyt raptownie z paczkarni do komanda mierników, w którym pracował 168.

W styczniu 1943 roku pewnej nocy siedmiu kolegów wyszło przez kuchnię esesmańską na wolność. Widząc, że wieszanie złapanych na ucieczce nie odstrasza więźniów od prób w tym kierunku, władze wpadły na nowy pomysł. Ogłoszono na wszystkich blokach, że za ucieczkę więźnia będzie przywieziona do obozu jego rodzina. To uderzyło nas w czułe miejsce. Rodziny narażać nikt nie chciał.

Pewnego dnia po powrocie do obozu ujrzelśmy dwie kobiety - sympatyczną starszą niewiastę i miłą, młodą - stojące pod słupkiem z tablicą, na której był napis: "Nierozważny postępek waszego kolegi naraził te dwie kobiety na pobyt w obozie". Miała to być represja za ucieczkę jednego z kolegów. Byliśmy czuli na punkcie kobiet. Początkowo obóz kłął na drania, co naraził swoją matkę i narzeczoną, ratując sam swoje życie, lecz potem okazało się, że one miały numery około 30 tysięcy, gdy numer bieżący w obozie kobiecym był ponad 50 tysięcy. Ustalono, że są to dwie kobiety wzięte z obozu w Rajsku i postawione u nas pod słupkiem na parę godzin. Koło słupka stał esesman i uniemożliwiał wszelką rozmowę. W każdym jednak razie pewności, że nie przywiozą do obozu rodziny, nie było, więc inni koledzy na ucieczkę nie zdecydowali się.

Koledzy 167 i 168 montowali ucieczkę. Kontakt nawiązany był z Krakowem przez cywilną ludność. W paru miejscach miały być przygotowane ubrania i łączniczki. 167 proponował i mnie wyjście razem z nim. Omawiając ze 168 szerzej ich sposób umknięcia, wywnioskowałem, że plan nie jest dopracowany w szczegółach. Dwóch esesmanów, co chodzili z nimi na pomiary, a wstępujących czasami wbrew zakazowi władz obozu do knajpy na wspólną wódkę, mieli więźniowie spoić i związać. Tu planowano, że jeśli się nie uda ich spoić, to decydują się na "mokrą robotę". Wtedy w imieniu organizacji zaprotestowałem kategorycznie. Na taki plan ich wyjścia, mogący narazić na wielkie represje pozostałych więźniów, organizacja nie mogła się zgodzić. Sztuką było wyjść, lecz wyjść trzeba było tak, żeby nie spowodować ciężkich skutków dla obozu.

Zaczęli się więc przygotowywać do uśpienia esesmanów luminalem. Sproszkowany, zdobyty w HKB, dawany w wódce, zastosowany w próbach na kapach, nie dawał pożądaných rezultatów, gdyż nie rozpuszczał się w wódce i zostawał w szklankach na dnie, tworząc osad. Mieli więc luminał dawać w cukierkach.

Tymczasem do Birkenau przywieźli kilkanaście tysięcy Cyganów i ulokowali ich w osobno odgrodzonym obozie, na razie całymi rodzinami. Potem mężczyzn oddzielono, a następnie kończono "sposobem oświęcimskim".

Pewnego dnia koledzy w Rajsku dokonali dowcipnej ucieczki, którą nazwaliśmy "beczką Diogenesa". W ciemną, wietrzną i dżdżystą noc przez pojedyncze w tym miejscu ogrodzenie z drutów, przeszło kilkunastu więźniów, rozchylając druty drągami i wsadzając między nie zwykłą beczkę drewnianą bez dna, w której kiedyś wozili jedzenie, a która teraz posłużyła za izolację od prądu i przeleźli, jak koty przez muflę. Władze znowu piekliły się i wściekały. Tytu niewygodnych świadków tego, co się działo w Birkenau na wolności. Postanowiły zrobić wszystko, by zbiegów ująć. Rzucili całe wojsko na poszukiwanie i szukali całe trzy dni. Obóz został zamknięty, gdyż nie było "postów", żołnierzy eskortujących kolumny więźniów, idące do pracy. Władze wykorzystały ten czas na odwzieszenie obozu, którego dokonały w ciągu trzech dni.

Zbiegiem okoliczności 167 i 168 mieli nazajutrz po "beczce Diogenesa" umówione z organizacją na zewnątrz przeprowadzenie ucieczki. Brak jakichkolwiek możliwości wyjścia z obozu uniemożliwił ucieczkę. Lecz to jeszcze nie wszystko. W komandach szefowie i kapowie obawiali się rozwścieczonych władz i robili rewizje u więźniów. Rewidowali samą pracę i stany w ogóle, szukali czegoś, do czego by się inni przyczepić mogli. W paczkarni szef i kapo zapytali wtedy, co jest z Olkiem 167, który tu pracował, a teraz go nie ma? Czy jest chory? Pobiegli do izby pisarskiej i stwierdzili, że Olek jest już w innym bloku i pracuje w innym komandzie, a ponieważ przeniósł się do innej pracy, i to w polu, bez zawiadomienia i kartki od "Arbeitsdiensta", a ma sprawę poważną w wydziale politycznym, więc podciągnęli to pod przygotowanie się do ucieczki i Olka przenieśli za karę do SK.

Drogę wyjścia kanałami przygotowywałem już dawno, na wszelki wypadek. Nie była to jednak łatwa droga. Sieć kanałów pokazana na planie kanalizacyjnym biegła w różnych kierunkach, lecz składała się przeważnie z rur o przekroju 40-60 centymetrów. Tylko w trzech kierunkach od najwygodniejszego dla mnie wjazdu, koło bloku 12, szły odnogi kanałów o przekroju żabim 60 cm w pionie, a 90 cm w poziomym przecięciu. Próbowałem nawet raz wejść i otworzyć kraty od studzienki, zamykające wejście do kanału. Lecz nie ja jeden tym się interesowałem. Znali tę drogę i inni nasi koledzy. Wszedłem w porozumienie z nimi. Byli to: 110 i 118. Jeszcze było paru innych, co mieli te kanały na oku. Chodziło jedynie o to, kto się zdecyduje i kto je wykorzysta.

Przed ostatnim Bożym Narodzeniem miała wyjść grupka Arbeitsdienstów na wolność, lecz palił się również do tego i 61, wskazałem mu tę drogę i ewentualnie może by się paru więźniów w tę świąteczną noc wybrało, gdyż, jak zwykle, czujność straży jest wtedy zmniejszona. Lecz właśnie w wigilijny wieczór postawiono nam drugą choinkę tuż koło miejsca, gdzie trzeba było wyleźć, oświetlono ją rzęsiście i miejsce to również.

Kiedy później pracowałem już w nocnym komandzie w paczkarni, wejście do studzienki miałem bardzo blisko. Wtedy w nocy, po przebraniu się w kombinezon robotniczy na bloku 3, włąziłem dwa razy do cuchnących kanałów. W studziencie kraty na zawiasach zamykane były niegdyś u dołu na kłódki, teraz wyłamane, zanurzone w mule, od góry wyglądały jakby były zamknięte. Od tego miejsca w trzech kierunkach szła droga tymi szerszymi kanałami.

Jeden kanał szedł pomiędzy blokami 12 i 13, 22 i 23, załamywał się potem w lewo i szedł koło kuchni, a dalej za ostatnią wieżyczką koło bloku 21 robił niewielki zwrot w prawo i wylazł był aż za torem kolejowym. Kanał ten był bardzo długi, około 80 metrów. Miał wielką zaletę: bezpieczne

wyjście, lecz i wadę: straszliwie był zamulony. Przebyłem tym kanałem zaledwie 60 metrów, żeby zbadać możliwości poruszania się w nim i zupełnie wyczerpany wylazłem z powrotem. Była idealnie ciemna noc, a ja byłem cały ubrudzony. Myłem się i zmieniałem bieliznę na 3 bloku. Przyznam się, że na jakiś czas straciłem ochotę.

W drugim kierunku kanał był suchszy i tam posuwać się było znacznie łatwiej, przy czym był też on znacznie krótszy. Leżał pomiędzy blokami: 4 i 15, 5 i 16, i dalej prosto aż do 10 i 21, i dalej też prosto. Szedł w górę, coraz mniej w nim było spływających z bloków nieczystości i wody. Lecz wyjście z niego było o dwa metry za wieżyczką "posta". Płytę zakrywającą wyjście na zewnątrz za płotem, nawet przygotowaną przez przyjaciół w dzień za obozem, koło dołu ze żwirem, trudno było podnieść w nocy bez szmeru pod tuż stojącym żołnierzem na wieży.

Pozostawał trzeci kierunek - najkrótszy, ok. 40 m, był przedłużeniem poprzedniego. Było tu najwięcej wody. Szedł pomiędzy blokami 1 i 12 i wychodził za druty, idąc pomiędzy komendanturą i nowo postawionym budynkiem. Wyjście było na szosie, dość widoczne, szczególnie z głównej wartowni pod światło. Tu właśnie postawili nam kiedyś choinkę. Lecz teraz choinki już nie postawią.

Była jeszcze pod ziemią tzw. "łódź podwodna" ze stałą obsadą, lecz w moich planach nie mogłem jej brać pod uwagę. Ostatecznie mógłbym już ryzykować wyjście, lecz ciągle uważałem, że opuszczenie obozu jest dla mnie wciąż nieaktualne.

Pewnego wieczoru doszliśmy do wniosku, że prowadzono z nami wojnę regularną. Zazwyczaj mieliśmy wiadomości z wydziału politycznego, z komendantury, z rewiru, które przynosili esesmani, na dwóch stołkach siedzący i przekazywali je przez Volksdeuschów czy Reichsdeuschów pracujących u nas. Niektórzy z esesmanów byli niegdyś podoficerami wojska polskiego, którzy wyraźnie chcieli nam dać do zrozumienia, że w razie czego pójdą z nami i dadzą nam nawet klucze od magazynów broni. Jakkolwiek kluczy od nich nie potrzebowaliśmy, bo już wszystkie zrobione były w ślusarni przez naszych kolegów, to takie typy ludzi dwulicowych i nieprzyjemnych, przydawały nam się nieraz, często uprzedzając nas o posunięciach władz, zawsze sprawdzającymi się wiadomościami.

Widocznie Grabner nie miał już do własnego otoczenia zaufania i starając się o zachowanie pełnej dyskrecji do ostatniego momentu trzymał decyzję i listę kandydatów na wyjazd w tajemnicy. Dzielił się decyzjami z Palitzchem.

7 marca 1943 roku zarządzono zakaz opuszczania bloków. Przesłano listy na bloki i drzwi zamknięto na klucz. Na blokach zaczęto wywoływać numery więźniów, wyłącznie Polaków, każąc im się szykować do transportu. Wywoływano numery tylko tych, co mieli sprawy zakończone i do których wydział polityczny nie miał już pretensji. Transporty miały odejść do innych obozów, ponoć o wiele lepszych od Oświęcimia. Poufnie dowiedzieliśmy się, że pierwsze transporty pójdą do lepszych obozów, a następne do coraz gorszych.

Na salach zapanował nastrój najróżniejszy. Jedni byli radzi, że jadą do lepszych obozów i że ich nie rozstrzelają tutaj, inni martwili się, że nie jadą, a więc jeszcze sprawy ich nie są zakończone i mogą zostać rozstrzelani. Jeszcze inni byli bardzo niezadowoleni z wyjazdu, bo tu już zdobyli po ciężkich latach pracy dobre stanowisko, a tam znowu się będzie "zugangiem" i znowu twarda selekcja, a nie wiadomo czy się jeszcze raz uda. Przeważało jednak zdanie, że jechać warto, bo nigdzie na pewno nie będzie takiego piekła, jak tutaj. Poza tym - nie pytano o zdanie. Gdyby to było w dzień i bloki były otwarte, można by było coś kombinować. Kto chciał zostać, może by mógł zachorować - lecz w nocy nic nie można było zrobić.

Ja byłem wyczytany od razu pierwszej nocy z 7 na 8 marca. Kazano nam zabrać nasze rzeczy i przenieść się na blok 12, na ten cel zupełnie opróżniony, więc tam powędrowaliśmy z rzeczami.

Zajęto również blok 19, gdyż wyczytywano numery przez trzy wieczory (7, 8, 9 marca) i było nas około 6 tysięcy. Na blokach 12 i 19 zamknięci byliśmy także na klucz i porozumiewać się można było tylko przez okna.

Przychodził dr. 2 na klatkę schodową i przez szybę w drzwiach dawał znaki, że jeśli bym decydował się zostać, musiałbym zachorować. Wziąwszy pod uwagę pracę konspiracyjną i pozycję w świecie pracy więźniów - było nad czym rozmyślać. 10 marca wyciągnęli nas w piątkach, kolumnami, na alejkę czerwoną już o szóstej rano. Tu odbywał się przegląd stanu zdrowia więźniów, których wyznaczył wydział polityczny na transport, przez komisję złożoną z lekarzy wojskowych, Niemców.

Stałem w pobliżu płk. 11 i Kazia 39. Mózg mój pracował gorączkowo, robiąc zestawienia, kto jedzie, a kto zostaje. Jechała zgrana, swoja paczka kolegów, z którymi się pracowało. Raczej skłaniałem się, by jechać z nimi.

Komisja lekarska podziwiała stan zdrowotny, doskonale rozwiniętych fizycznie i na ogół prawie dobrze odżywionych więźniów - Polaków (za wyjątkiem nowo przybyłych zugińców), kiwając głowami i mówiąc: jak oni się tu tacy uchowali... Poza paczkami i "kanadą" była to w pewnym procencie zasługa organizacji, tu było widać rezultaty.

Lecz moim zadaniem była ciągłość pracy tutaj. Z kim jednak bym został? Zacząłem z niektórymi omawiać tę sprawę. Płk. 11 i Kazio 39 cieszyli się, że jadą. Przeznaczeni byli do Buchenwaldu, podobno jednego z lepszych obozów. Przyjaciel mój, płk. 11 był zdania, że moim obowiązkiem jest, mimo wszystko pozostać nadal w tym piekle. Miałem wiele czasu na przemyślenia. Badanie posuwało się bardzo wolno. Staliśmy przez cały dzień i część nocy. Do nas, z płk. 11 i ppor. 61 kolejka doszła około drugiej w nocy. Już znacznie wcześniej zdecydowałem się próbować pozostać w Oświęcimiu. Przez kolegę 169, który miał możliwość poruszania się, dostałem z HKB pas na rapturę, której wcale nie miałem. O drugiej w nocy komisja była już zmęczona. Płk. 11, starszy ode mnie o kilkanaście lat i w porównaniu ze mną chudzielec, został jednak przez komisję uznany za zdolnego do robót i na transport zaliczony. Lecz gdy ja stanąłem nago przed komisją, z nałożonym pasem na fikcyjną rapturę, lekarze zamachali rękami i powiedzieli: "Weg! Takich nam nie potrzeba!", i do transportu mnie nie przyjęto.

Odmaszerowałem na blok 12 i po zameldowaniu się tam z kartką zwolnienia z transportu, zaraz potem wróciłem na blok 6, na własne łóżko, a nazajutrz do normalnej pracy w paczkarni.

11 marca po odrzuceniu niezdolnych do pracy lub takich, co za niezdolnych starali się uchodzić, wywieźli zdrowych Polaków - 5 tysięcy z jakimś małym dodatkiem.

Ponieważ do paczkarni przysyłali nam z głównej izby pisarskiej dokładną listę z numerami więźniów wywiezionych, celem wysyłania nadchodzących dla nich paczek żywnościowych, toteż dokładnie stwierdziliśmy, że tych pięć tysięcy kolegów - Polaków pojechało w pięciu różnych kierunkach, mniej więcej po tysiąc do każdego z wymienionych obozów: Buchenwald, Neuengamme, Flossenbürg, Gross-Rosen, Sachsenhausen.

Zasadniczy trzon góry organizacyjnej potrafił od transportu się wykręcić, więc pracowaliśmy dalej.

W tydzień później, w pierwszą niedzielę, doznaliśmy znowu zaskoczenia. Żeby uniknąć nawału pracy w trybie przyspieszonym przed samym wysyłaniem transportów, postanowiono zrobić to spokojnie przedtem. Na wszystkich blokach w całym obozie pozostali jeszcze Polacy musieli w tym dniu stanąć przed komisją lekarską, która stawiała przy numerze danego więźnia na stałe literę "A" lub "U", oznaczającą kategorię jego stanu zdrowia - zdolny lub niezdolny do pracy. Zaskoczeniem było dlatego, że wykluczało wszelkie dotychczasowe możliwości lawirowania.

Namyślałem się, co robić z sobą. Dostać "A" - znaczy jechać pierwszym następnym transportem i to do obozów gorszych, gdyż do tych lepszych nie pojechałem. Dostać kategorię "U" - to, chociaż mówiono, że chorych wyślą do Dachau, gdzie będą mieli lepsze warunki w szpitalach, ja jednak, znając ówczesne władze obozowe, sądziłem że z taką literą można raczej przejść przez gaz i komin. Musiałem znaleźć jakieś wyjście. W każdym razie zdecydowałem nie wkładać pasa. Komisja lekarzy, przed którą stanąłem, bez szczegółowego oglądania odprawiła mnie, w rejestrze stawiając przy moim numerze literę "A".

Wyglądałem dobrze. Lekarze wojskowi, Niemcy, patrząc na doskonale rozwinięte ciała Polaków i tym razem dziwili się, mówiąc głośno: "Co za regiment można by z nich wystawić". Teraz, będąc materiałem na wywózkę, musiałem coś poczynić ze swoją osobą, no i nie jechać do "obozów gorszych". Esesmani szefowie komand, odpowiedzialni za jakiś dział pracy bardzo chętnie reklamowali Polaków - fachowców. Zawsze woleli pracować z Polakami, którzy byli najlepszymi pracownikami. Ze względu jednak na zarządzenia władz w tym okresie, nie mogli tego w szerszym zakresie czynić. Trudno również było być fachowcem w paczkarni. Lecz jakoś się udało przez dr. 2 i kolegę 149, że zostałem wyreklamowany przez szefa paczkarni, w liczbie ogólnej pięciu reklamowanych, jako niezbędny pracownik. I nie zostałem wcielony do nowego transportu, który odszedł w dwóch rzutach (11 i 12 kwietnia 1943 r.) - obydwu do Mauthausen. Wywieźli wtedy 2,5 tysiąca Polaków. Razem więc w marcu i kwietniu tego roku wywieźli 7,5 tysiąca zdrowych Polaków.

Wtedy zdecydowałem, że dalsze siedzenie moje tutaj jest już zbyt dla mnie niebezpieczne i niełatwe. Po przeszło 2,5 latach trzeba by zaczynać pracę "wiązań" od nowa, z nowymi ludźmi. 13 kwietnia przed południem poszedłem do piwnicy bloku 17, gdzie w osobnym pokoiku pracował kpt. 159 z Komendy z Warszawy, którego sylwetkę znałem, bo pokazywany był mi nieraz przez rozstrzelanego ppor. Staśka 156 i mjr. 85, a z którym dotychczas nie miałem rozmowy ze względu na oddanie go pod opiekę naszemu członkowi 138. Odbyłem z nim pierwszą rozmowę. Powiedziałem: "Siedzę tu dwa lata i siedem miesięcy. Prowadziłem tu robotę. Ostatnio nie dostawałem żadnych dyspozycji. Obecnie Niemcy wywieźli naszych najlepszych ludzi, z którymi pracowałem. Trzeba by było zaczynać od początku. Uważam, że dalsze siedzenie moje tutaj nie ma sensu. I dlatego wychodzę."

Kpt. 159 spojrział na mnie zdziwiony i powiedział: "No tak, rozumiem pana, lecz czy można kiedy się chce przyjeżdżać i wyjeżdżać z Oświęcimia?" Odpowiedziałem: "Można".

Od tej pory cały mój wysiłek skierowany był na wyszukanie najwłaściwszej drogi wyjścia. Następnie rozmawiałem z mjr. 85, który wtedy był w szpitalu u dr. 2 jako niby - chory, odpoczywał tam i w ten sposób uniknął transportów, gdyż chorych na razie nie brano. Kategorię miał jednak "A". Udało mi się go, jeszcze przed wyjściem urządzić w pracy w paczkarni. Przyszedłem do niego jako do znającego dobrze teren wokół Oświęcimia z pytaniem, gdzie by on poszedł i jaki mi radzi kierunek. Zygmunt spojrział na mnie z niedowierzaniem i powiedział: "Gdyby to kto inny mówił, myślałbym że kpi ze mnie, ale że to ty, to wierzę, że wychodzisz. Ja bym szedł na Trzebinie, Chrzanów." Pokazałem mu wyjętą z zanadru mapę terenu Oświęcimia (skala 1:100000), otrzymaną od 76. Ja miałem zamiar iść na Kęty. Pożegnaliśmy się serdecznie. Powierzyłem jemu, Bohdanowi, troskę o całość w razie akcji.

Poszedłem do przyjaciela 59 i jemu powierzyłem stronę organizacyjną całości w oparciu też o dzielnego, naturalnego w podejściu płk. 121, który był oficjalnym kierownikiem całości i przyjacielem 59.

Teraz już należało wyjść... i to naprawdę. Jest zawsze pewna różnica pomiędzy powiedzeniem, że się zrobi a samym dokonaniem tego. Dawno już, przed laty, pracowałem nad tym żeby te dwie rzeczy spajać w jedną całość. Lecz przede wszystkim byłem wierzącym i wierzyłem, że jak Bóg zechce pomóc, to wyjdę na pewno. Był jeszcze jeden powód, który decyzję moją przyspieszył.

Dowiedziałem się przez dr. 2 od zugiaków, którzy przyjechali z Pawiaka, że 161, który uciekł razem z arbeitsdienstami z Oświęcimia, złapany został w Warszawie i więziony jest na Pawiaku. Nie mając do tego człowieka zaufania (i z powodu plotek co do jego przeszłości i z powodu zbieranego tu bez skrępułów złota w postaci koronek na zębach zmarłych, jak i z powodu historii z "dyplomami", które namalował za pracę w organizacji płk. 121 i 59) brałem pod uwagę, że on, ratując własne życie, może pójść na pracę dla Niemców i zacząć opowiadać o tym, co podejrzwał w obozie. Na ten temat rozmawiałem z dr. 2, z kolegą 59 i z kolegą 106, byłem zdania, że ci, o których wiedział, że są w organizacji (sama góra) muszą stąd wyjść.

Jeszcze w połowie marca koleżka mój z pracy i przyjaciel 164 zawiadomił mnie, że jeden z naszych kolegów, którego znałem z widzenia, Jasiek 170, ma zamiar wyjść z obozu, więc jeśli mam przesłać raport, to można przez niego. Poznałem Jaśka i od razu mi się spodobał. Podobała mi się jego zawsze uśmiechnięta gęba, szerokie bary i bezpośrednia szczerość. Słowem - pierwszorzędnym kompan. Opowiedziałem mu o możliwościach kanałowych jako o wyjściu ostatecznym i spytałem, jakby sam to zrobił. Odpowiedział, że jeżdżąc z rolwą po chleb do miasteczka, do piekarni, nieraz widział rowery piekarzy stojące obok piekarni. - Jak się nie da inaczej, to się sięść na rower i pojechać "na wariata".

Odradzałem. Po jakimś czasie przyszedł do mnie z wiadomością, że gdyby udało się dostać do piekarni, to tam są ogromne, ciężkie i okute drzwi, które dałoby się otworzyć, gdyż składają się z dwóch połówek. Żeby się przyjrzeć tym drzwiom lepiej przeniósł się za zezwoleniem kapa własnego komanda ("Brotabladung-kommando") na kilka dni do piekarni, niby pod pretekstem najedzenia się chleba. Jasiek ważył wtedy wprawdzie 96 kg, lecz kapo lubił go jako starego i wesołego pracownika.

Był koniec marca. Po pięciu dniach pobytu w piekarni Jasiek wrócił zrezygnowany. Praca w piekarni jest bardzo ciężka. Przez 5 dni wypocił 6 kg własnej wagi i ważył tylko 90 kg. Ale co gorsza, spostrzegł, że drzwi się nie da otworzyć. Potężny zamek, umieszczony w jednej połowie drzwi, wchodzący przy zamykaniu kluczem sztabą w drugą połowę może by nam nie przeszkodził, gdyby rygle zasuwu u obu części drzwi (razem 4) odsunąć; lecz był jeszcze zaczep umieszczony z zewnątrz, który przy zamknięciu drzwi zaczepiał obie połowy. Ciężka praca i ten zaczep zniechęciły Jasia. Więc przez jakiś czas o piekarni nie mówiliśmy, przenosząc nasze zainteresowanie na kanały.

W tym czasie w obozie wprowadzono dwie innowacje. W pierwszych latach mieliśmy dziennie trzy apele. Obok innych brutalnych i prymitywnych sposobów wykańczania, były apele z przedłużanymi stójkami - jeden ze sposobów cichego wykańczania. Potem zaszła zmiana w sposobach mordowania na bardziej "kulturalne"... gdy dziennie kończono gazem i fenolem tysiące, a później liczba przywożonych transportów do gazu doszła do 8 tysięcy ludzi dziennie. W tym postępie "kultury", odrzucając kończenie kijem, zdecydowano, że śmieszny już jest ciche kończenie na stójkach apelowych, nikłe w skutkach w porównaniu z równie cichym kończeniem gazem, i w roku 1942 skasowano apel południowy. Od tego czasu obóz miał dwa apele. W niedzielę, jak dotychczas, apel był jeden - o 10.30.

Teraz, wiosną 1943 roku innowacją było skasowanie jeszcze jednego apelu - porannego i wprowadzenie dla więźniów cywilnych ubrań, których po zagazowanych były setki tysięcy. Cywilne ubrania z malowanymi lampasami wzdłuż pleców i w pasie na marynarce oraz na spodniach olejną farbą czerwoną miał prawo nosić więzień, który pracował wewnątrz obozu, w obrębie drutów. Wszyscy, co pracowali na zewnątrz i wychodzili poza ogrodzenie - z wyjątkiem kapów i untkapów - nie mieli prawa nosić cywilnych ubrań.

W każdym razie między teraz a niegdyś była ogromna różnica. Teraz koledzy spali na łózkach (pryczach). Okrywali się puszystymi kocami, pochodzącymi z "kanady" po zagazowanych transportach z Holandii. Ci, co pozostawali w obozie, rano wkładali doskonałe z wełny cywilne

ubrania, oszpecone nieco jaskrawymi lampasami i szli do pracy, jak urzędnicy do biura, bez stania na apelu. Obiadowa przerwa też nie była zakłócona żadnym apelem lub stójką. Był jeden tylko apel wieczorny, który już w tych czasach nie był uciążliwy. Nie staliśmy długo, nawet w dniu stwierdzenia, że trzech kolegów uciekło z rewiru - stójki żadnej nie było. Szukano tylko skrupulatnie zbiegów, nie chcąc tych świadków mieć na wolności.

Starano się usilnie, by straszną opinię o Oświęcimiu, która się na zewnątrz już przedostała, zmienić radykalnie na lepszą. Ogłoszono wtedy, że obóz z koncentraku przemianowany będzie na Arbeitslager, w każdym razie nie widziało się już żadnego bicia. Tak było przynajmniej u nas - w obozie macierzystym.

Porównywałem wtedy obrazki obozowe z roku 1940 na 1941 rok, gdy esesman w obecności nas kilkunastu wpadł nagle w szał i zamordował dwóch więźniów, a potem zwrócił się do nas, widząc wzrok wbity w siebie, jakby raptem potrzebował się usprawiedliwić, wyrzucił z siebie szybko: "Das ist ein Vernichtungslager!" Teraz starano się wszystkimi sposobami zatrzeć wszelkie ślady bodaj w pamięci ludzkiej, że mogło tak kiedyś być. Ciekawe, jak zdołają wymazać z pamięci: pracę komór gazowych i sześciu już krematoriów.

Nic się nie zmieniło w stosunku do złapanych na nieudanej ucieczce. Znowu powiesili dwóch na placu ku odstraszeniu ich przyszłych naśladowców. Spojrzeliśmy wtedy z Jasiem na siebie i powiedzieliśmy sobie wzrokiem: "No cóż? Obie strony będą próbować. My będziemy próbować wyjść, a oni niech próbują łapać."

Gdy Jasiak już nieco odpoczął po kilkudniowej pracy w piekarni, zapytałem go, czy by się nie dało tego cholernego zaczepu usunąć z drzwi? Jasiak wyjaśnił, że ostatecznie dałoby się, bo jest przytwierdzony śrubą o mutrze zakręcającej na drzwi od strony wewnętrznej. W następnych dniach Jasiak, wożąc chleb z piekarni, zrobił w świeżym chlebie odcisk mutry i klucza od kłódki, którą było zamknięte okno w piekarni, w hali, gdzie składano wypieczony chleb. Według tego odcisku klucz na mutrę robił znajomy Jaśka, ślusarz na "Industriehof I". Klucz do kłódki robił w tejże ślusarni były mój współpracownik w TAP w Warszawie, chor. 28. Oba klucze były w ciągu doby gotowe. Jaśkowi udało się ostrożnie sprawdzić, czy pasują. Klucz od kłódki był zrobiony na wszelki wypadek, gdyż okno otworzyć nieznacznie, jak Jasiak mówił, było prawie niemożliwe.

Lecz od zrobienia kluczy do wyjścia było jeszcze bardzo daleko. Na drodze do ucieczki był to zaledwie mały krok. Przede wszystkim obydwaj musielibyśmy znaleźć się w piekarni i co do mnie, mogłem się tam zjawić tylko na moment, gdyż zorientowaliby się od razu, że nie jestem fachowcem, a praca jucznego zwierzęcia dla przenoszenia worków z mąką była obsadzona i zazdrośnie strzeżona przez tych, co tam udawali piekarzy. Poza tym czas pobytu w piekarni, gdybym się tam dostał, musiałby być bardzo krótki, gdyż nie mogłoby to wyjść na jaw wobec władz paczkarni, gdzie dopiero niedawno uznany zostałem za nieodzownie potrzebnego i reklamowany. Samowolna zaś zmiana komanda nasuwała władzom myśl o montowaniu ucieczki, szczególnie przeniesienie się z tak dobrego komanda; w ten sposób szybko można się było znaleźć w SK, jak było z Olkiem 167.

Po chwilach rozmyślań nad przeszkodami do zwalczania w drodze przez piekarnię, myślą przenosiłem się do drogi kanałami, która jednak również miała trudne do przyjęcia punkty... I znowu myślą wracałem do piekarni. Aż wreszcie stanowczo zdecydowaliśmy z Jaśkiem iść przez piekarnię. Zlikwidować istniejące przeszkody, przy tym zrobić wszystko, by trafić tam do nocnej zmiany i - jeśli chodzi o mnie - tylko na jedną noc. Należało więc tylko to wykonać.

Nic nie mówiąc na razie, nawet Jaśkowi, poszedłem do 92, którego kolega, po Mietku, był teraz "Arbeistdienstem". Przez niego, nie mówiąc o dalszym celu tego posunięcia, załatwiłem sprawę przeniesienia Jasia do piekarni mówiąc, że jest on właściwie z zawodu piekarzem i tuła się po różnych komandach nie wiadomo dlaczego, co nawet nie wypada, bo to taki stary numer.

Nazajutrz Jasiak przybiegł do mnie z wiadomością, że nie wie, jakim sposobem, dostał kartkę do piekarni, że kapo martwi się jego odejściem i był niezadowolony, ale jakoś pogodził się z losem. Opowiedziałem, skąd kartka się wzięła i Jasiak poszedł do piekarni na stałe. Po paru dniach był "starym" piekarzem. Kapo piekarni, Czech, któremu Jasiak zaimponował humorem i siłą, zrobił z niego swego zastępcę, unterkapo, i z przyjemnością zgodził się na to, że sam będzie chodził w dzień, a Jasiak w nocy.

Mieliśmy do Świąt Wielkanocy zaledwie kilka dni... Postanowiliśmy korzystać ze świąt jak z okresu, w którym wśród esesmanów, kapów i wszelkich władz obozu pod wpływem wódki panowało swego rodzaju rozluźnienie i mniejsza czujność. Kiedyś za wódkę, którą było czuć od któregoś z kapów, nieraz Fritsch lub Aumeier sadzali ich do bunkra, lecz czasy się zmieniły. I teraz oficjalnie pić wódki nie można było pod karą bunkra, lecz tak samo pod karą nie tylko bunkra, ale i SK, nie wolno było mieć stosunków z kobietami, a jednak i pod tym względem było rozluźnienie. Nie tylko esesmani ale i więźniowie mieli stosunki z Niemkami w mundurach SS, które tu były władzą dla kobiecego obozu, a rekrutowały się nieraz z kobiet ulicznych i więźniowie w przemarszu z pracy w kolumnie znacząco porozumiewali się ze spotykanymi esesmankami. Jakiś procent spotykających się czasami wpadał i wielu więźniów, przeważnie kapów lub blokowych, siedziało w bunkrze, unikając SK tylko ze względu na markę, jaką mieli u władz. Między innymi za podobne wykroczenia siedział w bunkrze blokowy 171. Więźniowie teraz wobec osłabnięcia rygorów w obozie, nawiązali kontakty na stałe z kobietami. Potworzyły się pary i całe romantyczne historie. Esesmani też nie byli wolni od tego rodzaju wykroczeń. Od kilku już miesięcy widziało się niespotykany nigdy obrazek, jak z bunkra naszego, z 11 bloku, wyprowadzano esesmanów, bez pasów, na półgodziny spacer dwa razy dziennie. Esesmanów zamkniętych za stosunki z kobietami.

Zasadniczo za takie wykroczenie jak stosunek z kobietą należącą do rasy "podludzi" groziła esesmanom kara o wiele większa - karny obóz specjalnie dla esesmanów, do którego trafił za stosunek z Żydóweczką, Katti, sam Palitzsch, skazany na wiele lat. Lecz to sprawa znacznie późniejsza. Na razie stosowano łagodniejszą karę bunkra lub w ogóle uchodziło to im bezkarnie. Bo tu również była konspiracja i wybieranie kobiet w Rajsku przez esesmanów było ściśle ukrywane w ich własnym kółku. Na dodatek komendant też miał grzeszki na sumieniu. Opanowała go "gorączka złota". Ostrożnie bardzo kombinując z Erikiem w garbarni, zbierał złoto, drogie kamienie i wartościowe przedmioty i w razie ostrzejszej kary mógł się obawiać zemsty ukaranego esesmana w postaci meldunku na siebie. Starał się więc wykroczeń podkomendnych swoich prawie nie widzieć.

Natomiast "gorączka złota" ujawniona u więźnia zawsze kończyła się jego śmiercią, gdyż po dochodzeniu w bunkrze i rewizji w miejscach wskazanych przez więźnia, esesmani zwykle kończyli go, żeby się pozbyć świadka tego, ile złota mu zabrali. Tu ginęli wszyscy, bez różnicy narodowości. Tak również zginęło dwóch drani, Niemców, blokowy 22 bloku i kapo Walter.

W drogę do domu chciał wybrać się z nami ppor. 164, lecz ze względu na obawę o najbliższych zrezygnował. Dał nam adres rodziny w miejscowości Z. Pisał, uprzedzając dyskretnie, o odwiedzinach kogoś od niego i dał nam umówione hasło do swoich i kontakt do organizacji w miejscowości Z.

W paczkarni przeniosłem się z nocnej na dzienną zmianę. Wielkanoc przypadała 25 kwietnia. Pogoda była piękna, słoneczna. Jak zawsze wiosną, gdy wystrzelała z ziemi w górę trawa i pączki na drzewach zamieniały się w listki i kwiaty, najbardziej pragnęło się wyjść na wolność.

W Wielką Sobotę, 24 kwietnia, w paczkarni od rana skarżyłem się na ból głowy. Któż to wiedział, że boleć nie umiała? Po południu nie poszedłem do pracy. W bloku skarżyłem się również na ból stawów i łydek. Blokowy, spokojny dosyć Niemiec, zawsze grzeczny wobec pracowników paczkarni, słysząc, co wystarczająco głośno przy nim mówiłem sztabowemu o charakterystycznych

bólach, powiedział z niepokojem: "Du hast Fleckfieber. Geh schnell zum Krankenbau!" Udałem niechęć do szpitala i, niby ociągając się, poszedłem. W rejonie szpitala znalazłem Edka 57. Powiedziałem mu, że muszę znaleźć się dziś jeszcze w szpitalu, najlepiej na bloku tyfusowym (on był tam magazynierem) pod warunkiem, że ułatwi mi nieformalne wejście tam (przyjęcie) i wyjście z bloku za parę dni. Edek mało się namyślał; w czasie roboty szedł zawsze na całego.

Po południu w Wielką Sobotę ambulans już nie kursował. Edek sam załatwił wszelkie formalności związane z przyjęciem mnie drogą przez ambulans (na 28 bloku) na blok tyfusowy i korzystając nadal z braku obsługi sam mnie wprowadził jako chorego. Tu omijając zwykłą drogę, kąpiel i odebranie rzeczy chorego, umieścił w osobnym pokoiku na parterze, gdzie rozebrałem się, zostawiając rzeczy pod opieką wskazanego mi przez Edka kolegi. Następnie zaprowadził mnie do sali chorych na parterze, której komendantem był 172. Znalezione mi łóżko i Edek oddał mnie pod opiekę 172, który mnie pamiętał z czasów choroby mojej, tyfusu. Teraz sądził, że to nawrót tyfusu, lecz że na chorego w ogóle nie wyglądałem, kiwał głową i nie pytał dyskretnie ani Edka, ani mnie o nic. Edka pożegnałem wdzięcznym uściskiem ręki i oświadczeniem, że pojutrze rano muszę wyjść.

W niedzielę, w pierwszy dzień świąt, piekarnia nie funkcjonowała, ale w poniedziałek zaczynała pracę. Należało więc wyjść i usiłować przystąpić do pracy w dzień jej rozpoczęcia, wtedy zjawienie się moje będzie (moment psychologiczny) mniej raziło i nie będzie podejrzane dla orientujących się, że w czasie świąt zaszła jakaś zmiana w obsadzie piekarni.

W nocy z soboty na niedzielę spałem na sali bloku 20 i śniłem niezwykły sen: wpadam do jakiejś szopy, gdzie stoi piękny koń; gdybym nie był kawalerzystą i nie znał maści, powiedziałbym koloru białego jak mleko. Szybko wrzucam siodło na tańczącego na uwięzi konia, ktoś przynosi mi biegiem derkę, podciągam popręgi zębami (zwyczaj mój z lat 1919/20), wskakuję na siodło i wyjeżdżam z szopy. A do konia już bardzo tęskniłem...

Niedziela, Wielkanoc. Leżę w łóżku nadal na bloku 20. Od czasu do czasu wpada Edek, by się dowiedzieć, czy mi czego nie trzeba. Po południu zdecydowałem się na pewną rozmowę z Edkiem. Edek, przywieziony tu jako młody chłopiec, po dwóch latach bytności w Oświęcimiu, dobiegał dwudziestki. Złapano go z pistoletem w kieszeni. Sądził, że mogą go już z Oświęcimia nie wypuścić. Nieraz mówił mi: "Panie Tomku, na pana tylko liczę..." Więc po południu w niedzielę powiedziałem mu: "Edek, co tu dużo gadać, ja wychodzę z obozu. Ponieważ ty mnie do HKB, omijając formalności, wprowadziłeś i masz mnie jutro ze szpitala wyrzucić, znowu bardzo nieformalnie rzecz załatwiając, bo bez kwarantanny i wbrew przepisom nie na blok 6, z którego przyszedłem, a na blok 15, więc po mojej ucieczce, kogo wezmą za łeb? Ciebie. Proponuję ci więc iść ze mną."

Edek namyślał się zaledwie parę minut. Na razie nie pytał nawet jaką drogą. Zdecydował, że idziemy razem.

Gdy Jasiak wkrótce po tym podszedł pod okno i mówił mi, że jutro rano muszę wyjść i być na bloku 15, powiedziałem mu, że wszystko pięknie, ale ja nie sam wyjdę, tylko z Edkiem. Janek złapał się za głowę, lecz po chwili, gdy dowiedział się, że Edek to chłopak morowy, wrócił do swej zawsze wesołej miny i powiedział: "No, i cóż tu zrobić?"

Tego wieczora Edek zrobił awanturę blokowemu, że tu nie ma miejsca dla Polaków, że nie chce tu dłużej być i jutro wychodzi na obóz. Blokowy, Niemiec, lubił Edka i zaczął go uspokajać, mówiąc, że nie widzi żadnej potrzeby, by porzucił dobre stanowisko magazyniera i w ogóle go nie puści, bo i po co ma się poniewierać gdzieś w pracy, gdy tu ma mało roboty, a jedzenia, ile chce. Edek jednak nie dał się przekonać. Twierdził ciągle, że nie zostanie, bo jako Polak jest poniewierany. Wreszcie blokowy się zniescierpliwiał i powiedział: "A to już idź wariacie jeden, gdzie chcesz!"

Echo tego doszło do sali, gdzie leżałem. W krótkim czasie do 172 przybiegali sztubowi i flegery

z całego bloku i pytali jeden drugiego, co się z Edkiem stało, że porzuca taką dobrą posadę. Ponieważ widziano, że Edek do mnie przychodził, więc pytano, czy mi nie mówił, dlaczego odchodzi z bloku. Powiedziałem, że - wiadomo - młody, nierozważny jeszcze.

Noc z niedzieli na poniedziałek spędziłem na tym samym łóżku i znowu śniłem o koniach. Śniłem, że wóz, na którym siedziało kilku z nas, kolegów, zaprzężony był w parę koni, lecz przed nią w zaprzęgu jeszcze trzy konie "wporecz". Konie szły rażno. Wóz wjechał nagle w grząskie błoto. Konie z trudem brnęły i ciągnęły wóz, lecz w końcu wyciągnęły go na twardą drogę i dalej potoczył się szybko.

Poniedziałek rano, drugi dzień świąt. Edek przyniósł kartkę, "Zettel", przynoszący mnie na blok 15. Sam też miał taką kartkę na blok 15. W wystawieniu tych kartek pomógł Edkowi kolega 173. Wstałem z łóżka, ubrałem się znowu w moje ubranie, które leżało w małym pokoiku obok sali i z Edkiem poszliśmy na blok 15. Tu weszliśmy do izby pisarskiej bloku, by zameldować się blokowemu, Niemcowi. Nastrój tu był świąteczny. Blokowy, najwyraźniej po wódeczce, grał z zapalem w karty z kapami. Stanęliśmy na baczność i zameldowaliśmy przepisowo i sprawnie swój przydział do tego bloku. Blokowy powiedział po niemiecku:

- Od razu widać, że stare numery. Przyjemnie słuchać jak meldują - rozpromienił się. Lecz nagle zmarszczył czoło: - Wy dlaczego do mego bloku?

- My jesteśmy piekarze.

- Ach, piekarze, no dobrze - mówił blokowy, zerkając jednocześnie w swoje karty. - A kapo piekarni już wie o tym?

- Jawohl. Myśmy z kapo już rozmawiali. On nas przyjmie do pracy.

Kapo piekarni myśmy jeszcze wcale nie widzieli, lecz skoro postanowiliśmy wprowadzać wszystkie władze obozu w błąd, więc brnęliśmy dalej zdecydowanie.

- No dobrze, dajcie Zettel i idźcie na salę.

Oddaliśmy kartki przeniesieniowe z bloku 20 na 15 i poszliśmy na salę w środowisko piekarzy. Na sali czekał już na nas Jasiek, lecz rozmyślnie nie podszedł od razu. Stanęliśmy przed kapem i powiedzieliśmy, że jesteśmy piekarzami, że umiemy pracować w piekarni mechanicznej (którą właśnie mieli uruchomić) i zostaliśmy jako piekarze przeniesieni na blok 15 i że blokowy nas zna (poznał co prawda przed chwilą), że jesteśmy starymi numerami i jemu w komandzie wstydu nie zrobimy. Kapo, który tu siedział za stołem, najwyraźniej był zaskoczony i niezdecydowany, lecz zanim powziął decyzję, Jasiek już zaczął mu coś szeptać i uśmiechać się. Kapo też się uśmiechnął, ale nic nie mówił. Potem Jasiek powtórzył nam, co mówił mniej więcej: "Kapo, to jest dwóch frajerów, co się nacięło. Oni myślą, że w piekarni to się chleba najedzą i że u nas to taka lekka praca. Kapo, daj mi ich do nocnego komanda, a ja im dam taką szkołę - pokazał swoją wielką pięść - że im się po jednej nocy odechce piekarni."

Tymczasem my wręczyliśmy kapowi na pierwszą znajomość jabłko, cukier i konfitury, które miałem z paczki przysłanej z domu. Kapo spojrział z uśmiechem na Jaśka, później na jabłko i cukier. Może taksował nas, licząc na paczki, które mu możemy jeszcze dać w przyszłości. Potem na nas spojrział i wreszcie powiedział: "No, poprobujemy, jacy z was piekarze".

Dzwon na apel, który ze względu na dzień świąteczny wypadał przed godziną 11.00, przerwał dalszą rozmowę z kapem i odwlekał wzajemne zwierzenia się z Jankiem. Apel przeszedł bez przeszkód i zamieszania. Na razie jeszcze stan obozu się zgadzał. Stojąc w szeregu myślałem o tym, że jeśli wszystko pójdzie tak, jak planujemy, to jest to mój ostatni apel w Oświęcimiu. I obliczyłem,

że miałem ich około 2,5 tysiąca. Jak wielka skala porównawcza - w różnych latach na różnych blokach. Tak, kurs w obozie zmieniał się stale na łagodniejszy.

Po apelu zebraliśmy się wszyscy trzej na najwyższych łózkach sali piekarzy i rozmawialiśmy głośno o rzeczach obojętnych lub o paczkach żywnościowych, gdyż wokół siedzieli nieznajomi więźniowie. Od czasu do czasu porozumiewaliśmy się jednak na temat dla nas zasadniczy. Jasiak, który z Edkiem od razu się zaprzyjaźnił, udawał, że zainteresował się nami ze względu na nasze paczki świąteczne. Chodziło o to, żeby dziś jeszcze pójść na noc do piekarni, gdyż stan jaki wytworzyliśmy, wprowadzając w błąd władze, nie mógł trwać długo. Poza tym musiałem być niewidoczny dla znajomych więźniów z bloku 6 i dla pracowników paczarni, bowiem widzieli mnie zdrowego już na lagrze, a ta wiadomość zainteresowałaby kapa i szefa paczarni, po czym mógłbym podzielić los Olka. Można się było jeszcze spodziewać rozmowy na nasz temat kapa piekarni z blokowym i wyjaśniłoby się, że ani jeden, ani drugi nas nie znali. Należało więc postępować szybko i przełamać przeszkody.

Do piekarni na wieczorną zmianę chodziło ośmiu piekarzy. Było ustalone, że tylu potrzeba więźniów do piekarni na noc. Tak zapisano w "Blockführerstube" na bramie i nie można było tego zmienić. W każdym razie, myśmy tego zmienić nie mogli. Zmiana nocna była obsadzona przez więźniów, którzy nikomu miejsca nie ustępowali. Dobrą stroną było, że Jasiak był już w tej zmianie, lecz teraz należało zrobić jeszcze dwa miejsca. Jak przekonać piekarzy bez wzbudzania ich podejrzeń, żeby nie szli dziś na noc do pracy, a nam ustąpili miejsca. Mogą obawiać się, że chcemy im odebrać ich posady. Kto wie, może jesteśmy dobrymi piekarzami (nie twierdziliśmy, że nimi nie jesteśmy) i kapo ich wyrzuci z piekarni, a nas weźmie na stałe. Tłumaczyliśmy, że otwierana jest piekarnia mechaniczna i że wszyscy będziemy potrzebni. Że jesteśmy starymi numerami i mamy możliwość znaleźć sobie inną pracę, tym bardziej, że oni mówią, iż wcale nie jest tak dobrze i łatwo, pójdziemy tylko jeden raz, zobaczymy, jaka to praca i więcej nie będziemy chcieli - znajdziemy sobie inne miejsce. Trudno wyszczególniać tu wszystkie argumenty i sposoby jakimi operowaliśmy, jednocześnie jednak musieliśmy udawać, że nie zależy nam aż tak bardzo i w tym czasie podsuwać im cukier, pierniki, jabłka. Rozdaliśmy wszystkie paczki, jakie mieliśmy za wyjątkiem małego pudełka z miodem, który dostałem z domu. Sprawa szła bardzo opornie.

Zdecydowaliśmy dawno, że z piekarni wrócić nie możemy, gdyż przede wszystkim ja (za samowolną zmianę komanda) trafię do SK, poza tym w piekarni się okaże, że piekarzami nie jesteśmy i już więcej do takiej pracy nas nie wezmą, a kapo wyrzuci z komanda. Lecz dlatego, żeby nie wrócić, trzeba było przedtem wyjść. A tu miejsca w zmianie nocnej nie było.

Okolo trzeciej po południu jeden z piekarzy zgodził się wreszcie ustąpić swoje miejsce na dzisiejszą noc, teraz chodziło nam o drugie miejsce. W międzyczasie biegałem do znajomych po niektóre rzeczy. Na blok 6 poszedłem bardzo ostrożnie po potrzebne mi rzeczy, niby dla chorego płt. 40 (blok 18a), który o moim planie wiedział. U niego zmieniałem dwa razy buty. Byłem u por. 76 (blok 27), który dał nam na drogę ciepłą bieliznę - granatowe spodnie narciarskie, które włożyliśmy pod spód. Kolega 101 (blok 28) dał mi na drogę granatową wiatrówkę.

Brakowało czasu, a wciąż jeszcze nie było miejsca w piekarni dla drugiego. Biegając z długimi butami, które po wypróbowaniu nie nadawały się, bo były niewygodne, natknąłem się prawie na starszego obozu. Postawiłem je na korytarzu bloku 25 pod drzwiami blokowego 80 i z braku czasu nie mogłem już wejść, żeby cokolwiek wyjaśnić. Wybiegając z bloku 25 wpadłem na kpt. 1, którego bez wyjaśnień serdecznie pożegnałem. Przebrałem się częściowo na bloku 22a w obecności płk. 122, kpt. 60 i kolegi 92. Z górnych łóżek, patrząc na szybkie ruchy przy wkładaniu pod pasiak wiatrówki i spodni narciarskich, kiwali głowami z przejęciem. Kpt. 60 z humorem powiedział swoje ulubione powiedzonko: "Uuu, niedoooooobrze". Potem pożegnałem przyjaciela 59, który na drogę dał mi trochę dolarów i marek. Resztę przygotowań do drogi robiłem na górnym łóżku u przyjaciela, por. 98, przy tym pdch. 99 spał w najlepsze więc nie budziłem go.

Na bloku 15 doczekaliśmy godziny siedemnastej z minutami, aż wreszcie znaleźliśmy takiego piekarza, który - czy to z powodu, że chciał mieć w bogatych więźniach "starych numerach" przyjaciół w przyszłości, czy może chciał w nocy odpocząć - nabrał do nas zaufania, że go nie wykiwamy i pracy mu nie odbierzemy i zgodził się.

O osiemnastej byliśmy gotowi. Jasiek przebrał się w cywilne ubranie, które mu od por. 76 już jakiś czas temu wykombinowałem, gdyż jako unterkapo mógł wyjść do pracy za drutami w cywilnym ubraniu. Wzdłuż pleców, w pasie i na spodniach miał szerokie, jaskrawe lampasy, czerwoną farbą malowane. Nikt nie wiedział, ma się rozumieć, że lampasy te malował kolega 118, rozpuszczając proszkowaną farbę w wodzie, a nie w pokoście.

O godzinie 18.20 esesman od bramy donośnym głosem wołał: "Bäckerei!" Na ten sygnał my wszyscy, którzy należeliśmy już do nocnej zmiany piekarni, wybiegliśmy z bloku 15 i popędziliśmy do bramy. Dzień był słoneczny, obóz świętował, więźniowie zażywali spaceru. W biegu od bloku do bramy spotkałem kilku kolegów, którzy z największym zdziwieniem spoglądali na mnie, gdzie ja biegnę z piekarzami, kiedy mam taką dobrą pracę w paczkarni. Poznałem twarze por. 20 i ppor. 174, lecz się ich nie obawiałem. Uśmiechnąłem się do nich, byli to moi przyjaciele.

Przed bramą ustawiliśmy się w dwa szeregi do wymarszu. Do końca nie byliśmy pewni, czy któryś z piekarzy, co nam miejsce ustąpił, nie rozmyśli się jeszcze i nie przybiegnie pod bramę. Wtedy któryś z nas, nowych, musiałby zostać. Obaj musielibyśmy pójść sami, bo nawet jeśli by się chcieć wycofać, już by nie można spod bramy tego zrobić. Lecz stanęło nas razem ośmiu, tylu, ilu było trzeba. Otoczyło nas aż 5 esesmanów. Podczas liczenia nas przez okienko z "Blockführerstuby" Scharführer rzucił w kierunku naszej eskorty: "Paßt auf!". Czyżby się czegoś domyślali? Lecz był powód inny. Był to poniedziałek, dzień, w którym zawsze zmieniała się eskorta piekarzy, obejmując tę służbę na cały tydzień.

Ruszyliśmy w drogę.

Pomyślałem wtedy, ile to razy przekraczałem tę bramę, lecz nigdy tak jak teraz. Teraz wiedziałem, że wrócić w żadnym razie nie mogę. Już z tego powodu poczułem radość i jakby skrzydła. Lecz do odlotu było jeszcze daleko.

Maszerowaliśmy szosą koło garbarni. Dawno tutaj nie byłem. Przechodząc, rzucałem wzrokiem na budynki, dziedziniec, w myśli przebiegając wszystkie tu prace moje i postacie kolegów, z których część już nie żyła.

W miejscu gdzie wypada szosa, którą szliśmy od obozu na inną, przy której stały domy miasteczka, rozdzieliliśmy się na dwa oddziały. Dwóch piekarzy i aż trzech esesmanów poszli szosą w prawo, w kierunku mostu, do małej piekarni. Niewspółmiernie wielka eskorta dla tamtych dwóch i mała dla nas, gdyż z nami sześcioma poszło tylko dwóch esesmanów, była spowodowana tym, że ci trzej esesmani kombinowali jakąś święteczną popijawę.

My pomaszerowaliśmy w lewo. Wreszcie ujrzałem wielką piekarnię, wychodzącą na nasze spotkanie dzienną zmianę piekarzy, drzwi groźne, okute, wielkie i plac zmagania o nasze życie na dzisiejszą noc.

Po wejściu do piekarni, szliśmy w lewo - w osobnej izbie, złożony był węgiel. Tam ulokowaliśmy nasze rzeczy, rozbierając się całkowicie z powodu wysokiej temperatury.

Było tam dosyć ciemno. Ułożyliśmy osobno każdy swe rzeczy, rozdzielając na takie, które należało wziąć i na takie, co mieliśmy zostawić - pasiaki.

Z dwóch naszych esesmanów, jeden, mniejszy, jakby tknięty przecuciem od razu zaczął oglądać

drzwi wejściowe, kiwać głową i mówić, że nie są zbyt pewne. Wymowny Jasio zaczął z uśmiechem wmawiać w niego, że jest wprost odwrotnie. Drzwi ciężkie, okute, zamykają się na wielki zamek, od którego klucz nosi esesman przy pasie, drugi klucz zapasowy wisi we wgłębieniu w murze za szybką, którą dla wyjęcia klucza trzeba by było rozbić. Podejrzliwość esesmana podyktowana była może przeczuciem, lecz i obowiązkowością, którą tu od pierwszego dnia chciała wykazać nowa warta. Pod tym względem poniedziałek wygodnym dniem nie był. Pod koniec tygodnia esesmani już może przez kilka dni przyzwyczaili się nieco do pracowników i byli nieuważni, nie tak czujni.

Nowa zmiana warty dawała ten plus, że przyszła tu tak jak my z Edkiem, po raz pierwszy i nie wiedziała, że my jesteśmy nowi, toteż w obserwowaniu pracowników piekarni nie robiła różnicy między nami a innymi więźniami.

Co robiliśmy w piekarni? Wypiekaniem chleba kierowali cywilni piekarze, którzy przychodzili tu z miasteczka, pracując również na dwie zmiany. Przez noc musieliśmy wypiec określoną ilość bochenków chleba. Zespół piekarzy, który nie zrobił w czasie swej pracy odpowiedniej ilości bochenków, szedł do bunkra - cywilni piekarze i więźniowie razem. Toteż był gwałtowny pośpiech przy pracy. Przez noc musieliśmy zrobić pięć wypieków; pięć razy we wszystkie piece chleb wsadzić i pięć razy wyjąć.

Mieliśmy próbować wyjścia z piekarni po drugim wypieku, gdyż po pierwszym było zbyt wcześnie. Tymczasem przeszedł pierwszy, drugi, trzeci i czwarty wypiek, a my wciąż jeszcze nie mogliśmy wyjść z piekarni. Tak jak przy pasjansie karty muszą się ułożyć i trzeba robić najrozmaitsze ich przekładanie i tasowanie, by pasjans się udał, tak również i tu krzyżujące się przebiegi piekarzy po mące, piłownicy, węgiel, wodę, odwożących gotowe już bochenki, wzajemnie sobie krzyżowały drogi w najrozmaitszych kierunkach, gmatwane jeszcze przez chodzących w ślad za nimi dozorujących esesmanów, musiały również tak się układać, by umożliwić nam znalezienie się w pewnym momencie w pobliżu drzwi nie objętych wzrokiem ani esesmana, ani piekarzy. A stawką tego pasjansa było życie.

Byliśmy zamknięci w piekarni z powodu konieczności wykonywania pracy, która musiała być robiona szybko i nie mogliśmy hamować biegu pracy innych piekarzy. Oblewaliśmy się potem z powodu wielkiego gorąca. Piliśmy wodę nieomal wiadrami. Usypialiśmy czujność esesmanów i piekarzy, robiąc wrażenie, że zajęci jesteśmy tylko pracą. We własnych oczach byliśmy, jak rzucające się, zamknięte w klatce zwierzęta, pracujące całym sprytem nad ułożeniem warunków wyjścia z klatki, koniecznie jeszcze tej nocy. Godziny biegły. Pasjans gmatwał się, nie układał, wyjście na razie było nie do zrealizowania. Możliwości to się zwiększały, to znowu zmniejszały. Napięcie nerwów to słabło, to przybierało na sile.

Drzwi były na widoku. Esesmani chodzili w przód i w tył podchodząc do samych drzwi. Okna, zamkniętego na kłódkę otworzyć nie można było, gdyż koło niego stale ktoś się kręcił. Gdy minął poniedziałek, a po północy rozpoczął się wtorek, sytuacja uległa pewnemu odprężeniu. Jeden z esesmanów położył się i spał, albo udawał, że śpi; w każdym razie nie chodził. Piekarze też wszyscy byli przemęczeni. Gdy koło godziny drugiej gotów był wypiek czwarty i pozostał tylko jeden, wtedy piekarze zrobili dłuższą przerwę i zaczęli się posilać.

Nasza trójka nie miała spokoju. Janek ubierał się już po kryjomu. My z Edkiem maskowaliśmy jego ruchy, niby przez gorliwość wożąc to węgiel, to wodę, przygotowując je do ostatniego wypieku. W rzeczywistości przygotowywaliśmy się do ostatecznego wysiłku - dokonania wyjścia. W pewnej chwili, gdy esesman szedł do drzwi w kierunku hali, Janek, wiedząc, że odwróci się dopiero za dwie trzy minuty, wymknął się w ubraniu, szybko odkręcił mutrę, która poddała się żelaznym rękóm Janka łatwo i wypchnął śrubę z zaczepem, który upadł za drzwiami. W powrotnej drodze esesmana Jasio zniknął w komorze z węglem. My chodziliśmy z taczkami po węgiel. W następnej turze wędrowni esesmana od drzwi, gdy był do nich odwrócony plecami, Jasio szybko i bezgłośnie odsunął dwa rygle górne i dwa dolne. My, kursując z taczkami, zasłaniając drzwi na przemian.

Piekarze, zmęczeni, siedzieli bądź leżeli wszyscy w wielkiej hali. Rygle zajęły więcej czasu niż mutra. Jasiak w ubraniu, już na oczach esesmana, wszedł do ubikacji, która była tuż przy drzwiach. Esesman nie zwrócił uwagi na to, że był on ubrany, może jako nowy sędzią, że nad ranem jest to rzecz normalna.

Na razie niby szło dobrze. Nagle stała się rzecz nieprzewidziana. Tknięty jakimś przecuciem, czy może wprost bezmyślnie, esesman podszedł do drzwi, stanął przy nich, twarzą do nich o jakieś pół metra i zaczął je oglądać. Odstawiłem taczkę mimo iż stałem za nim o jakieś 4 metry. Edek również zamarł z przerażenia koło stosu węgla. Obaj czekaliśmy tylko głośnego krzyku esesmana jako hasła, by rzucić się na niego, obezwładnić i związać. Dlaczego nic nie zauważył? Czy w ogóle miał oczy otwarte, czy też może śnił o czymś - tego już potem nigdy zrozumieć nie mogłem. Przypuszczam, że i on musiał się nad tym nazajutrz głowić w bunkrze. Odwrócił się od drzwi i pomaszerował spokojnie w stronę pieców. Gdy był od drzwi o jakieś 6 metrów, Jasiak wyślizgnął się z ubikacji, ja skoczyłem cicho po rzeczy i w sekundę później gwałtownie naciskaliśmy z Jasiem na drzwi. W tej chwili Edek, tuż za plecami jednego esesmana rzucił się z nożem szybko i bezgłośnie w stronę łóżka ze śpiącym drugim esesmanem i ... po przecięciu kabli w dwóch miejscach wziął jego kawałek na pamiątkę! W tym czasie drzwi naciskane przez nas wyginały się łukiem, lecz nie puszczały. Esesman odchodził powoli, był od nas 8, za chwilę - 9 metrów. Wzmogliśmy nacisk na drzwi, które wygięły się jeszcze bardziej, lecz wciąż nie puszczały. Edek w tym czasie od łóżka esesmana skoczył po ułożone swoje rzeczy w komorze węglowej. Jasiak zdwoił siły, u mnie zdwojone było napięcie wszystkich nerwów - drzwi jednak wydawały się mocniejsze od nas. Włożyliśmy w nacisk na drzwi cały wysiłek, na jaki nas było stać, gdy w tem... gwałtownie i bezdźwięcznie rozwarły się one przed nami. Powiało chłodem na rozpalone nasze głowy, błysnęły gwiazdy na niebie, jakby mrugając porozumiewawczo. Wszystko to zmieściło się jakoś w jednym mgnieniu oka.

Skok w ciemną przestrzeń i bieg w kolejności: Jasiak, ja, Edek. Jednocześnie sypnęły się za nami strzały. Jak biegliśmy szybko - trudno opisać. Kule nas nie tknęły. Rwaliśmy powietrze w strzępy szybkimi ruchami rąk i nóg.

Gdy byliśmy mniej więcej sto metrów od piekarni, zacząłem krzyczeć: "Jasiak, Jasiak...", lecz Jasiak gnał naprzód jak koń wyścigowy. Gdybym mógł go dopędzić, chwycić za ramię. Odległość między nami trzema wciąż była jednakowa, pędziliśmy wszyscy równomiernie.

Strzałów za nami było dziewięć. Potem ucichło. Esesman przypuszczalnie rzucił się do telefonu. Ten, co spał, na pewno przez pierwszą minutę był całkowicie zdezorientowany.

Chciałem zatrzymać Jaśka, miałem bowiem w planie kierunek ucieczki pod kątem prostym w prawo od tego, w którym mknęliśmy. Udało mi się to mniej więcej po 200-300 metrach. Jasiak zwolnił, ja dopadłem go, Edek dobiegł również.

- No, co? - pytał Jasio zdyszany.

- Teraz już chyba nic - odrzekłem.

- Mówiłeś, że masz dalszy plan marszu?

Zgadzało się, plan miałem. Miałem przebrnąć Sołę i iść drugą stroną rzeki w kierunku odwrotnym - wprost na obóz i dalej na południe, na Kęty. Lecz bieg Jaśka w kierunku północnym wszystko zmienił. Teraz już zawracać było zbyt późno. Było po drugiej nad ranem. Należało się spieszyć.

- Więc co teraz? - pytali koledzy.

- Nic. Ubierajmy się - rzekłem. - Ja poprowadzę dalej.

My dwaj byliśmy prawie w kąpielówkach, z węzłkami z ubrań pod pachą. Biegliśmy dotychczas w pewnej odległości od rzeki, lecz wzdłuż Soły, na północ. Teraz, po przebraniu się i pozostawieniu dobrze ukrytych w krzakach spodni w pasy, które przez omyłkę wzięliśmy ze sobą, poprowadziłem nas na sam brzeg rzeki (lewy), i brzegiem, krzakami dalej na północ. Edek zapytany, czy ma paczkę ze sproszkowanym tytoniem, oświadczył, że miał, ale się w biegu wszystko wysypało. Jeśliby puścili psy po śladach, nawąchają się tej tabaki. Tytoń ten suszyłem i starłem na tabakę już bardzo dawno, jeszcze pracując w łyżkarni, skąd mieliśmy niegdyś przygotować ucieczkę dla kolegów. Teraz co prawda zbyt szybko się wysypała, lecz zawsze mogła nieco chronić ślady.

Nie zmieniając raz obranego kierunku na północ, mieliśmy przed sobą widły rzeczne. Soła wpadała do Wisły, lecz przed tym jeszcze przez Sołę w prawo był most kolejowy, podług zebranych wiadomości, strzeżony stale przez wartownika.

- Tomek, gdzie idziesz? - pytał Jasio.

- Nic nie gadaj. Nie mamy wyjścia innego i nie mamy wiele czasu. Idziemy możliwie najkrótszą drogą.

Zbliżaliśmy się do mostu. Szedłem pierwszy, miałem gumą podbite podeszwy. Za mną o 10-15 kroków szedł Jasio, a na końcu Edek. Ostrożnie, obserwując budkę z lewej strony na przyczółku mostu, wszedłem na nasyp kolejowy i most. Koledzy szli za mną. Cicho stąpając, zaczęliśmy jednak dość szybko posuwać się po moście. Przeszliśmy już trzecią część, potem połowę, zbliżaliśmy się do przeciwległego brzegu, do końca mostu... Na razie szliśmy bez przeszkód... Wreszcie, gdy most się skończył, skoczyliśmy szybko w lewo, z nasypu na łąkę czy pole. Niespodziewanie dla nas most przebrnęliśmy bez przeszkód. Posterunkowi musieli się gdzieś zabawiać w przyjemnym towarzystwie na święta...

Dalej, z lewej strony toru, obrałem kierunek na wschód, wzdłuż Wisły. Orientować się było łatwo, niebo było pełne iskrzących gwiazd. Już czuliśmy się w jakimś stopniu wolni. Od całkowitego uczucia wolności dzieliło nas jeszcze ciągle niebezpieczeństwo.

Rozpoczęliśmy bieg na przelaj. Z prawej strony zostawało miasteczko Oświęcim. Przesadzaliśmy rowy, przebiegaliśmy w poprzek drogi, biegliśmy po zaoranych polach i po łąkach, zbliżaliśmy się do Wisły, to znów oddalali, w zależności od skrętów rzeki. Później dopiero mogliśmy podziwiać, ile człowiek potrafi znieść, gdy pracują wszystkie nerwy. Zdobywaliśmy wznoszące się w górę zaorane pola, zjeżdżaliśmy po cementowanych skarpach, wdrapywaliśmy się jak koty na skraj regulowanych jakichś kanałów. Ominął nas, dopędzając, jakiś pociąg, gdy szliśmy wzdłuż torów.

Wreszcie po kilku kilometrach - jak nam się wtedy wydawało - dziesięciu, lecz było trochę mniej zza wyniosłości ujrzeliśmy przed nami, na naszej drodze płoty, baraki, wieżyczki, druty... Przed nami był obóz i tak dobrze znane nam pełzanie świateł reflektorów. W pierwszej chwili zdębieliśmy. Lecz w następnej wywnioskowaliśmy, że jest to filia naszego obozu, tak zwana Buna.

Nie mieliśmy czasu na zmianę kierunku. Świt barwił już niebo. W tempie przyspieszonym zaczęliśmy obchodząc z lewej strony. Zetknęliśmy się z drutami. Zsuwaliśmy się znowu i drapali po skarpach. Przechodziliśmy kanały po kładce. W jednym miejscu ostrożnie stąpaliśmy po kładce, przez którą, pieniąc się, przelewała się woda. Omijaliśmy druty, obchodząc je w wodzie. Wreszcie i ten obóz został za nami.

Dobiegliśmy (bo ciągle jeszcze byliśmy zdolni biec) do brzegu Wisły i brzegiem zaczęliśmy posuwać się dalej, szukając na wszelki wypadek miejsca do ukrycia się we dnie.

Już dniało. Nie było dla nas większej osłony. Ciemny pasek lasu czernił się daleko na horyzoncie.

Zrobiło się jasno zupełnie. Tuż, przy brzegu Wisły, stała wieś. Na wodzie kołysały się łódki, własność mieszkańców tej wioski. Postanowiłem przepłynąć łodzią przez Wisłę. Łodzie były przycumowane łańcuchami do wbitych pali. Łańcuchy zamknięte na kłódki. Obejrzelśmy łańcuchy. Jeden z nich był połączony z dwóch kawałków za pomocą śruby. Jasiek wyjął klucz (kawał sztaby z otworem na mutrę), którym odkręcał śrubę w piekarni. Zaskoczył nas znowu zbieg okoliczności. Klucz akurat pasował na mutrę. Odkręciliśmy mutrę, łańcuch rozszedł się na dwoje.

Wschodziło właśnie słońce. Wsiedliśmy do łódki i odbiliśmy od brzegu. W każdej chwili mógł ktoś wyjść z domów wioski, odległych zaledwie od nas o kilkadziesiąt kroków. Kilkanaście metrów przed przeciwnym brzegiem łódź natknęła się na mieliznę. Nie mieliśmy czasu na spychanie. Skoczyliśmy do wody i brnęliśmy dalej pieszo, brodząc po pas aż do brzegu. Zgrzane przez całonocny bieg ciało i stawy zareagowały. Na razie nic jeszcze nie czuliśmy, szybko wyskakując na brzeg Wisły.

W odległości dwóch kilometrów od nas był ciemny pas lasu. Las - tak bardzo przeze mnie kochany, do którego tęskniłem przez kilka lat, w tym wypadku był zbawieniem, był pierwszą prawdziwą zasłoną w terenie, która nas mogła ukryć. Nie można powiedzieć, żeśmy do tego zbawienia pobiegli; biec nie mieliśmy już sił. Szliśmy przyspieszonym krokiem, ale czasami z braku sił zwalnialiśmy tempo.

Słońce świeciło już jasno. W oddali słychać było warkot motocykli na szosach, może nawet w pościgu za nami... A myśmy szli wolno. Moje i Edka ubrania, z bliska może nieco podejrzane, z daleka mogły ująć jako ciemne, nie rażące sylwetki. Natomiast piękny, cywilny garnitur Jasia raził z daleka krzyżącymi przeraźliwie czerwonymi pasami.

W oddali widoczni byli jacyś ludzie pracujący na polu. Musieli nas widzieć. Las zbliżał się powoli. Dziwne - po raz pierwszy w życiu poczułem zapach lasu z odległości blisko stu metrów. Nasze zmysły dobiegł potężny aromat, przemiły świergot ptaków, powiew wilgoci, zapach żywicy. Wzrok się zagłębiał w bliską już tajemniczość boru. Weszliśmy za kilkanaście pierwszych drzew i legliśmy na miękkim mech. Leżąc na wznak wysyłałem ponad wierzchołki drzew myśl, która radośnie zwijała się w wielki znak zapytania. Metamorfoza. Co za kontrast z obozem, w którym, zdaje mi się, przeżyło się tysiąc lat.

Szumiały sosny, lekko kołysząc swe ogromne czapy wierzchołków. Niebieszczuły się skrawki przestworzy pomiędzy konarami drzew. Świeciły brylanty rosy na listkach krzewów i traw. Słońce miejscami wnikało złotymi promieniami, rozświetlając życie tysięcy małych istnień - świat żuczków, meszek, motyli. Świat ptaków, jak przed tysiącem lat, nadal tak samo w określonych ramach zwijał się, zbiegał, tętnił własnym życiem. A jednak pomimo tylu odgłosów, panowała tu cisza, cisza ogromna, cisza izolowana od wrzasku ludzkiego, od wszelkich podłostek bliźnich, cisza, w której nie było człowieka. Myśmy się nie liczyli. Dopiero wracaliśmy na ziemię. Do grona ludzi mieliśmy dopiero być zaliczeni. Jakże bardzo byliśmy radzi, że jeszcze ich nie widzimy. Zdecydowaliśmy być od nich jak najdalej, jak długo to będzie możliwe.

Bardzo długo bez ludzi trwać jednak byłoby trudno. Jedzenia wcale nie mieliśmy. Na razie jeszcze wielkiego głodu nie odczuwaliśmy; jedliśmy sałatę zajęczą, piliśmy wodę ze strumyka.

Byliśmy zachwyceni wszystkim. Cały świat był dla nas kochany. Tylko nie ludzie. Miałem pudełko miodu przysłane z domu i łyżeczkę. Kolejno częstowałem przyjaciół i siebie, każdemu jedną łyżeczkę.

Leżąc, omawialiśmy wypadki tej nocy. Jasio miał łysinę, więc nakrycia głowy nie potrzebował. My z Edkiem mieliśmy ostrzyżone głowy. Żeby ukryć brak włosów przed ludźmi, wzięliśmy z piekarni, z rzeczy piekarzy, dwie czapki cywilne, lecz Edek zgubił swoją podczas biegu przez krzaki w nocy. Teraz zawiązał chusteczkę na głowie. Dlatego nazwaliśmy go: Ewunia.

Jasio dla odmiany nazwał się: Adamem, i patrząc na jakąś zieloną gałąź za nazwisko obrał: Gałązka. Pięknie pasowało do jego 90 kilogramów wagi.

Po wypraniu przez Jasia czerwonych pasów na garniturze w strumyku i po wysuszeniu przeze mnie zamoczonych w bucie czterech banknotów, pomaszzerowaliśmy dalej na wschód, idąc lasami, niewielkie tereny otwarte przeskakując, większe obchodząc brzegiem lasu. Zasadą było - jak najdalej od ludzi.

Przed samym wieczorem mieliśmy niewielkie zajście z gajowym, który zobaczył nas z pewnej odległości, gdy zjadaliśmy resztę miodu i chcąc nas zatrzymać, zabiegł nam drogę. Wtedy wlałem w młodniak, który nam wyrósł tu w porę i był tak gęsty, że można się było poruszać tylko pełzając. W młodniaku poleciłem zmienić kierunek i wybrnęliśmy z niego przy szosie. Przeskoczyliśmy szosę i znowu zaszyliśmy się w młodniak. Gajowy stracił ślad; myśmy się trzymali szosy, bo prowadziła zgodnie z napisami na słupach do miejscowości Z., która leżała na naszej trasie. Do miejscowości tej zbliżyliśmy się już po zachodzie słońca. Na górze przed miejsciną wznosiły się ruiny zamku. Okoliliśmy teren otwarty przed miasteczkiem z lewej strony, przebrnęliśmy szosę pomiędzy domkami i udaliśmy się na zalesione wzgórze wprost do ruin zamku. Tu, na zboczu wzgórza, zakopani w zeszłoroczne liście legliśmy zmęczeni okropnie, by zasnąć... Tak minął wtorek, 27 kwietnia.

Edek zasnął natychmiast. My z Jaśkiem mieliśmy po zimnej kąpieli zapalenie stawów, a ja jeszcze na dodatek zapalenie nerwu kulszowego. Ostatnią godzinę marszu przemogłem tylko siłą woli. Prócz bólu w prawym biodrze miałem ból w stawach kolan, szczególnie dotkliwy przy schodzeniu z pochyłości; stąpałem zaciskając zęby. Teraz leżąc, odczuwałem mniejszy ból, lecz ciągle jednak mi dokuczał. Jasięk, leżąc, bólu nie czuł i zasnął również. Ja usnąć nie mogłem. Korzystając z tego, zacząłem rozważać, co robić dalej.

O osiem kilometrów stąd była granica pomiędzy Śląskiem przyłączonym do Trzeciej Rzeszy, a Generalnym Gubernatorstwem, przez którą mieliśmy się przedostać. Układałem plany przez długie godziny, już na wpół drzemiąc, jak dobrnąć, jak przejść granicę i gdzie się udamy potem. Raptem oświeciła mnie zbawcza jakaś myśl - aż usiadłem na liściach i syknąłem z bólu. Przypomniał mi się rok 1942. Praca w łyżkarni, gdzie na stanowisku pisarza był kolega 19, z którym rozmawialiśmy często bardzo szczerze. Mówił mi on o tym, do kogo pisuje listy, że stryj jego jest księdzem tuż przy samej granicy, że parafia księdza leży po obu stronach i że proboszcz jeździ za granicę i może jechać z furmanem, którego mu wolno ewentualnie za granicą zostawić... Do miejscowości, gdzie krewny mego przyjaciela był proboszczem, było 7 lub 8 kilometrów.

Edek przez sen zaczął coś mówić, początkowo niewyraźnie, lecz potem pytał jakiegoś Bronka czy przyniósł dla niego chleb (był głodny, więc w nocy marzył o jedzeniu). Nagle zerwał się z posłania i zapytał głośno, aż się Jasięk zbudził: "No co? Przyniósł chleb?"

- Kto miał przynieść chleb?

- No, Bronek...

- Uspokój się, kochany. Widzisz, jest las, zamek i my, śpiący w liściach. Śniło ci się.

Edek się położył. Lecz teraz ja się podniosłem. Była godzina czwarta. Postanowiłem rano dotrzeć do księdza. Mieliśmy niewiele kilometrów, lecz bołące stawy. Ja, z bólem w kolanach, ledwo ruszałem nogami. Jasięk, ociągając się, wstał, lecz się zatoczył i zaczął się zsuwać po pochyłości wzgórza. Z bólu w stawach o mało nie zemdlął. A jednak opanowaliśmy się. Pierwsze kroki były ciężkie i bolesne, szczególnie schodzenia z pochyłości. Ten odcinek, nieco krążąc, szliśmy dość długo. Początkowo bardzo wolno, potem troszkę prędzej.

Jasiek, żeby zasięgnąć języka, jako najprzyzwoiciej ubrany i nie potrzebujący ukrywać braku włosów na tysej głowie, podszedł do udającego się do roboty wieśniaka i gawędził z nim idąc.

Zbliżyliśmy się do miejscowości II. Na zalesionym wzgórzu widoczny był kościółek.

Jasiek odszedł od wieśniaka, połączył się z nami i powiadomił nas, że miejscowość, o którą nam chodziło to właśnie teren wokół wzgórza z kościołem. Lawirując między polami doszliśmy do drogi, przy której stał urząd celny. Sama granica była dalej na wzgórzu. Była godzina 7.00. W urzędzie było już paru ludzi, którzy nam się przyglądali badawczo z pewnej odległości. My jednak przeszliśmy drogę w poprzek, potem strumyk jakiś, idąc mostkiem i szliśmy dalej na oczach ludzi, starając się iść rażno i wesoło. Doszliśmy wreszcie do zalesionego wzgórza i po wejściu na jego zbocze, upadliśmy na ziemię okropnie zmęczeni. I jakby na nas czekając, odezwał się dzwon z wieży kościoła, który stał tuż, na szczycie pagórka.

- Trudno Jasiu, bracie kochany, musisz iść do kościoła. Ty wyglądasz po ludzku i w kościele możesz być tylko ty jeden z naszej trójki, bo możesz być bez czapki. Wysłałem Jaśka do księdza, któremu miał powiedzieć o tym, że byliśmy razem, tam w piekle, z księdza bratem, Franciszkiem i jego dwoma synami: Tadkiem i Lolkiem.

Jasio poszedł i długo nie wracał. Wreszcie przyszedł z miną niewyraźną i powiedział nam, że doczekał się księdza w kościele, bo miał odprawić mszę i że z nim rozmawiał, lecz ksiądz nie chciał wierzyć, że z Oświęcimia udało nam się uciec i wprost oświadczył, że lęka się, by to nie była jakaś pułapka. Ja myślę, że gdy ujrzał Jaśka uśmiechniętą od ucha do ucha gębę, to trudno mu było, słysząc o Oświęcimiu, od razu uwierzyć, że Jasiek tam siedział przeszło dwa i pół roku. I że udało mu się stamtąd uciec.

Wysłałem Jasia znowu, gdyż msza mogła się skończyć i pouczyłem dokładnie, który z krewnych na jakim bloku mieszkał, gdzie pojechali bratankowie, na jakim bloku ich ojciec zastał, a nawet, co pisali w listach na ostatnie święta Bożego Narodzenia... Jasio poszedł. Msza się skończyła. Jasio wszystko księdzu powiedział, dodając, że w krzakach leży dwóch jego kolegów, którzy nie mogą wyjść ze względu na włosy i dziwne ubranie. Ksiądz uwierzył i przyszedł razem z Jasiem do nas. Tu nad nami załamał ręce. Uwierzył ostatecznie we wszystko. Zaczął do nas co pół godziny przychodzić w zarośla, przynosząc nam mleko, kawę, bułki, chleb, cukier, masło i inne specjały. Okazało się, że to wcale nie był ten ksiądz, o którym myśmy myśleli - tamten również tu był, lecz o dwa kilometry dalej. Ten proboszcz znał tamtego i całą historię jego rodziny, co w Oświęcimiu siedziała. Nie mógł nas pod dach swój wprowadzić, gdyż zbyt wielu ludzi kręciło się stale na jego dziedzińcu. Nam i tu było bardzo dobrze wśród młodych świerków i krzewów. Ksiądz dał nam jakieś lekarstwo do natarcia stawów. Napisaliśmy tu pierwsze listy do rodzin, które wysłane zostały przez księdza.

Wieczorem, gdy się zupełnie ściemniło, ksiądz dał nam dobrego przewodnika. A jednak są dobrzy ludzie na świecie - powiedzieliśmy wtedy sobie. Tak się kończyła środa, 28 kwietnia.

Pożegnaliśmy księdza. Stawy kolanowe już mniej bolały. Poszliśmy wieczorem o godzinie 10.00 za przewodnikiem by przejść granicę. Przewodnik długo prowadził, kluczył, potem wskazał miejsce i powiedział: "Tu jest najlepiej!" Sam się cofnął.

Możliwe, że było tu najbezpieczniej, teren był zawalony ściętymi drzewami, drutami i przekopany rowami, że straż graniczna przypuszczała, iż tędy nikt nie pójdzie i pilnowała innych odcinków.

Pas szerokości może 150 metrów przebrnęliśmy dopiero po godzinie. Dalej już szliśmy szybko, terenem różnym, przeważnie już teraz trzymając się drogi. Była noc ciemna. Nie groziło nam rozpoznanie z odległości. Mogliśmy tylko natknąć się na patrol, lecz czujność i jakiś zwierzęcy instynkt prowadził nas na razie szczęśliwie. Czasami, gdy droga przybierała kierunek dla nas

nieodpowiedni, skręcaliśmy, idąc na przełaj, orientując się według gwiazd, brnąc przez lasy, wpadając w jary, drapiąc się na zbocza. Przez noc przeszliśmy, zostawiając za sobą, jak nam się wydawało, wielki kawał terenu.

Pierwszy brzask zastał nas w jakiejś wielkiej wsi, która się ciągnęła kilometrami. Szosa we wsi skręcała w lewo. Nam wypadał kierunek w prawo, na skos. Ponieważ zobaczyliśmy z lewej, daleko, grupkę pierwszych w tym dniu ludzi, więc skręciliśmy w prawo i poszliśmy dalej polami, a później łąkami.

Słońce wzeszło. Był czwartek. Teren był całkowicie otwarty. Posuwać się w dzień było ryzykownie. Znaleźliśmy wielki krzak i w nim przesiedzieliśmy cały dzień, nie mogąc zasnąć z tego powodu, że był na podmokłym gruncie, a siedząc na kamieniu lub gałęziach krzaka trudno było usnąć. Wieczorem, gdy słońce zaszło, lecz było jeszcze widno, Jasiek wyszedł na rozpoznanie w kierunku naszego marszu. Zjawił się wkrótce, przynosząc wiadomość, że w pobliżu jest Wisła z prawej strony i że chcąc utrzymać dotychczasowy kierunek, należy ją tu przepłynąć. Są łodzie i jest przewoźnik, który może nas przewieźć na drugi brzeg.

Zdecydowaliśmy przepłynąć łodzią przewoźnika. Podeszliśmy do rzeki. Przewoźnik zmierzył nas wzrokiem. Wsiedliśmy do łódki. Łódź odbiła od brzegu. Wylądowaliśmy szczęśliwie po drugiej stronie. Po zapłaceniu markami przewoźnik jeszcze dziwniej na nas spojrzał.

Przed nami były III i samo miasteczko IV. Szliśmy główną drogą przez miścinę. Ludzie po pracy wracali do domu. Spóźnione krowy spieszyły do zagród. Stojący przy swoich domach gospodarze, przyglądali się nam ciekawie. Chciało nam się bardzo jeść i napić się czegoś gorącego. Noce były zimne. Ja ostatnio spałem z niedzieli na poniedziałek w szpitalu w Oświęcimiu, lecz wejść do domów, do ludzi nie zdecydowaliśmy się jeszcze. Przy końcu miasteczka, z lewej strony przy bramie swego domu stał jakiś starszy człowiek i patrzył na nas. Cała sylwetka była tak sympatyczna, że powiedziałem do Edka, żeby zapytał o mleko. Edek podszedł i spytał, czy nie można kupić mleka. Gospodarz zaczął nam kiwać ręką i zapraszać do domu, mówiąc: "Chodźcie, chodźcie, dam wam mleka". Było w jego słowach coś takiego, co niepokoiło, wyglądał jednak tak uczciwie, że zdecydowaliśmy się wejść do jego domu.

Gdy przedstawił nam już swoją rodzinę, żonę i dzieci, wtedy stanął przed nami i powiedział: "Ja was o nic pytać nie będę, ale wy tak nie chodźcie." Potem wyjaśnił, że sam wiele w tamtej wojnie przeszedł, że nic nie chce wiedzieć. Nakarmił nas kluskami, jajami, chlebem i gorącym mlekiem, następnie zaproponował nocleg w stodole, gdzie zamknąłby nas na klucz.

- Wiem - powiedział - że mnie nie znacie i możecie się obawiać, toteż nie nalegam, lecz jeśli mi wierzycie, zostańcie i bądźcie spokojni.

Miał taką twarz, oczy i całą powierzchowność uczciwą, że zostaliśmy. W nocy, zamknięci w stodole, znowu pod kluczem, a jednak spaliśmy spokojnie, na prawdziwej poduszce od lat nie widzianej. Tak skończył się czwartek, 29 kwietnia.

Rano otworzył nam sam gospodarz, bez żandarmów. Nakarmił, napoił. Nagadaliśmy się serdecznie. Zmieniliśmy pieniądze. Był to szczery, uczciwy Polak, patriota. Więc są ludzie na świecie. Nazywał się 175. Cała jego rodzina serdecznie nas przyjmowała. Powiedzieliśmy, skąd idziemy. Napisaliśmy znowu listy do rodzin. Ma się rozumieć, nie na adresy znane władzom z Oświęcimia.

Po śniadaniu poszliśmy dalej - polami, lasami, zostawiając V i VI z lewej strony. Dalej szliśmy na VII. Z piątku na sobotę nocowaliśmy w jakiejś pojedynczo stojącej w polu chałupie, gdzie mieszkała para młodych małżonków z dziećmi. Przyszliśmy późno, wyszliśmy zanim wstali rano. Zapłaciliśmy, podziękowaliśmy i poszliśmy dalej. Ominęliśmy VII i szliśmy na lasy VIII.

Była sobota, 1 maja, gdy weszliśmy w lasy pachnące żywicą. Pogoda była piękna, słońce kładło przez konary złote plamy na usianej igłami ziemi. Wspiwały się wiewiórki, przebiegały sarny. Prowadziliśmy na zmianę ja z Jaśkiem, Edek stanowił ariergardę. Dzień mijał na razie bez wypadku. Chciało nam się jeść.

Po południu od 14.00 prowadził Jasio. Weszliśmy na szeroką drogę, która szła dla nas w odpowiednim kierunku. Około 16.00 podeszliśmy do jakiegoś szerszego ruczaju, przez który był most. Za mostem stały budynki; z lewej strony drogi leśniczówka i parę szop, z prawej - inne zabudowania. Jasio szedł odważnie wprost na most i na leśniczówkę. Zbyt długo nam się wszystko udawało, więc przestaliśmy być ostrożni. Wprowadziło nas w błąd to, że nie było widać żadnej krzątany, a zielono pomalowane okiennice leśniczówki były wszystkie zamknięte.

Przechodząc koło leśniczówki spojrzeliśmy na dziedziniec, który był za nią i rozciągał się do szop. Na dziedzińcu maszerował w kierunku drogi i naszym, żołnierz niemiecki (możliwe że żandarm) z karabinkiem w rękę. Na pozór, zewnętrznie nie reagowaliśmy wcale, żeby możliwie długo maszerować dalej, a byliśmy już za leśniczówką jakieś 10 kroków. Cała nasza reakcja w takiej chwili działała się wewnątrz. Inaczej zareagował żandarm: "Halt!", lecz my maszerujemy dalej niby nic nie słysząc. - Halt! - rozlega się ponownie za nami i jednocześnie słychać szczęk repetowanego karabinu. Zatrzymujemy się spokojnie wszyscy z uśmiechniętymi minami. Żołnierz jest za ogrodzeniem dziedzińca, jakieś 30-35 metrów od nas. Z szopy odległej o 50 metrów wychodzi szybko drugi żołnierz. Więc my mówimy: "Ja, ja, alles gut" - i spokojnie zwracamy w ich kierunku.

Widząc nasz spokój, pierwszy żołnierz, który miał broń gotową do strzału, opuszcza karabinek. Wówczas, widząc to, mówię spokojnie: "Chłopcy, wiać!". I rzucamy się wszyscy w różne strony do ucieczki. Jasio pod kątem prostym do kierunku marszu w prawo, Edek wzdłuż drogi w kierunku marszu, rowem, a ja pomiędzy nimi w prawo na skos. Jak biegliśmy, to znowu opisać trudno. Każdy biegł jak umiał. Skakałem przez pnie, ogrodzenie szkółki, krzaki. Strzelano w nas bardzo wiele razy, gwizdało koło uszu często. W pewnej chwili czułem gdzieś, chyba w podświadomości, że teraz któryś mierzy we mnie. Szarpnęło coś prawym ramieniem. Pomyślałem, że drań trafił, lecz nie czułem bólu. Biegłem dalej, szybko się oddalając. Zobaczyłem Edka, z lewej strony, daleko. Krzychałem na niego. Zobaczył i zaczęliśmy się zbliżać, biegnąc we wspólnym kierunku. Byliśmy już dobrych 400 metrów od leśniczówki, a tamci wciąż strzelali. Ponieważ nas już widzieć nie mogli, sądziłem, że strzelają w Jaśka... może go zabili...

Tymczasem z Edkiem siedliśmy na wykrocie. Musiałem opatrzyć krwawiącą nieco ranę. Miałem przestrzelone prawe ramię, bez naruszenia kości. Poza tym muśnięte miałem ubranie. Spodnie i wiatrówka razem przestrzelone były w czterech miejscach. Edek proponował pozostać w wykrocie, lecz ja sądziłem, że będzie lepiej wydostać się szybko z tego rejonu, gdyż Niemcy mogą telefonicznie się porozumieć i zrobić większą obławę. Po zawiązaniu chusteczką rany, ruszyliśmy dalej z Edkiem na wschód. Myślałem, że z Jaśkiem mogło być niedobrze, gdyż strzelano długo w jego stronę.

W godzinę później przyszliśmy do jakiejś wioski, gdzie wprost powiedzieliśmy, że jesteśmy "chłopcy z lasu", że było nas trzech, a teraz jest dwóch. Słyszeli strzały, może przyjaciela zabito... Ci poczciwi ludzie dali nam mleka i chleba, no i przewodnika, który nas zaprowadził do promu. Promem przepłynęliśmy rzeczkę i znaleźliśmy się w jakiejś większej wsi. Tu znowu spotkaliśmy niemieckich żołnierzy, lecz oni szukali we wsi jedzenia, na nas wcale nie zwracając uwagi, sądząc przypuszczalnie, że jesteśmy tutejszymi mieszkańcami.

Wreszcie po opuszczeniu tej wioski ujrzeliśmy z dala miejscowość IX, najbliższy cel naszego marszu. Ponieważ jednak mieszkanie rodziny 164 było po drugiej stronie miasteczka, a było już w pół do ósmej wieczór (godzina policyjna była tu od ósmej) przez miasteczko ze względu na nasz wygląd nie chciałem iść, więc na noc zostaliśmy z Edkiem na strychu u jednego gospodarza,

do którego domu doszliśmy, okalając miasteczko od strony północnej i wschodniej.

Rano w niedzielę, 2 maja, wybraliśmy się w niedaleką już drogę do państwa 176. Zbliżyliśmy się do ich domu i na ganku ujrzelśmy starszego pana i panią, teściów 164, oraz młodą panią - jego żonę, i córeczkę Marysię. Gospodarze uśmiechnięci, powitali nas uprzejmie i o nic nie pytając, zapraszali do domu. W mieszkaniu przedstawiliśmy się jako koledzy 164. Gospodarze zapraszali nas do pomieszczeń, gdzie po otwarciu drzwi do jednego z pokoi zobaczyliśmy na łożku śpiącego smacznie... Jasia. Po obudzeniu go rzuciliśmy się sobie w objęcia.

Jasio, ubrany przyzwoicie, już wczoraj wieczorem przeszedł miasteczko i zjawił się tutaj. Tym się tłumaczyło, że gospodarze - uprzedzeni przez Jasia, że przybędziemy - nic nam nie mówiąc, zapraszali nas z uśmiechem do domu.

Ubranie Jasia i tłumoczek, co niósł pod pachą, były przestrelone w kilku miejscach; on sam nie był ranny. Moja rana była niegroźna. Udało nam się więc wszystkim.

U państwa 176 i od pani 177 doznaliśmy tak wielkiej serdeczności i gościnności, jak tylko we własnej rodzinie i we własnym domu po długim niewidzeniu doznać by można było. Tu powinniśmy chyba po kilka razy dziennie powtarzać, że są jednak ludzie na tym świecie...

Opowiadania o przeżyciach w Oświęcimiu wspólnych z przyjacielem naszym, a drogim dla nich 164 słuchane były z wielkim zainteresowaniem, z uczuciem serdecznym i życzliwością. Po zapoznaniu się i zdobyciu wzajemnego zaufania, wymieniając umówione hasła, prosiłem, by mnie skontaktowano z kimś z organizacji wojskowej. W parę godzin później rozmawiałem już z Leonem 178, którego po wymianie haseł prosiłem o kontakt z miejscowym komendantem placówki. Kolega Leon przedstawił mi możliwości porozumienia się z dwoma panami. Jeden z nich był z rejonu północnego IX, a drugi z rejonu południowego, mieszkał stąd o 7 kilometrów w miejscowości X. Powiedziałem, że jest mi wszystko jedno, więc Leon zaproponował, że pójdziemy może do komendanta w miejscowości X, gdyż to jest jego przyjaciel.

Gościłem u państwa 176 przez niedzielę i poniedziałek. We wtorek (4 maja) rano, ubrany w przyzwoite ubranie kolegi Leona, szedłem obok niego do X. Jasio i Edek pozostali nadal życzliwie u państwa 176.

Dzień był piękny, słoneczny. Szliśmy, rozmawiając wesoło. Leon prowadził ze sobą rower, na którym miał wrócić do domu, gdyż przypuszczał, że komendant placówki zatrzyma mnie gościnnie u siebie. Idąc myślałem nad tym, że tyle sensacji i dramatów miałem w ciągu ostatnich lat i oto skończyły się wszystkie. A los tymczasem przygotował znowu wielką, sensacyjną tym razem niespodziankę...

Mniej więcej w połowie drogi, w jakimś lasku, usiedliśmy na pniach, by odpocząć. Spytałem Leona przez ciekawość, jak się nazywa komendant placówki, do którego idziemy, bo i tak przecie poznam go wkrótce. Leon wyrzekł dwa słowa - imię i nazwisko. Dwa słowa... Dla innych słowa zupełnie zwykłe, dla mnie były to słowa szokująco niezwykle. Niezwykły był to i niesamowity przypadek, dziwny zbieg okoliczności... Komendant placówki nazywał się tak, jak ja się nazywałem w Oświęcimiu. Więc to pod jego nazwiskiem siedziałem tyle dni w piekle, a on o tym nic dotąd nie wiedział. I teraz właśnie do niego mnie wiodła droga, do właściciela tego nazwiska.

Los? Ślepy los? Jeśli naprawdę był to tylko los, to na pewno nie był ślepy.

Zatkało mnie, przestałem mówić, a Leon spytał: "Co pan tak zamilkł?" - Ech, nic, zmęczyłem się trochę...

Obliczałem właśnie, ile przesiedziałem w Oświęcimiu. Było ich, w tym piekle za drutami, 947.

Prawie już tysiąc.

- Chodźmy prędzej - powiedziałem - Czekaj pana i komendanta placówki pewna niezwykła niespodzianka.

- Jeśli tak, to chodźmy.

Zbliżaliśmy się do pięknej miejscowości X, położonej w dołach i na pagórkach, z pięknym zamkiem na wzgórzu. Idąc, myślałem: no tak, tu przecież w IX, fikcyjnie się urodziłem. Tu jeździł niegdyś 158, by załatwić sprawę moją u księdza 160.

Na werandzie domku położonego wśród ogrodu siedział jakiś pan z małżonką i córeczkami. Podeszliśmy do nich. Kolega Leon szepnął mi, że może mówić otwarcie. Ja się przedstawiłem nazwiskiem, które nosiłem w Oświęcimiu. On odpowiedział: "Ja też jestem..."

- Ale ja jestem Tomasz - dodałem.

- Ja też jestem Tomasz - odrzekł zdziwiony.

Kolega Leon przysłuchiwał się tej rozmowie zdumiony. Pani obserwowała mnie również.

- Ale ja jestem urodzony - tu wymieniłem dzień, miesiąc i rok, który tyle razy w Oświęcimiu należało powtarzać przez lata przy każdej zmianie bloku lub komanda, przy spisach robionych przez kapów.

Panomalże się zerwał z miejsca:

- Jak to, panie?! To są moje dane!

- Tak, to są pana dane, lecz ja przeżyłem pod nimi znacznie więcej od pana - i opowiedziałem mu, że siedziałem w Oświęcimiu przez dwa lata i siedem miesięcy, a teraz stamtąd uciekłem.

Różni ludzie różnie mogliby na to zareagować. Mój imiennik i właściciel nazwiska, które przez tyle dni, zdawało się być moim, rozwarł ramiona. Ucałowaliśmy się serdecznie i staliśmy się przyjaciółmi od razu.

- Lecz jakże to się stało? - pytał.

Spytałem, czy zna panią dr 83 z Warszawy? Tak jest. Mieszkał tam? Tak. Robiono tam dla niego dowód, wyjechał wcześniej, zanim dowód był gotowy. Potem ja skorzystałem z tego dowodu jako jednego z kilku lipnych, które posiadałem w tym czasie.

U państwa 179 mieszkałem 3,5 miesiąca. Przesłaliśmy wiadomość przez przyjaciół do księdza 160, żeby w księdze metrykalnej gumką wymazał napisane niegdyś ołówkiem koło nazwiska mego imiennika dane tak wówczas potrzebne.

Tu montowałem oddział przy pomocy 84 i 180, chcąc ewentualnie, jeśli z Warszawy przyjdzie akceptacja mego planu, uderzyć na Oświęcim po porozumieniu się z kolegami w obozie. Mieliliśmy z kolegą 180 trochę broni i mundurów niemieckich. Napisałem list do rodziny, do przyjaciela 25, który niegdyś wysłany był z Oświęcimia dzięki ucieczce, z raportem, a obecnie był w Warszawie i pracował w jednym z działów Komendy Głównej. Napisałem do XI list do 44, który również był wysłany z Oświęcimia z raportem i także przez ucieczkę, chcąc nawiązać kontakt dla dalszej pracy.

1 czerwca z Warszawy przyleciał jak na skrzydłach mój przyjaciel 25, przywożąc mi cenne

wiadomości, że pani E.O., do której pisałem listy z Oświęcimia, szczęśliwie mieszka nadal w tym mieszkaniu. Gestapo straszło odpowiedzialnością tylko rodzinę. Nie mieli żadnej racji ani interesu wkraczać z interwencją do osoby w ich mniemaniu znajomej tylko. Do rodziny mojej śladu nie mieli i nie znali nazwiska.

25 przywiózł mi również dowód i pieniądze. Omówiłem z nim sprawę, tłumacząc, że do Warszawy nie pojedę na razie, póki mam nadzieję, że mi na Oświęcim z zewnątrz już teraz pozwolą uderzyć. Chyba że będzie wyraźny rozkaz - wtedy do Warszawy przyjadę. Przyjaciel, zmartwiony nieco, że samotnie wraca, pomimo że obiecał rodzinie przywieźć mnie ze sobą, odjechał do Warszawy.

5 czerwca zjawił się miejscowy gestapowiec i esesman z Oświęcimia najpierw u matki Tomka (mego imiennika) i pytali panią, gdzie jest jej syn. Odpowiedziała, że mieszka w pobliżu od wielu lat. Przyjechali do Tomka. Ja byłem wtedy bardzo blisko. Esesman musiał już być poinformowany przez miejscowego gestapowca, że 84 mieszka tu od dawna. Spojrzał tylko na jego twarz i na trzymany papier w ręku (pewnie porównywał z moją fotografią z wypchniętymi policzkami), spytał, czy owoce będą na jesieni i odjechał.

W pracy w X poznałem pierwszorzędnych ludzi i wartościowych Polaków, prócz państwa 179 jeszcze p. 181.

Następnie przyjaciel 25 przysłał z Warszawy paczkę z najnowszymi środkami walki z najeźdźcą i list, w którym pisał, że w Warszawie bardzo przychylnie się ustosunkowali nie do akcji na Oświęcim (a miałem taką nadzieję), lecz do odznaczenia mnie za pracę w Oświęcimiu. Przyjaciel wciąż też miał nadzieję, że sprawa zezwolenia na akcję pójdzie dobrze. Tymczasem w lipcu otrzymałem list z tragiczną informacją o aresztowaniu gen. Grota. Wobec sytuacji nieco gorączkowej w Warszawie, zrozumiałem, że teraz odpowiedzi w sprawie Oświęcimia nie mogę tu oczekiwać i zdecydowałem pojechać do Warszawy.

23 sierpnia byłem już w Warszawie. We wrześniu przyjechał do Warszawy Jasio, w grudniu - Edek. Pracowałem w Warszawie w jednej z komórek KG. Przedstawałem odpowiednim czynnikom sprawę pozostałych w Oświęcimiu kolegów i potrzebę wyraźnego postawienia tam organizacji. Dowiedziałem się, że 161 będąc na Pawiaku, sypał górę organizacji w Oświęcimiu, że poszedł na pracę dla Niemców. Został zwolniony z Pawiaka i chodził po Warszawie z pistoletem w kieszeni, wkrótce został
z*****
*****ięcimiu. Wiedziałem, że jest drań, lecz nawet jeśli bym chciał coś w tej sprawie zmienić, było za późno, gdyż koło nazwiska była notatka: wykonane dnia...

Spotkałem idącego ulicą Sławka, z którym kuliśmy razem w Oświęcimiu kilofami, marząc o tym, że on mnie kiedyś na obiad w Warszawie zaprosi. Obaj byliśmy optymistami i, jak mówili wtedy ludzie, myśleliśmy nierealnie. I oto obaj znowu spotkaliśmy się w Warszawie żywi. On niósł jakąś paczkę i na mój widok omal nie wypuścił jej z rąk. Obiad jadłem nieraz u niego i to według menu, które układaliśmy w piekle.

Mieszkałem w domu, skąd poszedłem w 1940 roku do Oświęcimia i gdzie pisywałem listy do pani E.O., tylko o piętro wyżej. Dawało mi to zadowolenie z powodu pewnego wyzwania w stosunku do władz. Nikt nigdy do końca okupacji nie zjawił się u pani E.O. w sprawie mego zniknięcia z Oświęcimia. Do siostry Jasia ani do rodziny Edka również nikt nie przyszedł.

Przedstawałem plan akcji na Oświęcim szefowi planowania akcji Kedywu ("Wilk"- "Zygmunt") w jesieni 1943 roku, który mi powiedział: "Po wojnie pokażę panu taki plik akt na temat Oświęcimia, gdzie są i wszystkie meldunki pana."

Napisałem ostatni raport na temat Oświęcimia na 20 stron maszynowego pisma i na ostatniej stronie

koledzy, którzy meldunki więźli, napisali mi własnoręcznie co, komu i kiedy w tej sprawie składali. Zebrałem takich oświadczeń osiem, gdyż reszta kolegów albo nie żyła, albo była w Warszawie nieobecna.

Prócz pracy w pewnym dziale K.G. zajęty byłem opiekowaniem się rodzinami więźniów Oświęcimia żyjących, lub tych, którzy zginęli. Pomagał mi w tym kolega 86. Pieniądze na zapomogi dostawaliśmy przez dobrze zorganizowaną komórkę złożoną z trzech pań 182, które poświęcały wiele pracy więźniom i ich rodzinom. Przez panie te zawiadomiony byłem razu pewnego, że jest ktoś, w którym regionie pracy leży Oświęcim. Że jest "pistolet", doskonale pracę postawił i może przez niego będzie można dotrzeć do więźniów w Oświęcimiu, gdyż ostatnio kontakt przez organizację w terenie się urwał. Pan ten wyjeżdżał już i nie mogłem go zobaczyć, ponieważ jednak tak dobrze pracę prowadził i twierdził, że może wejść w kontakt z więźniami, chciałem ułatwić mu drogę i podałem nazwisko kolegi, więźnia Oświęcimia Murzyna, żeby powołał się na Tomasza i dla orientacji powiedziałem mu, że Tomasz wyszedł na Wielkanoc.

Wśród pewnych kolegów spotykałem kilka razy kolegów z Oświęcimia, którzy wcale pewnymi nie byli (zwolnieni dawniej), lecz ci sądzili, że ja też jestem zwolniony.

10 czerwca 1944 roku na Marszałkowskiej ktoś raptem otworzył ramiona i powiedział: "No, nie wierzę, żeby ciebie z Oświęcimia wypuścili." Ja odpowiedziałem, że również nie wierzę, że wypuścili jego. Był to Olek 167. Ten szczęściarz jak kot zawsze na cztery łapy spadał. Wkręcił się jako lekarz z SK do transportu do Ravensbrück i stamtąd uciekł.

Zawiadomiły mnie panie 182, że ten, co pracuje w rejonie Oświęcimia znowu tam jedzie i chce mnie zobaczyć. Pospieszyłem na spotkanie. Przyszedłem parę minut wcześniej przed przyjściem tego pana. Panie dyskretnie pozostały w innym pokoju, czekając, co wyjdzie ze spotkania takich asów. Czekałem chwilę, sądząc, że przyjdzie jakiś orzeł. Drzwi się otworzyły i... wtoczyła się kuleczka - mała, łysa, z zadartym noskiem. No, wygląd zewnętrzny niczego nie mówi. Siadamy i pan ten energicznie przystępuje do sprawy w te słowa: "A co, żebyś ja wziął deskę i namalował Murzyna? I tak z tą deską z namalowanym Murzynem pod mur Oświęcimia się podsunął?"

Wstałem, przepraszając i poszedłem do pań: "Z kim panie mnie skontaktowały? Czy można z nim rozmawiać poważnie?"

- Ależ można. To jest doskonały organizator i ... - tu wymieniły stopień.

Wróciłem, myśląc, że widocznie taki ma sposób rozpoczynania rozmów i nakazując sobie cierpliwość. Pan ten, gdy zająłem miejsce przy stole, powiedział wtedy, widząc, że jakoś ten Murzyn mi nie odpowiada: "Albo może nie Murzyna, a namalowałbym św. Tomasza, albo babkę wielkanocną?"

Dusiłem się teraz od wewnętrznego śmiechu i myślałem, że połamię krzesło, w które wpijałem palce obu rąk aż do bólu, by śmiechem nie wybuchnąć. Wstałem i powiedziałem, że dzisiaj niestety rozmowa nasza nie dojdzie do skutku, bo spieszę gdzie indziej. To nie jest mój wymysł, tak było naprawdę.

W końcu lipca 1944 roku, tydzień przed powstaniem, ktoś zatrzymał mnie jadącego rowerem ulicą Filtrową, wołając: "Hallo". Zatrzymałem się niechętnie, jak zawsze w czasach konspiracji. Podszedł do mnie jakiś pan. W pierwszej chwili go nie poznałem, lecz trwało to tylko moment. Był to mój przyjaciel z Oświęcimia, kpt. 116.

W powstaniu braliśmy udział z Jaśkiem na jednym odcinku. Opis naszych poczynań i śmierć mego przyjaciela opisana jest w historii I Batalionu "Zgrupowania Chrobry II".

Edek dostał w akcji 5 kul, lecz szczęśliwie wyszedł z tego.
W akcji powstania był ciężko ranny przyjaciel 25.
Spotkałem również w akcji powstania przyjaciela 44.

Potem, gdzie indziej, spotkałem kolegów, którzy siedzieli prawie do końca w Oświęcimiu (styczeń 1945 r.): 183 i 184. I było mi niezmiernie miło, gdy opowiadali o echach ucieczki przez piekarnię. O tym, że obóz śmiał się z wyprowadzenia w pole władz obozu i o tym, że żadnych represji w stosunku do kolegów nie było. Za wyjątkiem pilnujących nas esesmanów, którzy siedzieli jakiś czas w bunkrze.

Podaję tu liczbę ludzi, którzy zginęli w Oświęcimiu.

Gdy wychodziłem z Oświęcimia zapamiętałem numer bieżący 121 tysięcy z czymś. Żyjących, takich, którzy wyjechali transportem i zwolnionych było około 23 tysięcy. Zginęło około 97 tysięcy numerowanych więźniów.

Nie ma to nic wspólnego z ilością ludzi, których masami, bez ewidencjonowania, gazowano i palono. Tych, na podstawie obliczeń codziennie notowanych przez pracujących w pobliżu komanda, do chwili mego wyjścia z Oświęcimia, zginęło ponad dwa miliony.

Podawałem te liczby oględnie, żeby nie przesadzić, raczej codziennie podawane liczby należałoby przedyskutować dokładnie.

Koledzy, którzy tam dłużej siedzieli i byli świadkami gazowania dziennie po osiem tysięcy ludzi podają liczbę plus minus pięciu milionów ludzi.

Teraz chciałem jeszcze powiedzieć, co czułem w ogóle wśród ludzi, gdy się znowu pomiędzy nimi znalazłem, wracając z miejsca, o którym naprawdę można powiedzieć: "Kto wszedł, ten umarł. Kto wyszedł, ten się narodził na nowo". Jakie wrażenie odniosłem nie wśród tych najlepszych lub najgorszych, lecz w ogóle w całej masie ludzkiej po powrocie do życia na ziemi.

Czasami wydawało mi się, że chodząc po wielkim domu, otworzyłem nagle drzwi do jakiegoś pokoju, gdzie są same dzieci... "aaa!... dzieci się bawią..."

Tak, był przeskok zbyt wielki w tym, co dla nas było ważne, a co za ważne uważają ludzie, czym się kłopotają, cieszą i martwią.

Lecz to jeszcze nie wszystko... Zbyt widocznym stało się teraz powszechne jakieś krętactwo. Biła wyraźnie w oczy jakaś praca niszcząca nad zatarciem granicy pomiędzy prawdą a fałszem. Prawda stała się tak rozciągliwa, że naciągano ją, przysłaniając wszystko, co ukryć było wygodniej. Skrzętnie zatarto granicę pomiędzy uczciwością a zwykłym krętactwem.

Nie to jest ważne, co napisałem dotychczas na tych kilkudziesięciu stronach, szczególnie dla tych, co będą je czytać li tylko jako sensację, lecz tutaj chciałbym pisać tak wielkimi literami, jakich nie ma, niestety, w maszynowym piśmie, żeby te wszystkie głowy, co pod pięknym przedziałkiem mają wewnątrz przysłowiową wodę i matkom chyba tylko mogą dziękować za dobrze sklezione czaszki, że owa woda im z głów nie wycieka - niech się trochę zastanowią głębiej nad własnym życiem, niech się rozejrzą po ludziach i zaczną walkę od siebie, ze zwykłym fałszem, zakłamaniem, interesem podtasowanym sprytnie pod idee, prawdę, a nawet wielką sprawę.

KONIEC

Raport Witolda